

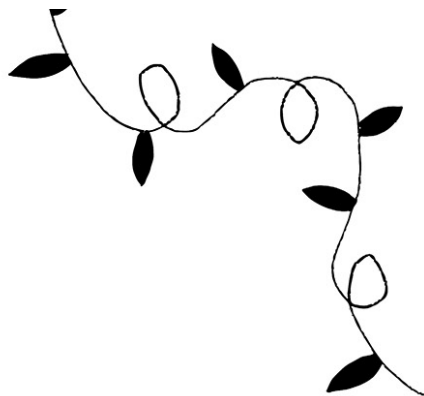
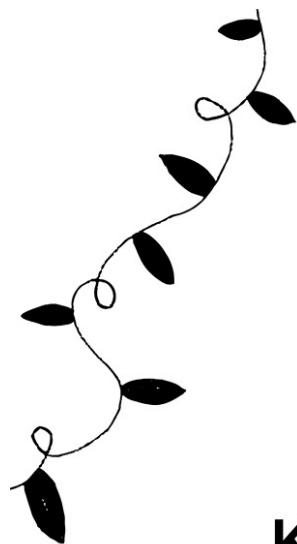


*Chcę,
byś była
w moim
życiu*

Klaudia Muniak

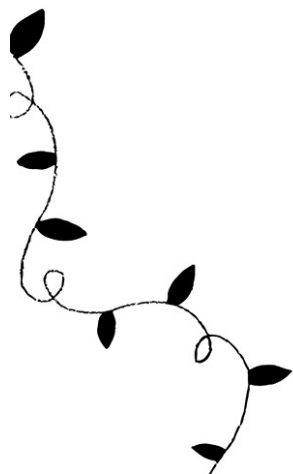


*Chcę,
byś była
w moim
życiu*



Klaudia Muniak

*Chcę,
byś była
w moim
życiu*



Copyright © 2022 by Klaudia Kloc-Muniak. All Rights Reserved.
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2022

Published by Agreement with Book/lab Literary Agency, Poland
www.literatura.com.pl

Redaktorka prowadząca: Zuzanna Sołtysiak
Marketing i promocja: Judyta Kąkol
Redakcja: Joanna Jeziorna-Kramarz
Korekta: Magdalena Owczarzak, Anna Zientek
Skład i łamanie: Justyna Nowaczyk
Projekt okładki i stron tytułowych: Martyna Fabisiak
Fotografia autorki na skrzydełku: © Adam Słowikowski
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

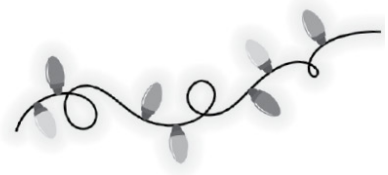
eISBN 978-83-67461-57-3

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Zamówienie nr 1504735888 swiatksiazki.pl



1.

Piekła je moja babcia, potem mama, teraz próbuję ja. Pierniki mają być kruche, miodowe, z wyraźnym aromatem cynamonu i nutą pomarańczy. Składniki wyłożyłam już na drewnianą stolnicę. Kupiłam ją cztery lata temu. Wtedy też usiłowałam upiec trochę korzennych ciasteczek na zbliżające się Boże Narodzenie. Później do niczego więcej jej nie użyłam. Miałam ją nawet wyrzucić, ale ostatecznie upchnęłam głęboko na samo dno jednej z kuchennych szafek. Pod stertą przyborów i naczyń była przez te wszystkie lata zupełnie niewidoczna. Chciałam, aby taka pozostała, początkowo wydawało mi się, że na zawsze.

Jeszcze miód, pięć pełnych łyżek. Strasznie się klei, nie wiem, jak to wszystko połączę w jednolitą masę. Aż trudno uwierzyć, że kiedyś mi się to udało. Nigdy nie byłam kuchmistrzynią, ale w ostatnim czasie w ogóle stroniłam od gotowania. Tym bardziej od pieczenia.

Ale do dzieła! Najpierw nóż. Do połączenia się składników jeszcze długa droga, jajko rozlewa mi się na boki, muszę szybko łapać żółtko, aby nie wydostało się poza stolnicę. Zagarniam je zamazyście, w powietrzu unosi się mąka. Dostaje mi się do oczu. Unoszę głowę i mrugam powiekami, aby się jej pozbyć. Nic z tego, oczy wciąż mnie szczypią. Na domiar złego kilka kosmyków wydostaje się z upiętego na czubku głowy koka i opada mi na twarz.

Myję ręce i doprowadzam się do porządku. Kiedy oczy przestają mnie szczytać, upinam kok od nowa, tym razem ciaśniej, aby moje naturalnie pofalowane, a przez to zwykle bardzo niesforne kosmyki więcej mi nie przeszkadzały. Mam długie brązowe włosy, czasem lubię rozjaśnić końcówki, ale tej zimy zdecydowałam się na jednolity kolor.

Wracam do mojego ciasta, wtedy też słyszę niski warkot silnika. Zerkam przez okno, mam je tuż przed sobą. Kuchnia usytuowana we frontowej części mieszkania ma kilka zalet. Obładowana zakupami, nie muszę taszczyć ich przez cały dom, a przygotowując śniadanie czy pijąc popołudniową kawę, mogę przyglądać się temu, co dzieje się przed blokiem.

Z taksówki wyskakuje mężczyzna, zarzuca na ramię dużą sportową torbę. Auto odjeżdża, ale po chwili w tym samym miejscu parkuje biały van. Wysiada z niego dwóch mężczyzn. Trudno mi ocenić ich wiek, są zbyt daleko – moje mieszkanie znajduje się na piętrze.

Zaciekawiona sytuacją za oknem, zanurzam palce w papce, która wciąż nie przypomina ciasta na pierniki. Zaczynam je zagniatać, tymczasem mężczyzna, który chwilę temu przyjechał taksówką, podchodzi do samochodu dostawczego. Kierowca zdążył już otworzyć tylne drzwi. W trójkę zaczynają wyładowywać z niego bagaże i drobne przedmioty domowego użytku. Nie widzę dokładnie jakie, ale najwyraźniej ktoś wprowadza się gdzieś nieopodal.

Odrywam wzrok od mężczyzn i zerkam na swoje ciasto. Wygląda mizernie. Nadal nie ma jednolitego koloru, przybrało też dziwnie lepłą konsystencję. Musiałam je wyrabiać zbyt długo i część dodanego do niego masła się roztopiła. Znów nie wierzę, że kiedyś samodzielnie udało mi się upiec pierniki, ale przecież dobrze pamiętam, jaka byłam z nich wtedy dumna.

Formuję kulę z ciasta, daleko jej do idealnej, ale może coś z niej jeszcze wyjdzie. Owijam ją w papier do pieczenia i wkładam do lodówki. Mam godzinę, aby posprzątać bajzel, który narobiłam w kuchni.

Czyszcze stolnicę z resztek ciasta i zerkam na to, co dzieje się na chodniku. Mężczyźni zabierają się do przenoszenia wyładowanych z vana rzeczy, wychylam się bardziej i okazuje się, że zmierzają do mojego bloku. Są już przy klatce schodowej.

Mieszkam w uroczym dwupoziomowym budynku. Na piętro wchodzi się po metalowych schodach ulokowanych na zewnątrz zabudowy, w jej wschodnim skrzydle. Do kolejnych mieszkań prowadzi wąski balkonik z taką samą metalową poręczą. Drzwi do apartamentów, jak czasami się je tutaj nazywa, są w różnych kolorach: żółte, czerwone i niebieskie. Moje są zielone.

Nie mieszkam sama, od wielu lat dzielę niewielką przestrzeń typowo angielskiego flat z Martą, sympatyczną pielęgniarką, która wiele godzin spędza w szpitalu i z oddaniem opiekuje się pacjentami. Podziwiam jej zaangażowanie. Jeśli faktycznie istnieje coś takiego jak powołanie, to moja współlokatorka z pewnością je ma. Towarzyszy nam też Nika, przytulaśna kotka, którą opiekuję się od lat.

Ścieram blat, zastanawiając się, w którym mieszkaniu pojawią się nowi lokatorzy. Nie utrzymuję zażyłych stosunków z sąsiadami, nie znam wszystkich, którzy tutaj mieszkają, ale w bloku jest spokojnie i czuję się w tej okolicy bezpiecznie. Naturalnie chciałabym, aby tak pozostało.

Czekam, aż mężczyźni przejdą obok mojego okna, ale nic takiego się nie dzieje. Musi chodzić o któreś z mieszkań przed tym, które sama zajmuję. Próbuję sobie przypomnieć, czy widziałam ostatnio jakieś ogłoszenie dotyczące sprzedaży, i jednocześnie wpada mi do głowy, że pierwszy grudnia to dość nietypowa data na przeprowadzkę. Wydawałoby się, że ludzie żyją już wtedy zbliżającymi się świętami Bożego Narodzenia i nie podejmują tak ważnych decyzji jak zmiana miejsca zamieszkania. Oczywiście nie ma to nic wspólnego z prawdą. W zeszłym roku, jak i w kilku poprzednich, sama pierwszego grudnia w ogóle nie myślałam o świętach.

To właśnie dziś zaczyna się ostatni miesiąc tego roku. Zerkam na komórkę, aby sprawdzić datę, choć przecież wcale nie muszę tego robić.

Moje dzisiejsze działania w kuchni są aż zbyt wyraźnym potwierdzeniem, że rozpoczął się czas przedświąteczny.

Przypominam sobie, że rozgłośnia radiowa Magic właśnie dziś zaczyna grać świąteczne piosenki, przez cały grudzień stacja będzie „częstować” swoich słuchaczy wyłącznie tego rodzaju nutami. To już ich utarty zwyczaj, niedługo chyba stanie się nawet tradycją.

Spoglądam na radio, które stoi na lodówce. To dość archaiczny model, był tutaj, kiedy się wprowadziłam. Działał, więc nie było sensu go wyrzucać. Działa nadal. Ale sprzęt nie grał świątecznych piosenek od kilku lat. Podchodzę do niego z postanowieniem, że od razu rzucę się na głęboką wodę, zamiast stopniowo wdrażać się w świąteczny klimat. Włączam radio i szukam właściwej stacji. Po chwili docierają do mnie pogodne dźwięki. Już pierwsze nuty brzmią znajomo, po chwili chwytam, jaka to piosenka. „It’s the Most Wonderful Time of the Year”, jedna z ulubionych mojej mamy.

*It's the most wonderful time of the year
There be much misoletong
And hearts will be glowing
When loved ones are near*[\[1\]](#)

Wysłuchuję się w tekst, próbując przypomnieć sobie wykonawcę. Tak, to Andy Williams! W głowie natychmiast wybucha mi wspomnienie, jak mama śpiewa razem z nim. Zagniata przy tym ciasto na pierniki. Ja jestem zaledwie kilkuletnią dziewczyną. Agata, najstarsza z naszej trójki, jej pomaga, a Arek, kilkunastomiesięczny brzdąc, robi dookoła mnóstwo bałaganu. Ale mama się nie złości, śmieje się, nie przestając wyrabiać ciasta, i śpiewa dalej. Ma delikatny, wręcz aksamitny głos, bardzo przyjemny dla uszu. Niemal bezwiednie uśmiecham się do tych wspomnień, są tak pogodne, że naprawdę robi mi się od nich cieplej.

Zostawiam radio, niech gra dalej, i zdejmuję sweter. Wypijam szklanekę wody, bo wciąż jest mi gorąco. Wspomnienia z dzieciństwa mnie

opuszczają, zupełnie jakbym przełknęła je wraz z zimną wodą. Biorę się do przygotowania blachy do pieczenia, między nogami kręci się Nika. Pewnie ma ochotę na pieszczoty, będzie musiała poczekać, aż uporam się z ciasteczkami.

Włączam piekarnik, aby się nagrzał. Wtedy w radiu zaczyna lecieć „All I Want for Christmas Is You”, jeśli się nie mylę, w wykonaniu Mariah Carey i Justina Biebera. Wesołe skoczne nuty, które dobrze znam. Przez ostatnie lata ich unikałam, ale nie dało się zupełnie od nich odciąć. Z nastaniem grudnia rozbrzmiewały wszędzie dookoła: w sklepach, w miejscach użytku publicznego, nawet w mojej redakcji. W tym roku chcę, aby te radosne melodie gościły także w moim domu.

Jeszcze moment i trzeba będzie wałkować ciasto. Zerkam przez okno, chodnik przed blokiem opustoszał, nie ma ani białego vana, ani krzątających się przy nim mężczyzn. Szybko się uwinęli.

Repertuar w radiu się zmienia, znów doskonale znam piosenkę, kiedyś stale ją nuciłam. Michael Bublé i jego „It’s Beginning to Look a Lot Like Christmas” „chodzili” za mną przez cały grudzień. Głos kanadyjskiego piosenkarza wspaniale nadaje się do świątecznego klimatu, więcej – on go tworzy.

Przy drugiej zwrotce nieśmiało zaczynam podśpiewywać pod nosem, nie jestem pewna, czy pamiętam słowa. Pierwszy wers idzie mi topornie, ale drugi już znacznie lepiej. W końcu okazuje się, że jest całkiem dobrze. Nawet kilkuletnia przerwa w celebrowaniu świąt Bożego Narodzenia nie zdołała wypędzić z mojej pamięci tekstu tej piosenki. Co więcej, ciągle bardzo mi się podoba! A głos Michaela Bublé jakby urzekł mnie na nowo. Uśmiecham się, to była dobra decyzja, koniec z unikaniem świąt!

Rozwałkuję ciasto, ma mieć pięć milimetrów. Sprawdzam kilkakrotnie, zanim stwierdzam, że udało mi się tyle uzyskać. Wykrawam gwiazdki, dzwonki, choinki i aniołki. Tych ostatnich jest najwięcej, najbardziej mi się podobają, jako dziecko Agata też najbardziej je lubiła. Arek zwykle wybierał choinki.

Układam ciasteczka na blaszce do pieczenia. O dziwo, pomimo wcześniejszej niedoskonałości ciasta wyglądają naprawdę obiecująco.

Wrzucam blachę do piekarnika, szczerze z siebie zadowolona. Założyłam, że będę potrzebować co najmniej kilku prób, zanim wyjdzie mi coś nadającego się do zjedzenia, ale może jednak niepotrzebnie tak w siebie wątpiłam. Piętnaście minut i przekonam się, czy moje obawy faktycznie były na wyrost.

Biorę się do wałkowania pozostałej części ciasta. Kiedy ponownie udaje mi się uzyskać pięciomilimetrowy placek, rozdzwania się moja komórka. Zerkam na wyświetlacz, nie znam numeru, który próbuje się ze mną połączyć. Opłukuję pospiesznie dłonie w zlewie, wycieram je w ścierkę i odbieram. Okazuje się, że dzwoni kurier. Spodziewałam się tego, Marta prosiła mnie o odbiór paczki.

– Zaraz, nie rozumiem – rzucam do telefonu, nie dowierzając temu, o czym przed chwilą poinformował mnie dostawca. – Nie przyniesie mi pan przesyłki na górę?

– Ubezpieczenie nie obejmuje wnoszenia po schodach – argumentuje.

– Słucham?!

– Ubezpieczenie naszej firmy kurierskiej nie obejmuje wnoszenia przesyłek po schodach – powtarza. – Takie zasady.

– Chyba pan żartuje – pry cham pod nosem. Słyszałam o podobnych sytuacjach, ale nigdy coś takiego mi się nie przydarzyło. – Proszę poczekać, już do pana schodzę!

Wybiegam z mieszkania nabuzowana. Szybkim krokiem przemierzam balkonik, mijając ciąg kolorowych drzwi sąsiadów. Obejmuję się ramionami, nie włożyłam kurtki, a temperatura jest iście... zimowa. Docieram do metalowych schodów i zbiegam z nich truchtem.

Nim zdążę się zatrzymać, zauważam karton, który kurier właśnie kładzie na chodniku. Pierwsze, o czym myślę, to to, że Marta postradała zmysły. Wielkość paczki mnie przeraża i zaczynam mieć poważne obawy, czy dam radę zanieść ją do mieszkania. Posapywania mężczyzny, który kładzie karton na chodniku, tylko utwierdzają mnie w tym przypuszczeniu.

– Może jednak wniesie mi pan tę paczkę na górę? – pytam. – Wygląda na ciężką.

– Bo jest ciężka – odpowiada. – Przykro mi, ale nasze ubezpieczenie nie obejmuje wnoszenia po schodach.

– Jak ja to sama tam zataszczę? – Wskazuję mu na zewnętrzną klatkę schodową.

– Przykro mi bardzo, ale nasze ubezpieczenie nie obejmuje wnoszenia po schodach – powtarza jak katarynka, czym drażni mnie jeszcze bardziej. Muszę do tego uważnie wsłuchiwać się w to, co mówi, bo nie dość, że ma silny hinduski akcent, to chyba jeszcze jakąś wadę wymowy, ewidentnie zjada głoski. – Powinna była pani sprawdzić to przed wyborem firmy kurierskiej – dorzuca, jakby chciał mnie dodatkowo wkurzyć.

Zagryzam wargi, może i ma rację, ale jest po fakcie i sytuacja wygląda tak, że jego klientki, która składała zamówienie, tutaj nie ma. Na litość boską, myślę ze złością, przecież nie jestem w stanie wtaszczyć tego pudła po tak wąskich schodach!

– Może zrobi pan wyjątek? – Próbuję jeszcze raz z nadzieją, że jednak wyciągnie do mnie pomocną dłoń.

– Nie mogę i tyle – odpowiada, i mając w nosie moje nieciekawe położenie, kieruje się do przednich drzwi wozu.

Kucam przy kartonie i próbuję go podnieść. Matko jedyna, nie mogę tego dźwignąć! Marta naprawdę oszalała! Zastanawiam się, ile musi być w środku książek, skoro to pudło tyle waży. Dwadzieścia, trzydzieści? Tyle chyba bym podniosła, a to pudło ani drgnie. Szaleństwo. Sama lubię czytać, ale moja współlokatorka to już kompletna maniaczka. Zaczynam poważnie myśleć o tym, że koleżanka powinna podjąć leczenie. Jej pokój jest zawalony książkami, leżą wszędzie, teraz już układa je w stosy przy ścianie. Gdzie zmieści te, które właśnie do niej przyszły?

– Zostawi mnie pan z tą paczką na chodniku?! – cedzę przez zaciśnięte zęby, nie dowierzając, że facet w istocie zamierza to zrobić.

– Może pani poprosić o pomoc któregoś z sąsiadów – sugeruje kurier bezdusznym tonem.

– Poprosiłam o pomoc pana – syczę w odpowiedzi.

– Ja nie mogę.

Prycham pod nosem, a dostawca wyjmuje z samochodu elektroniczny czytnik i prosi o podpis. Kusi mnie, by odmówić, pytanie tylko, co tak naprawdę osiągnęłabym takim działaniem. Składam swój autograf, a kierowca raczy mnie wyświechtanym: *Have a nice evening!*

– *Have a nice evening* – przedrzeźniam go, kiedy wsiada do samochodu.

– Dupku!

Kurier odjeżdża, krzyczę za nim jeszcze raz: „Dupku!”, tym razem głośniej. Oczywiście nic mi to nie daje. Spoglądam na paczkę, no dobrze, może przesadzam i sobie z nią poradzę. Schylam się i próbuję ją podnieść. Tym razem udaje mi się ją oderwać od ziemi, ale nie mam szans się z nią wyprostować. Idę więc pochyłona w kierunku schodów. Sapię, czując, że paczka wyslizguje mi się z rąk.

Za chwilę, bach! Upada na chodnik. Przyglądam się uważnie przesyłce, mam nadzieję, że znajdujące się w niej książki są dobrze zabezpieczone. Karton nie wygląda na uszkodzony, więc przymierzam się, by znowu go podnieść. Próbuję różnych chwytów, ale żaden nie okazuje się lepszy niż ten, dzięki któremu udało mi się odrobinę przenieść paczkę. Do schodów jeszcze kawałek, a potem stopnie... Nie poddaję się, to do mnie niepodobne. Dyszę z wysiłku coraz bardziej, z każdą chwilą karton wydaje mi się cięższy. Pozostawienie przesyłki przed blokiem zupełnie nie wchodzi w grę, obiecałam Marcie, że się nią zajmę. Pewnie też nie podejrzewała, że kurier nie dostarczy paczki pod drzwi.

– A niech to! – syczę w końcu pod nosem, opadając z sił. W przyływie nagłej frustracji mam ochotę kopnąć karton, ale przecież nie chcę zniszczyć książek. – No i kto mi pomoże?! – Wyładowuję swoją bezradność inaczej. – No kto?! – krzyczę w przestrzeń.

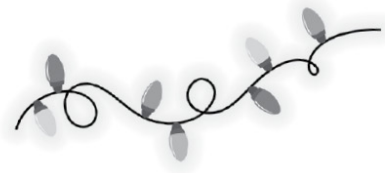
W końcu wzdycham ciężko i siadam na paczce zrezygnowana. Kopię leżący na chodniku niewielki kamień, by jeszcze w ten sposób sobie ulżyć. Zaczynam się zastanawiać, którego z sąsiadów mogłabym poprosić o pomoc, gdy coś zaczyna pisać. Nie przejmuję się tym za bardzo, bo

przecież mam własny problem na głowie. I to niemały. Nagle wkoło bloku robi się dziwne zamieszanie, z kolejnych mieszkań wychodzą sąsiedzi. O rety, czyżby mnie usłyszeli i teraz lecą mi pomóc?

Unoszę głowę i zauważam kłęby dymu wydobywające się z jednego z mieszkań na piętrze. Pisk robi się coraz głośniejszy. Podnoszę się i przyglądam uważniej temu, co się dzieje.

– O szlag! Moje pierniki! – wykrzykuję. W jednej chwili wszystko staje się jasne, zrywam się szybko z miejsca i biegnę do swojego mieszkania.

[1] A. Williams, *It's the Most Wonderful Time of the Year* (sł. L. Wyle, E. Pola).



2.

Przeciskam się pod prąd na klatce schodowej, popycham sąsiadów ewakuujących się z budynku. Pisk stał się niemal ogłuszający, mam wrażenie, że alarm włączył się w całym bloku. Teraz już wyraźnie widzę, że dym wydobywa się z mojego mieszkania.

Nie waham się wejść do środka, muszę sprawdzić, co się dokładnie dzieje, przecież została tam Nika! Słyszę coraz donośniejsze wycie samochodu straży pożarnej, jednak nie mogę na nich poczekać. Jeśli rzeczywiście się pali, kotka jest w poważnym niebezpieczeństwie.

Owiewa mnie chmura ciemnego dymu. Zaczynam kaszleć, kuchnia jest zaraz po prawej stronie, więc przechodzę do niej pośpiesznie i wyłączam piekarnik. Buchają z niego kolejne kłęby dymu. Wyjmuję rozgrzaną blachę i kładę ją na kuchence, na szczęście nigdzie nie widzę ognia.

Rozglądam się dokładnie, nie wydaje mi się, aby gdziekolwiek się paliło, więc to najpewniej dym wydobywający się z piekarnika uruchomił alarm przeciwpożarowy. Otwieram okno, aby nieco rozproszyć ciemne kłęby spowijające kuchnię. Uszy zaczynają mnie szczytać od piskliwego wycia czujnika. Jest umieszczony na suficie. Chwytam miotłę. Kiedyś Marta zapomniała o tostach i przypaliły się tak bardzo, że też włączył się alarm. Udało nam się go wtedy wyłączyć właśnie za pomocą tej miotły. Inaczej nie byłoby w stanie do niego dosięgnąć.

Dźgam czujnik raz za razem, ale nie mogę trafić we właściwy przycisk. Czubek kija od miotły za każdym razem ześlizguje się z powierzchni przycisku.

– Cholera – syczę pod nosem, próbując nieprzerwanie.

– Proszę się odsunąć! – dolatuje mnie męski głos. – Słyszysz pani? Proszę się odsunąć.

Okazuje się, że w moim mieszkaniu pojawiło się dwóch strażaków. Spoglądam na nich oszołomiona.

– Proszę wyjść na zewnątrz. – Jeden z mężczyzn bierze mnie pod rękę, jakbym miała stawiać opór. I stawiam, nie sprawdziłam przecież jeszcze, co z Niką.

– Tutaj jest moja kotka! – wykrzykuję. – Powinna być w pokoju. – Wskazuję na właściwe pomieszczenie.

– W porządku, sprawdzimy to – zapewnia strażak. – Proszę się nie martwić o zwierzątko! Teraz musi pani wyjść z mieszkania! – Ponownie ujmuję mnie pod ramię.

Tym razem posłusznie idę za nim. Nigdzie nie zauważyłam ognia, wkoło nie ma już tyle dymu, więc najpewniej Nika jest bezpieczna. Po powtórny zapewnieniu strażaka, że zajmą się moją kotką, dołączam do zgromadzonych przed blokiem sąsiadów. Stoją w grupach i dyskutują. Przeszepują z nogi na nogę, nie wszyscy są porządnie ubrani. Pewnie nie zdążyli chwycić za kurtki, kiedy rozległ się krzykliwy pisk alarmu. Sama też nie mam na sobie płaszcza, więc otulam się własnymi ramionami i patrzę, jak strażacy sprawdzają kolejne mieszkania. Wiem, że nie muszą tego robić, bo to moje spalone pierniki uruchomiły alarm, ale nie mam okazji im o tym powiedzieć. Poza tym, skoro alarm włączył się także w innych lokalach, pewnie i tak będą chcieli sprawdzić, czy i tam wszystko jest w porządku.

– Stare budownictwo – mówi ktoś. – Nie ma tu żadnych barier ognioodpornych. Dym szybko się roznosi, przez to alarmy wyją wszędzie.

Kiwam głową, choć te słowa nie były skierowane do mnie. Teraz przynajmniej rozumiem, skąd to całe zamieszanie.

Po jakimś czasie strażacy schodzą na dół, informując, że nie ma żadnego zagrożenia i możemy wracać do swoich domów. Kobieta, która, jak się okazuje, wezwała straż, dopytuje, skąd ten dym. Usuwam się na bok, mam nadzieję, że informacja o spalonych piernikach nie pójdzie w obieg.

Wreszcie strażacy zaczynają pakować sprzęt, a sąsiedzi rozchodzą się do swoich mieszkań. Tłum przed blokiem powoli rzednieje, a ja przypominam sobie o paczce, która ciągle zajmuje sporą przestrzeń na chodniku. Wtedy też słyszę słowa wypowiedane po polsku:

– Nie uwierzysz, stary! Wprowadziłem się godzinę temu, a już ewakuacja całego budynku!

Obracam głowę i widzę, że młody mężczyzna rozmawia przez telefon.

– No mówię ci, takie przeboje już na wstępie! – Śmieje się głośno. – Strach się bać, co będzie dalej. Ale słuchaj tego, wszystko przez ciastka! Jakaś laska spaliła je na węgiel!

Wzdycham bezgłośnie, bo najwyraźniej strażacy poinformowali mieszkańców bloku, co dokładnie zaszło. Nieznajomy chichocze dalej, a ja z kwaśną miną podchodzę do paczki. Słyszę, że nadal żartuje z moich spalonych pierników, ale tracę nim zainteresowanie. Mam przecież niemały problem, z którym muszę się zmierzyć. Jak po tym, co się przed chwilą stało, poproszę któregoś z sąsiadów o pomoc?

Schylam się i znów próbuję swoich sił. Może jednak uda mi się samej podnieść ten karton. Za moment wyczuwam krople deszczu. Cholera, jeszcze tylko tego mi brakowało! Zbieram się w sobie, nie mogę przecież pozwolić, aby przesyłka zamokła, zniszczą się wszystkie książki zamówione przez Martę!

– No szlag by to! – Głośno daję upust swojej niemocy.

– Może pomóc? – pyta ktoś.

Wyprostowuję się i zerkam przez ramię, by sprawdzić, z kim mam do czynienia. Mężczyzna, który jeszcze chwilę temu rechotał o moich pierniczkach, chowa właśnie komórkę do kieszeni spodni. Jest o głowę ode mnie wyższy, włosy ma ciemne, prawie czarne, jego policzki pokrywa

kilkudniowy zarost. Oczy mu błyszczą, wydaje się, że ich tęczęwki są jasne, ale jest zbyt ciemno, bym mogła dokładnie określić kolor.

– Naprawdę mógłbyś? – odpowiadam, bacznie przyglądając się nowemu lokatorowi.

– Pewnie! – Nieznajomy częstuje mnie uśmiechem i podnosi karton. – Uuu, trochę waży – stwierdza, ale nie zauważam, aby paczka stanowiła dla niego przesadnie wielki problem. Jest postawnym facetem, pudło w jego rękach wydaje się znacznie mniejsze, niż kiedy sama próbowałam je dźwignąć. – No to prowadź do mieszkania – nakazuje. – I to szybko, bo zaraz się jeszcze do tego wszystkiego przeziębisz.

Ma rację, szczękam zębami z zimna, ale do tej pory zupełnie nie zwracałam na to uwagi. Do tego z nieba zaczynają spadać kolejne krople deszczu.

Obejmuję się ciasno ramionami, jakby miało mnie to choć odrobinę ogrzać, i ruszam schodami w górę. Dobry samarytanin idzie za mną i nic nie mówi. Myślę o tym, czy jest świadomy, że to dym z mojego mieszkania napędził strachu lokatorom całego budynku. Bo że spaliły się pierniczki, już wie.

– Przepraszam za tę aferę – odzywam się, stwierdzając, że najlepiej od razu wyłożyć kawę na ławę. – Wszystko przez tę paczkę. Kurier zostawił mi ją przed blokiem i nie mogłam jej dźwignąć. Kompletnie zapomniałam, że mam ciastka w piekarniku.

– Aaa – mówi przeciągle mój pomocnik. – Więc to wszystko przez ciebie.

– Przepraszam. Nie miałam pojęcia, że ten budynek ma tak przestarzały system przeciwpożarowy.

– Ja też nie. – Nieznajomy śmieje się wesoło. Nie wydaje się przy tym ani oburzony, ani tym bardziej zniesmaczony całym zajściem. Raczej sprawia wrażenie rozbawionej sytuacją.

Docieramy do mojego mieszkania, wchodzimy od razu do kuchni. Chłopak kładzie karton na podłodze, a ja zamykam okno. Mieszkanie zdążyło się już porządnie wychłodzić.

– Oj, chyba nic z nich nie będzie – komentuje mój towarzysz, zerkając na kuchenkę, na której leży blacha ze zwęglonymi ciastkami.

– Nie bardzo – wzdycham z zakłopotaniem. – Miały być pierniki.

– Już na święta? – dopytuje.

– Chciałam trochę poćwiczyć przed świętami...

– No to niezły start! – Śmieje się głośno.

Wtóruję mu, bo nie da się ukryć, że zaczęłam z przytupem. Wtedy nasze spojrzenia nieoczekiwanie się spotykają. W mieszkaniu pali się światło, więc teraz dokładnie widzę jego oczy. Nieznajomy ma bardzo jasne tęczęwki. Miodowe. Nie pasują do ciemnych włosów, brwi i szczeciny na policzkach. To prawie jak u mnie, tyle że moje oczy są niebieskie, właściwie bladoniebieskie. Zbyt jasne, aby gładko komponować się z moimi brązowymi włosami. A jednak w tym niedopasowaniu jest coś, co lubię, i nigdy nie decyduję się na jaśniejsze odcienie.

– Jestem Kuba. – Mężczyzna wyciąga dłoń w moim kierunku.

– Zuza. – Podaję mu swoją.

– Miło mi poznać pierwszą sąsiadkę – mówi, wciąż ściskając moją rękę. – I do tego najbliższą.

Unoszę brwi ze zdumienia.

– Wprowadziliśmy się dosłownie godzinę temu, tuż obok.

– Naprawdę? Pod czerwoną dwunastkę?

Kuba kiwa głową. Uśmiecham się, mój nowy sąsiad jest, co tu dużo mówić, atrakcyjny. Przypominam sobie faceta, który wysiadł z taksówki chwilę przed tym, jak pojawił się na chodniku van. To mógł być Kuba. Przyglądam się nowemu znajomemu. Tak, to był on.

– Cóż, dziękuję, że mi pomogłeś! – reflektuję się.

– Nie ma sprawy. Przenieść gdzieś to pudło czy może zostać w kuchni? – pyta i wtedy w korytarzu pojawia się Nika. Szybko przecina korytarz i biegnie w stronę wyjścia z mieszkania. Rzucam się za nią, bo nie jestem pewna, czy drzwi są zamknięte. Niestety nie i Nika wyskakuje na zewnątrz.

– Nika, kici, kici, chodź tutaj, Nika! – wołam, ale na próżno. Biała kotka biegnie wzdłuż balkoniku i z gracją schodzi po schodkach.

– Przepraszam, zostawiłem otwarte drzwi... – mówi ze strapioną miną sąsiad. – Nie pomyślałem, że...

– Spokojnie, nic wielkiego się nie stało. Wypuszczam Nikę, aby pochodziła sobie po osiedlu. Kiedy wraca, skrobie w kuchenne okno.

– Mądra kotka. I fajnie wygląda.

– To zwykły dachowiec, ale rzeczywiście ciekawie się prezentuje przez to swoje jednolite umaszczenie. Znalazłam ją, jak się samotnie błąkała, jeszcze gdy mieszkałam na Mile Endzie z... – Gryzę się w język, bo nie ma potrzeby, bym na wstępie opowiadała sąsiadowi o swojej przeszłości.

– Też lubię zwierzęta – komentuje mężczyzna. – Chociaż chyba wolę psy.

– Ja zdecydowanie jestem kociarą. – Śmieję się, kiedy wracamy do kuchni.

– Tak jak moja siostra – oznajmia Kuba i podnosi pudło. – Mieszka na Havering i ma aż trzy koty! Gdzie to postawić?

– Będę wdzięczna, jeśli wniesiesz paczkę do salonu. – Wskazuję mu drogę. – Tam, tuż za kuchnią.

Karton trafia we wskazane przeze mnie miejsce.

– Dziękuję!

– Drobiazg!

– Tak nie do końca drobiazg, sama musiałabym się sporo napocić, żeby to wnieść. O ile w ogóle by mi się to udało.

– Sąsiadka przysługa. – Kuba się uśmiecha. Pogodnie i ciepło, jego kości policzkowe stają się przy tym wyraźniejsze, nadają jego twarzy dodatkowy... urok. Oczy błyszczą mu jeszcze bardziej, niż kiedy się nie uśmiecha. Zapatruję się w ich jasną barwę, naprawdę nie pasują do całości. Przykuwają uwagę na tyle, że można byłoby pomyśleć, iż nosi soczewki, aby celowo uzyskać taki efekt. – Trzeba sobie pomagać...

Otrząsam się, zdając sobie sprawę, że zwyczajnie się gapię.

– Jakoś się zrewanżuję – mówię w końcu.

– Może talerzyk pierników?

Spoglądam na sąsiada, zastanawiając się, czy przypadkiem sobie ze mnie nie drwi. Ale nie, Kubie pogodny uśmiech nie schodzi z ust. Nie odnajduję

w nim żadnej kpiny. Poza tym... przygląda mi się. Odnoszę wrażenie, że również zwrócił uwagę na moje bladoniebieskie oczy. W moim przypadku można byłoby z kolei pomyśleć, że jestem naturalną blondynką, a brązowe kosmyki to efekt dobrego fryzjera. Ale nie, urodziłam się z tym nieoczywistym połączeniem.

– Jak już mi wyjdą, to na pewno! – odpowiadam z uśmiechem.

– Świetnie. Lubimy czasem przegryźć coś słodkiego, a bożonarodzeniowe pierniki to już obowiązkowo!

Uśmiech zastyga mi na twarzy. Lubimy. My. Liczba mnoga. On i jego dziewczyna? Może nawet żona?

– Tak, racja, bożonarodzeniowe pierniczki są super – dukam.

– Chyba każdy je lubi.

– Tak.

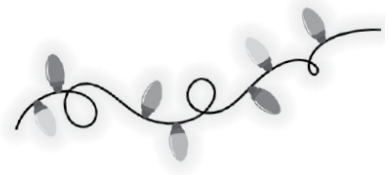
Milkniemy, nie ma już nic do dodania. Z jakiegoś jednak powodu Kuba nie wychodzi. Wreszcie zrywa się z miejsca, jakby właśnie zdał sobie sprawę z tego, że nie ma potrzeby, by dłużej przebywał w mieszkaniu nowej sąsiadki.

– Miło było cię poznać, Zuza. – Spogląda na mnie, jakby szukał potwierdzenia, że nie przekręcił imienia. Albo chce je dobrze zapamiętać, albo tak bardzo nie jest zainteresowany innymi kobietami, że kiedy mu się przedstawiłam, nie zwrócił na nie większej uwagi.

– Ciebie również – odpowiadam. – I... – Rozkłada bezradnie ręce, jakbym nie była pewna, co chcę w tej chwili powiedzieć. – Niech wam się dobrze tutaj mieszka – mówię wreszcie.

– Dzięki!

Kuba częstuje mnie jeszcze jednym uśmiechem, po czym wychodzi. Zamykam za nim drzwi i wzdycham ciężko. Kurier dupek, pierniki spalone, jestem zmarznięta, a w mieszkaniu wciąż unosi się wyczuwalna woń dymu. Byłam przygotowana na wiele, ale na pewno nie tak wyobrażałam sobie pierwszy grudnia.



3.

Porannek jest zimny, jak na londyńskie warunki to nawet mroźny. Porywisty wiatr potęguje odczucie chłodu, jego mocne podmuchy przyprawiają mnie o dreszcze. Docieram do redakcji Londyn PL zmarznięta. Dwa lata temu przenieśliśmy się do własnego biura, którego z nikim nie musimy już dzielić. Praca w warunkach open space'u z pewnością miała kilka zalet, jednak w końcowym rozrachunku była uciążliwa. Zwłaszcza w takim mieście jak Londyn, gdzie można spotkać niemal każdą narodowość. Nie jest tajemnicą, że Amerykanie bywają bardzo głośni, ich telefoniczne rozmowy słychać w całym biurze. Zdarzają się też całkiem zaskakujące nawyki. Malezyjczycy bekają bez skrępowania, w ich kulturze nie uchodzi to za brak manier czy złe wychowanie. Można by mnożyć przykłady na to, że dzielenie wspólnej przestrzeni z wieloma osobami, szczególnie zatrudnionymi dla różnych firm, jest mało komfortowe, ale te problemy przestały nas dotyczyć.

W redakcji praca wre. Witam się z kolegami, redaktorami takimi jak ja, graficzką i chłopakiem z IT. Naczelną, jako jedyną z zespołu, ma wydzielony niewielki pokój, drzwi do niego są jak zwykle otwarte, przełożona nigdy się od nas nie izoluje. Widzę, że i ona jest już na swoim stanowisku.

Zrzucam z siebie płaszcz i przechodzę do aneksu kuchennego na końcu pomieszczenia. Jest całkiem dobrze wyposażony, znajdują się tu: lodówka, zamrażarka, mikrofalówka, opiekacz, a nawet ekspres do kawy. Dzisiaj decyduję się na herbatę, potrzebuję gorącego napoju, aby się rozgrzać. Poza tym po prostu lubię angielską herbatę, jest mocna, z wyczuwalną nutą goryczki, której nigdy nie zabijam cukrem. Anglicy uwielbiają pić ją z mlekiem, ja wybieram jednak intensywny, niczym niezmacony smak czystego naparu.

Siadam z kubkiem przy biurku i odpalam komputer. Pracuję dla Londyn PL od ponad pięciu lat i kocham to, co robię. Już jako nastolatka przeprowadziłam się do brytyjskiej stolicy. Mój tata przebywał tutaj od dłuższego czasu, do wyjazdu zmusiła go sytuacja ekonomiczna. Nie było łatwo utrzymać pięcioosobową rodzinę, szczególnie jeśli najstarsza córka miała lada moment rozpocząć studia. Ojciec postawił sobie za punkt honoru zapewnienie jej zaplecza finansowego, tak aby mogła bez przeszkód kształcić się na wymarzonym kierunku. Skończyła stomatologię. Podejrzewam, że wobec mnie rodzice zachowaliby się podobnie, ale ja miałam na siebie nieco inny pomysł. Przeniosłam się do Londynu, gdy skończyłam piętnaście lat. Mama nie chciała się na to zgodzić, długo toczyłyśmy zaciętą walkę. Na szczęście tata stanął po mojej stronie i w ostatecznym rozrachunku ukończyłam college, a potem studia dziennikarskie w Anglii. Już podczas nauki pracowałam w mniejszych londyńskich gazetach i niemal z każdą z nich mogłam związać swoją przyszłość, jednak w moje ręce nieoczekiwanie wpadło ogłoszenie o pracy w redakcji Londyn PL i moje serce zabiło mocniej. Poczułam, że właśnie tu jest moje miejsce.

Londyn PL to największy portal polonijny w Europie, a dodatkowo pod tą samą nazwą wychodzi polskie czasopismo. Jest dostępne na terenie całej Wielkiej Brytanii, ukazuje się co dwa tygodnie. Jestem zatrudniona dla internetowego portalu, nad wydaniem papierowym czuwa osobny zespół. Oczywiście współpracujemy ze sobą, mamy też wspólnego grafika oraz korzystamy z usług tego samego fotografa.

Naczelną to zwariowana babka o szalonych pomysłach, dzięki której ten portal tak dobrze prosperuje. Oliwia stworzyła też świetne warunki pracy, do tego zadbała, aby zespół składał się z ludzi takich jak ona – dzielących jej dziennikarską pasję. Dzięki temu naprawdę chce nam się tutaj przychodzić, lubimy to, co robimy.

Nasza szefowa postawiła przede wszystkim na rozwój portalu, ale nie pominęła w tym swoich pracowników. Zadbała, aby nikt z nas nie poczuł znużenia. W największym skrócie – każdy z nas robi tu wszystko, w zależności od dnia. W ten sposób nie tylko eliminujemy ryzyko popadnięcia w rutynę, ale także dostajemy możliwość poszerzania naszych umiejętności.

Dziś jestem redaktorem wydania. Z powodzeniem można tę funkcję porównać do roli redaktora telewizyjnego wydania serwisu informacyjnego. Jestem zatem odpowiedzialna za portal. To ja decyduję, które newsy zostaną udostępnione. W tym czasie moi koledzy zajmują się analizą depeesz płynących z Polskiej Agencji Prasowej, prowadzeniem facebookowego konta portalu i tłumaczeniami wybranych artykułów z anglojęzycznych mediów. Naszą „Biblią” jest oczywiście BBC, ale polegamy także na brytyjskim SKY News oraz amerykańskich Bloomberg i Associated Press.

– *Hi, darling* – wita się ze mną Leo, nasz fotograf. – Co tam dziś mamy w planach? – Zdejmuje z siebie puchową kurtkę, po czym sięga po jeden z wolnych foteli i zwała się na niego ciężko. Przysuwa się do mnie.

Dobrze nam się współpracuje, zresztą chyba każdy z firmy lubi dzielić z Leo projekty. Jest bezkonfliktowy i lubi tę robotę. Na gruncie towarzyskim też nie można mu niczego zarzucić, pozytywnie nastawiony do życia, zawsze uśmiechnięty, potrafi słuchać drugiego człowieka. Szybko złapaliśmy wspólny język, jak to mówią: nadajemy na tych samych falach.

– Chciałabym zrobić foty lodowisk na świeżym powietrzu – mówię, upijając łyk gorącej herbaty. – Objechałbyś je dziś ze mną?

– Okej. – Leo kiwa głową, a jego czarne przydługie loki śmiesznie podskakują. – Nie będziesz w tym roku używać gotowców?

Tak to wyglądało przez ostatnie lata, opierałam się na fotkach z baz zdjęć, z których korzysta redakcja na zasadzie wykupionej subskrypcji. Getty Images to świetne źródło fotografii, a jeśli czegoś tam nie znajdę albo nie jestem usatysfakcjonowana ich ofertą, mamy jeszcze w zanadrzu Shutterstock. W tym roku obiecałam sobie jednak, że uraczę czytelników portalu świeżymi, autorskimi zdjęciami jednej z najbardziej lubianych zimowych atrakcji. Chyba nie ma miłośnika zimowej aury, który nie darzyłby sympatią lodowisk.

– Myślę, że przydałoby się w końcu zrobić własne zdjęcia – mówię.

– Dla mnie to żaden problem – zapewnia Leo czystą polszczyzną, choć w żyłach fotografa płynie francuska krew. Jego mama zadbała jednak, aby opanował jej język ojczysty w idealnym stopniu. – To które ci chodzą po głowie?

– Na pewno lodowisko przy Somerset House, Tower of London i Muzeum Historii Naturalnej. Jak damy radę, może jeszcze to przy tym dużym diabelskim młynie na Clapham Common?

– A na dachu Skylight?

– O, koniecznie! Lodowisko jest małe, ale widok na miasto musi być odlotowy.

– To kiedy dokładnie? – pyta Leo. Podobnie jak ja przywykłam, że zdarza nam się pracować o różnych porach dnia. Często też nie liczymy nadgodzin. Tak się dzieje, kiedy kocha się swoją pracę. A kiedy widzi to naczelna i docenia, motywacja jest jeszcze większa. – Po zmroku?

– Byłyby fajne ujęcia, cały Londyn jest już przystrojony na święta. Może zaczniemy koło czwartej?

– A jak skończymy, to oczywiście zjemy późny lunch?

– W sensie piwo i stek w Wetherspoonie?

Leo szczerzy się w szerokim uśmiechu.

– Dobra – zgadzam się, skoro i tak nie wygląda na to, bym dziś wróciła do domu o przyzwoitej porze i mogła zabrać się do bożonarodzeniowych pierników. Wolałabym nie myśleć o wczorajszym niewypale, ale widok

zwęglonego ciasta ciągle majaczy mi przed oczami. – Drugie podejście do pierników jutro – wzdycham.

Leo spogląda na mnie badawczo.

– Chcę upiec pierniki. To rodzinna tradycja, u Krajewskich w Boże Narodzenie stół zawsze uginał się od pachnących pierników – tłumaczę. – Są absolutnie niezastąpione.

– Czyli w tym roku będziesz obchodzić Boże Narodzenie? – pyta przyjaciel niepewnym tonem. Najwyraźniej nie brał na poważnie moich wcześniejszych przebąkiwań, że ten rok będzie inny niż dotychczas.

– Tak, dokładnie – odpowiadam i nawet ja słyszę w moim głosie niezachwianą determinację.

Leo spogląda mi w oczy.

– Zawsze lubiłam Boże Narodzenie – dorzucam, jakby miało to wszystko wyjaśnić.

– Więc to wcale nie takie głupie, aby nadal je obchodzić – odzywa się. – Ale czy nie powinnaś podejść do świąt po swojemu?

– Co masz na myśli?

– Wiesz... Przygotować się do nich tak, jak ci serce podpowiada. – Zniża głos niemal do szeptu, za co jestem mu wdzięczna. Nie ma potrzeby, by cała redakcja słyszała, o czym właśnie rozmawiamy. – Zadbać o rzeczy, które sprawiają ci radość, po prostu spędzić święta tak, żeby ten czas był dla ciebie przyjemny.

Nie komentuję.

– A nie odtwarzać rodzinne tradycje...

– Kiedy serce właśnie to mi podpowiada. – Wchodzę mu w słowo, samej zapominając, że nie jesteśmy w pomieszczeniu sami.

– Czyżby? – Fotograf unosi brwi, jakby powątpiewał w moje słowa.

– Po prostu czuję, że jest mi to potrzebne. – Tym razem dbam o to, aby mówić wystarczająco cicho. – Właśnie to.

– Może jeszcze chcesz kupić żywą choinkę, ubrać ją, przystroić mieszkanie świąteczkami i lepić pierogi? – pyta z irytacją w głosie.

Spogląda na mnie przy tym tak, jakbym postradała zmysły. Chyba naprawdę nie brał na poważnie moich tegorocznych planów świątecznych.

Kiedy zbywam jego pytanie milczeniem, prychna pod nosem, kręcąc przy tym głową.

– Chcę spędzić te święta jak... – odzywam się. – Jak... Jak święta. Po prostu.

– Okej, ale nie musisz robić tego wszystkiego – ripostuje od razu przyjaciel. – Święta można spędzić na dziesiątki różnych sposobów, ważne, aby czuć się... dobrze. – Milknie. Chwilę mi się przygląda, a potem wypuszcza ciężko powietrze z płuc. – Nie chcę dla ciebie źle – zapewnia, wciąż patrząc mi w oczy.

– Wiem, Leo.

– Wręcz przeciwnie.

– Wiem – przytakuję ponownie.

– A co z tatą? – Zmienia temat.

– Przyjedzie... z Alice.

– O-o-o.

– Tak – wzdycham. Ojciec kilkanaście miesięcy temu ożenił się z puciołowatą, wiecznie uśmiechniętą Angielką o szkockich korzeniach i niedawno przeprowadził się do Liverpoolu. Mamy ze sobą stały kontakt. – To będą nasze pierwsze święta w takim gronie – dodaję.

– Mówiłaś, że babka jest spoko.

– Bo jest – wzdycham jeszcze raz. – Lubię ją, naprawdę. Ale jakkolwiek by było... – urywam, bo sama nie wiem, jak wyartykułować swoje obawy.

– Nie wiem, jak to będzie, gdy usiądziemy przy wigilijnym stole... Ona, obok tata... Wiesz... Boję się, że poczuję się tak, jakby zastąpiła mamę...

– Bo w pewnym sensie tak jest.

– Nie. – Kręcę energicznie głową. – Nikt nie zastąpi mamy – oznajmiam z pełnym przekonaniem. – Ani Alice, ani nikt inny.

– A Marta? Co z nią? – Leo zmienia temat, za co jestem mu wdzięczna. Redakcja to nie najlepsze miejsce na dyskusję o moich kłopotach rodzinnych.

– Marty jak zwykle praktycznie nie będzie przez całe święta – oświadczam.

– Znowu wzięła dyżury w szpitalu?

Kiwam głową.

– Szalona! – Leo się śmieje, a do biura wchodzi Krzysiek, jeden z naszych redakcyjnych kolegów.

– Lecę! – Na jego widok Leo natychmiast podnosi się z fotela. – Niedługo rozpocznie się protest przed brytyjskim parlamentem, Krzysiek chce być na miejscu i strzelić kilka fot. Zapowiada się niemała pikieta.

– Do zobaczenia wieczorem! – rzucam, obracając się w stronę komputera.

– Na razie, *sweetie*. – Fotograf znika, a ja wypuszczam głośno powietrze z płuc.

Odbyta z nim rozmowa daje mi do myślenia. Może rzeczywiście popełniam błąd? Próbuję wyobrazić sobie tę sytuację. Że spędzam święta z Alice zamiast z mamą. Wiem, że może nie być to łatwe, ale do diaska, chcę znów cieszyć się Bożym Narodzeniem! Ostatnie cztery spędziłam w Londynie, udając, że te grudniowe dni przestały dla mnie istnieć. Pozostawałam ślepa i głucha na radujących się tym wyjątkowym czasem ludzi, wmawiając sobie, że za niczym nie tęsknię. Z tatą, który też udawał, że jemu nie brakuje takich świąt, jakie obchodziliśmy w Polsce, gdy byliśmy wszyscy razem – ja, Arek, Agata i rodzice. Może łatwiej byłoby polecieć do Polski? Może to właśnie tam powinnam spędzić święta, zamiast próbować stworzyć tamtą atmosferę tutaj?

Wzdycham. Najlepiej będzie, jeśli teraz skoncentruję się na obowiązkach. Artykuły same nie powstaną, a robienie sobie zaległości nie leży w mojej naturze. Przełączam się na tryb dziennikarki. Potrafię wsiąknąć w materiał, uchwycić to, co istotne, ale jednocześnie emocjonalnie się od niego odciąć. To użyteczna umiejętność, zwłaszcza kiedy trzeba zmierzyć się z nieprzyjemnymi tematami. Bardzo mi się przydała, gdy pracowałam w gazetach lokalnych. Jak w każdym dużym mieście również w Londynie nie brakuje okrucieństwa, o którym media powinny donosić obywatelom. Obecnie nie muszę się z tym mierzyć na tak dużą skalę. W Londyn PL

treści, z którymi się stykam, są bardzo różnorodne, przez co znacznie rzadziej pochylam się nad trudnymi tematami. Choć oczywiście i takich nie brakuje, wtedy korzystam z nabytej umiejętności dystansowania się. Okazuje się ona przydatna także w innych okolicznościach – w czasie zawieruch w życiu osobistym. Tak było, kiedy rozstałam się z Andrejem, podobnie, gdy zaczęłam spędzać Boże Narodzenie w Londynie.

Kiedy już udaje mi się uporać z newsami politycznymi i gospodarczymi, biorę na warsztat coś lżejszego. Piszę o świątecznych jarmarkach odbywających się na terenie Wielkiej Brytanii, szczególnie polecam ten w Blenheim, Winchesterze, Birmingham i Nottingham, ale też londyński The Angels Christmas Market przy Hyde Parku. Większość z nich działa już od połowy listopada, niektóre nawet wcześniej, ale początek grudnia wydaje się dobrym momentem, by przypomnieć o nich czytelnikom. Ten przy Hyde Parku nie jest mi obcy, kiedyś odwiedzałam go rok w rok, zwykle tuż przed wyjazdem do Polski, aby zrobić świąteczne zakupy. Zawsze zachwycał mnie tak samo. Ma niepowtarzalną atmosferę, brakuje jedynie białego puchu. Niestety obecnie śnieg w Anglii należy do rzadkości, choć muszę przyznać, że w zeszłym roku posypało w styczniu tak, że transport publiczny został kompletnie sparaliżowany. Spadły całe dwa centymetry śniegu! Aż trudno uwierzyć, że kiedyś, jakieś dwadzieścia-trzydzieści lat temu, na Wyspach były srogie zimy. Donoszą o tym stare artykuły prasowe, słyszałam też wiele takich opowieści od wiekowych mieszkańców miasta.

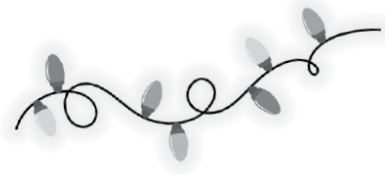
A może w tym roku do tego wrócę? Wybiorę się na ten jarmark. Ten dobrze mi znany albo może powędruję gdzieś, gdzie mnie jeszcze nigdy nie było?

W kolejce czeka materiał o nadchodzących w mieście wydarzeniach kulturalnych wraz z przeglądem oferty kinowej i teatralnej. Przygotowała go Kamila. Kiedy go przeglądam, moje myśli zaczynają krążyć wokół wczorajszego wieczoru. Wspominam zwęglone pierniki, usiłuję przypomnieć sobie, ile prób potrzebowałam, aby ciasteczka wyszły mi wtedy, te cztery lata temu. Bo przecież w końcu mi się udały. Nim zdążę to

ustalić, w moje myśli wkrada się... sąsiad. Zaczynam się zastanawiać, gdzie jest teraz. W pracy? Czym się w ogóle zajmuje? Za moment myślę już o tym, jak wygląda jego dziewczyna i jak długo są razem. Czy kupili to mieszkanie obok mojego, czy jedynie je wynajęli? Kupno oznaczałoby znacznie poważniejszą sprawę, poważniejszy związek i poważniejsze plany na przyszłość...

Co ja wyprawiam?! Stanowczo się zapędziłam.

Chwytam za kubek i dopijam herbatę. To już trzecia dzisiaj. Mocny napar pomaga mi wyrzucić z głowy Kubę. Po chwili wracam do pracy. Naprawdę mam co robić.



4.

Udało nam się obfotografować prawie wszystkie najfajniejsze lodowiska w Londynie. Byliśmy nawet na dachu Skylight, zdjęcia stamtąd będą chyba najlepsze. Wygląda na to, że postawię na dłuższy artykuł o londyńskich *ice rinks*. Pracę w Londyn PL cenię sobie także za daną mi tutaj swobodę.

– Dobra, cyknijmy jeszcze fotki tu i spadamy do domu – mówi Leo, kiedy wychodzimy z pubu Wetherspoon nieopodal Tower of London. Zjedliśmy po steku z frytkami i zielonym groszkiem, popiliśmy go piwem. Czuję się ociężała, ale lodowisko przy zabytkowym londyńskim więzieniu jest miejscem, z którego nie mogę zrezygnować.

– A wiesz, dlaczego Tim Martin nazwał swój pub Wetherspoon? – pyta Leo, kiedy wychodzimy z lokalu.



– Właściwie to nie wiedziałam nawet, kto jest założycielem – przyznaję.

– No to już wiesz. Wetherspoon to nazwisko jego nauczyciela.

– O! Tak bardzo go cenił?

– Przeciwnie. – Przyjaciel kręci głową. – Facet powiedział mu, że nic w życiu nie osiągnie.

– Serio? – pryham z niedowierzaniem, podziwiając tego całego Martina, bo nie dość, że mężczyzna rozkręcił biznes na całą Wielką Brytanię i Irlandię, to jeszcze z wyrefinowaniem nie dał o tym zapomnieć swojemu nauczycielowi.

– Dobry koleś, nie?

Idziemy w kierunku fortecy, która stoi tutaj od tysiąc siedemdziesiątego ósmego roku, szczękając zębami z zimna. Wyspiarska wilgoć potęguje grudniowy chłód. Pomimo wieczoru lodowisko jest pełne ludzi, nie brakuje też dzieciaków. Niektóre z nich jeżdżą jak wyborowi łyżwiarze, inne dopiero próbują swoich sił. Podświetlone na niebiesko mury Tower of London rozjaśniają okolicę i wzmagają odczucie zimna. Lód połyskuje.

– Fajnie, tutaj zrób kilka zdjęć. – Wskazuję fotografowi konkretne miejsce.

– Robi się, szefowo.

Leo sprawnie cyka kilka fotek, a potem proponuje, by przejść się na drugi koniec lodowiska i zrobić jeszcze dodatkowe ujęcia. Nie protestuję, to on jest tutaj specjalistą.

– Mamy to – stwierdza, przeglądając zdjęcia w aparacie. – Możemy wracać.

– Mhm – mrużę, wpatrzona w lodowisko i bawiących się w najlepsze ludzi. To naprawdę przyjemny widok, dla mnie nawet nostalgiczny, ale niezmiennie błogi.

– Umiesz jeździć?

– Na łyżwach? – pytam głupio, a Leo kiwa głową. – Kiedyś całkiem nieźle, ale dawno tego nie robiłam.

– To wskakuj, przekonamy się.

– Nie, no coś ty! – Od razu stawiam opór.

– A czemu nie?

– Jest już późno.

– Na to, żebym dziś jeszcze wyskoczył na jakąś randkę, to faktycznie, ale żeby już się zwijać do chaty, niekoniecznie. – Uśmiecha się zadziornie. – Dziś jestem twój.

Przygryzam wewnątrz policzka niezdecydowana. Mam ochotę zobaczyć, czy wciąż potrafię to robić, ale już samo patrzenie na lodowisko przywołuje wspomnienia, na które niekoniecznie mam ochotę w miejscu publicznym.

– Wskakuj na lód, no śmiało! – przekonuje Leo.

Próbuję przypomnieć sobie, kiedy ostatnio odwiedziłam lodowisko. Chryste, ładnych parę lat nie miałam łyżew na nogach! W głowie jaśniej mi wspomnienie, jak Agata zabrała mnie w czasie ferii do miejskiego ośrodka sportu i rekreacji. Jeździliśmy wtedy chyba z trzy godziny. Szaleństwo na lodzie nigdy się nam nie nudziło. Później siostra wyjechała na studia i już nie miałyśmy wielu okazji do tego typu wyjść. Ściska mnie w dołku na myśl, że już nigdy nie będziemy miały takiej szansy. Agata nie chce nawet ze mną gadać, a co dopiero gdzieś ze mną pójść. Chociaż... dawno już nie próbowałam się z nią skontaktować. Ani ona ze mną. Może coś się już... zmieniło?

– No, dawaj! – Głos Lea rozprasza moje myśli. – Przecież widzę, że masz ochotę!

– Dobra, niech ci będzie – rzucam, zanim zdążę podjąć w pełni świadomą decyzję.

Leo się śmieje, a ja na sztywnych nogach idę wypożyczyć łyżwy. Niepewność mnie nie opuszcza, chyba nawet przybiera na sile, kiedy biorę parę łyżew do ręki. Kiedyś naprawdę dobrze jeździłam. Mówią, że tego się nie zapomina, ale jak jest naprawdę, nie mam pojęcia. Zapinam klamry, zastanawiając się, co będzie, jeśli wejdę na lód i od razu się przewrócę. Unoszę głowę i zauważam, że Leo ustawia aparat.

– Chyba nie będziesz mi robił zdjęć? – wołam.

– A właśnie, że będę.

– I tak ich nie wykorzystam do artykułu.

– To będziesz je miała dla siebie. – Puszczą do mnie oko. – Wiesz, że lubię cię fotografować.

To prawda, Leo pstryka mi dziesiątki fotek, często zupełnie z zaskoczenia. Dzięki niemu zbieram fajne pamiątki, sama zapominam o robieniu zdjęć.

Łyżwy mam już na nogach. Wzdycham ciężko, bo ciągle nie wiem, czy nie porywam się z motyką na słońce. Wchodzę na lód i czuję się jeszcze bardziej niepewnie. Ślizgam się, w pierwszej chwili trudno mi złapać równowagę i ogarnia mnie panika. Wydaje mi się, że zaraz runę na lód jak długa. Ale nie! Stoję. Nabieram odwagi i ruszam, po chwili sunę gładko. Niczego nie zapomniałam, jazda idzie mi zadziwiająco płynnie.

Po kilku chwilach relaksuję się na tyle, że rozluźniam spięte do tej pory ramiona. Młoda dziewczyna obok mnie posyła mi szeroki uśmiech, a tuż przede mną jakiś chłopiec robi piruet. Aż tak dobrze jak ten smyk nie opanowałam jazdy na łyżwach, ale postanawiam sprawdzić, czy wciąż potrafię się poruszać tyłem. Wychodzi mi to bez problemu. Kiedy mężczyzna ostro hamuje tuż przede mną i mgiełka drobnych kryształków lodu ląduje na mojej twarzy, przypomina mi się przydomowe lodowisko, które każdej zimy przygotowywał dla nas tata. Nie było duże, ale wystarczało, byśmy się nauczyli sprawnie jeździć. Dorobiliśmy się z Arkiem i Agatą całej masy siniaków, ale było warto. Brat nawet chwilę grał w powiatowej drużynie hokeja.

Kąciki ust mimowolnie wędrują w górę, gdy przywołuję te wspomnienia. Pod ich wpływem przestaję czuć jakiegokolwiek zimno. Na dobre daję się porwać atmosferze miejsca, w którym jestem, i sunę po lodzie niczym w tańcu. Mijam roześmianych ludzi, sama się do nich uśmiecham. Przez głowę stale przelatują mi wydarzenia z przeszłości, jedne są zaledwie wątlými migawkami, inne stanowią bardzo realistyczne obrazy, raz czy dwa wydaje mi się, że czuję tamten chłód i słyszę tamte głosy. Najpewniej to zimno i piski, które mnie teraz otaczają, ale odbieram je, jakby były tamtymi.

– Hej, *lady!* – słyszę nagle głos, który nie pasuje do moich wspomnień. – Bo zaraz tu zamarznę!

Przytomnieję, wracam do tego, co tu i teraz. Dociera do mnie, że to woła Leo. Podjeżdżam do balustrady.

– A nie chciałbyś też pojeździć? – pytam, choć mój towarzysz faktycznie wygląda na zmarzniętego. Uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, ile

czasu jestem na lodzie.

– Wolę nie ryzykować. – Fotograf unosi nieco aparat. Kiwam głową ze zrozumieniem.

Ten sprzęt ma dla niego ogromną wartość. Nosi go niemal zawsze przy sobie, jak mówi, nigdy nie wiadomo, kiedy wydarzy się coś, co trzeba będzie uchwycić. Pieczołowicie dba przy tym, aby aparatowi nic się nie stało. Jest zapalonym fotografem. Nie tylko pracuje w Londyn PL, ale także angażuje się w sesje modowe. Kto wie, może kiedyś zostanie sławnym artystą? Gdzie, jak nie w Londynie, spełniają się wielkie marzenia?

– A to co? – Unoszę głowę, czując niespodziewaną wilgoć na policzku. – Śnieg? – pytam z niedowierzaniem, kiedy na twarz spada mi kilka kolejnych płatków.

– Podobno ma padać na święta – odpowiada Leo. – Ba! Ma sypać!

Uśmiecham się pod nosem. Choć wiem, że przy aurze, która obecnie panuje na Wyspach, jest to niemal niemożliwe, a synoptycy na darmo straszą intensywnymi opadami śniegu, to byłoby naprawdę miło, gdyby dwudziestego czwartego grudnia te prognozy się sprawdziły. Albo gdyby chociaż trochę poproszyło. Jeszcze lepiej, gdyby ten biały puch utrzymał się przez kilka kolejnych dni.

Kiedy wracam do domu, po śniegu nie ma już nawet śladu, zakładam, że jesteśmy z Leo nielicznymi szczęśliwcami, którzy zupełnie przypadkowo zarejestrowali to niecodzienne zjawisko.

Docieram na Shadwell późnym wieczorem. Lubię tę dzielnicę. Ceglana zabudowa z kolorowymi elementami konstrukcyjnymi nadaje jej wyjątkowy klimat, który wzbogacają wąskie uliczki. A do centrum Londynu jest już stąd naprawdę niedaleko. Od słynnego Tower of London dzieli mnie zaledwie kilkunastominutowy spacer.

Pokonuję metalowe schodki z wysiłkiem, wieczorne tournée po lodowiskach wypruło mnie z energii. Tournée, powtarzam na głos, ale Leo na pewno nadal by mnie poprawił, francuska wymowa stanowi dla mnie przeszkodę nie do pokonania. Kiedyś przyjaciel próbował mnie uczyć

popularnych zwrotów, ale poddał się, gdy słyszał, jak profanuję ten dźwięczny język.

Moją uwagę przykuwają mieszkania obwieszane świątecznymi lampkami. W Londynie to nic nadzwyczajnego. Nie tylko sklepy i miejsca publiczne zaczynają stroić się na święta tuż po Halloween, ale także prywatne domy.

Przyglądam się budynkowi, w którym mieszkam. Świąteczka błyszczą głównie w oknach, ale metalowa balustrada w wielu miejscach też jest oświetlona. Przychodzi mi na myśl, że nasz blok wyglądałby pięknie, gdyby każdy przyozdobił balkonik przy swoim mieszkaniu. Tata zawsze dbał o zewnętrzny wystrój domu na święta, chętnie pomagał też mamie ubierać choinkę. Choć w domu się nie przelewało, na te świąteczne ozdoby zawsze wygospodarowali trochę grosza. Ich starania cieszyły moje dziecięce oko.

Ruszam schodami w górę. Zauważam, że mieszkania obok mojego są nieoświetlone. Zwalniam przed tym, do którego wprowadził się Kuba, i wpatruję się w ciemne okno, najpewniej kuchenne. Roleta jest szczelnie zaciągnięta. Ciekawi mnie, czy sąsiad jest w domu. A jeśli tak, to czy jego dziewczyna także wróciła już do mieszkania? Może pracuje wieczorami albo nawet na nocnych zmianach?

Kuba. Podoba mi się to imię, krótkie i nie za poważne, przyjemne fonetycznie i z nikiem konkretnym mi się nie kojarzy. Przynajmniej do teraz.

Wyobraźnia zaczyna podsuwać mi obraz chłopaka, który leży na łóżku i ogląda kolejny odcinek swojego ulubionego serialu na Netflixie. Mimo że zwykle z zapalem śledzi losy bohaterów, dziś nie może wciągnąć się w fabułę. Głowę ma zajętą...

Ruszam szybko z miejsca, kiedy dociera do mnie, że zdecydowanie za długo stoję przed drzwiami sąsiada. Więcej, błędzę myślami nie wiadomo gdzie.

Pospiesznie znikam w swoim mieszkaniu, a kiedy zamykam za sobą drzwi, łapię się na tym, że dawno nie myślałam o żadnym mężczyźnie. Z Andrejem rozeszłam się, jeszcze zanim przestałam obchodzić Boże

Narodzenie, a potem... Cóż, potem właśnie tak to wyglądało – odpuściłam wiele rzeczy, które wcześniej były dla mnie zupełnie naturalne.

Potrząsam głową, wypuszczając ciężko powietrze z płuc. Właśnie dlatego chcę te święta przeżyć... normalnie. Tak jak dawniej wycisnąć z nich radość. Wierzę, że to możliwe. Zwłaszcza że minęło już wystarczająco dużo czasu, aby spróbować. Cztery lata. Wzdycham, cztery lata. Przynajmniej tata zdążył przez ten czas ułożyć sobie życie. Widzę, że jest z Alice szczęśliwy.

– Hej! – Z salonu wyłania się Marta. – Dzięki za odebranie paczki.

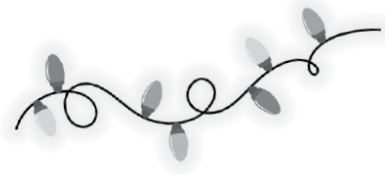
– Nie ma sprawy! – odkrzykuję i wreszcie biorę się do zdejmowania z siebie płaszcza. Przechodzę za współlokatorką do pokoju. Koleżanka siada na podłodze i wyjmuje z kartonu książki, część z nich jest już rozpakowana. Ma przy tym tak zadowoloną minę, że sama mimowolnie się uśmiecham.

– Kiedy ty to wszystko przeczytasz? – pytam, wciąż się jej przypatrując.

– Nie wszystkie są dla mnie. Zamówiłam od razu prezenty świąteczne dla znajomych.

Kiwam głową w milczeniu, powinnam była się tego domyślić, co roku na Gwiazdkę dostaję od Marty książkę. Ciekawi mnie, jaki tytuł wybrała dla mnie w tym roku.

Przysiadam na kanapie i zerkam na zakupione przez nią pozycje. Jest cały przekrój literatury, od pięknej po reportaż. Przeglądam książki z zainteresowaniem i opowiadam koleżance, jaki cyrk zafundowałam wczoraj sąsiadom przy okazji odbierania tej paczki.



5.

Nie wiem, co robię źle, ale ciasto się nie klei. Poprzednio przynajmniej udało mi się je zagnieść, dziś nawet to mi nie wychodzi.

– Jasna cholera – sapię, czując ból w rękach, kiedy wreszcie składniki łączą się ze sobą. Ciasto jest jednak tak sztywne, że za nic nie mogę go wyrobić. – Twarde jak kamień! No, kurna, kamień! – Złoszczę się coraz bardziej.

– Co takiego? – Marta zerka mi przez ramię.

– Pierniki... – wzdycham, ocierając ramieniem pot z czoła.

Koleżanka przygląda mi się badawczo. Mieszkamy ze sobą już długo, była świadkiem moich przygotowań na przyjazd rodziny cztery lata temu. Od tamtego czasu niczego nie próbowałam upiec.

Macam twarde ciasto w milczeniu. Nie oczekuję, że Marta będzie drążyć temat. Dogadujemy się, świetnie nam się razem mieszka, ale nasza relacja nigdy nie przerodziła się w coś więcej niż koleżeństwo. Nie byliśmy i raczej nigdy nie będziemy oddanymi przyjaciółkami, ale mam też wrażenie, że żadna z nas tego nie oczekuje. Jest dobrze tak, jak jest, i czasem lepiej nie kombinować.

– Oj, musiałaś coś pokręcić i źle dodać – mówi Marta. – Może za dużo mąki?

– Nie wiem. Niby dawałam wszystko tak, jak w przepisie. – Wbijam palec w ciasto raz jeszcze, jakbym po raz kolejny musiała się upewnić, że jest twarde jak skała. – Mam przepis od mamy, jej zawsze wychodziły idealne: kruche, pachnące, mocno korzenne, z nutą pomarańczy.

Marta wyciąga rękę i sprawdza ciasto palcem, tak jak chwilę temu robiłam to ja.

– Pokaż ten przepis – prosi, wydymając usta.

Wśród porozkładanych na blacie produktów odnajduję notatnik. Cztery lata temu spisałam w nim przepisy na świąteczne ciasteczka, które chciałam upiec. Podaję go Marcie, a koleżanka zaczyna na głos czytać wymienione w recepturze składniki.

– No, wydaje się spoko – komentuje na koniec.

– Bo jest spoko. Tylko ja jestem jakimś kompletnym beztalenciem.

– Może za bardzo chcesz, żeby wyszły?

Przenoszę wzrok na Martę.

– Czasem, kiedy chcemy za bardzo, nie wychodzi – stwierdza.

– Może i tak – wzdycham, bo faktycznie coś w tym jest.

Chciałabym jednak stworzyć atmosferę, która, odkąd sięgam pamięcią, towarzyszyła Bożemu Narodzeniu w moim rodzinnym domu. Pragnę odtworzyć to wrażenie, że czas płynie wolniej, uchwycić poczucie fizycznego ciepła pomimo zamieci za oknem, zatrzymać żar w sercu, choć uwierają nas bolączki dnia codziennego.

Oczywiście najważniejsi są ludzie, będzie tata i... Przelykam ślinę, kiedy myślę o Alice. Boję się, czy w obecności nowej kobiety ojca uda mi się uchwycić to, za czym tęsknię. Chcę wierzyć, że migocąca choinka, zapach pomarańczy i puste talerze po wigilijnej kolacji pomogą mi to wszystko odzyskać.

– Dobra, spróbuję jeszcze raz – oznajmiam z nowym przypiływem determinacji.

Wyrzucam zbitą kulę pseudociasta i biorę się do czyszczenia stolnicy, aby znów nadawała się do użytku. Wtedy też rozdzwania się moja komórka. Zerkam na wyświetlacz i widzę twarz taty. Jest tak podobny do Arka,

a raczej Arek do niego, że od razu myślę o młodszym bracie. Przypomina mi się, jak zadzwonił do mnie cztery lata temu, zdaje się, że wtedy też zagniatłam ciasto na pierniki.



– *Cześć, siostra!* – przywitał się wtedy ze mną wesoło.

– *Hej!* – odpowiedziałam.

– *A coś ty taka brudna?*

Przysunęłam twarz bliżej telefonu i przeglądnięłam się w kamerce. Faktycznie, na twarzy i we włosach miałam coś białego.

– *Aaa, piekę* – wyjaśniłam, wycierając brodę, a potem strzepnęłam mąkę z głowy. – *Znaczy, próbuję piec. Pierniki. Takie jak mama zawsze robi na święta!*

– *Oj, głupia ty* – zaśmiał się brat. – *Mama przecież upiecze. Jedziemy samochodem, wiesz, co ona tu planuje zabrać? Kobieto, ja nawet już jej nie słucham.*

– *Tak?*

– *Tak! Pierników pewnie napiecze jak szurnięta.* – *Rechocze głośno.* – *Zresztą jak co roku.*

– *I tak chcę upiec swoje* – oznajmiłam bojowym tonem. – *U Krajewskich w święta zawsze częstuje się gości piernikami, a wy będziecie moimi gośćmi.*

Arek ponownie się roześmiał. Miał gruby donośny śmiech, niemal taki sam jak tata.

– *Postanowione!* – *Ucięłam temat.*

– *No dobra, dobra, jak tam sobie chcesz, ale serio, niepotrzebnie się zamęczasz. Mama szykuje taką wałówkę, że głowa mała!*

Zamruczałam coś niewyraźnie pod nosem. Od początku podejrzewałam, że tak właśnie będzie, że mama nie przyjedzie tutaj z pustymi rękami. Tym bardziej chciałam sama przygotować coś na ich przyjazd. Tata miał pracować do samej Wigilii, więc za wiele by nie zrobił, wzięłam

przygotowania na przyjazd rodziny na siebie. Uparłam się wtedy na pierniki, może powinnam była wybrać coś prostsze? Ale co może być łatwiejszego od kruchych ciasteczek?!

– A, Zuza... – podjął Arek nieoczekiwanie. Głos miał poważny. – Mam taka sprawę...

– No strzelaj. – Skupiłam uwagę na bracie, próbując jednocześnie domyślić się, o co może chodzić. Nigdy nie był przesadnie wylewny, ale mieliśmy do siebie zaufanie na tyle, że w sytuacjach kryzysowych nie nabierał wody w usta.

Przygryzł wargę, potem westchnął, w końcu wciągnął wewnątrz policzka, a ja nadal nie potrafiłam go rozszyfrować. Nie miałam pojęcia, co chodzi mu po głowie, w końcu coś przyszło mi na myśl.

– Rozmyśliłaś się? – zapytałam, sama nie wiedząc, co czuję. Z jednej strony był to zawód, z drugiej zrozumienie.



Wtedy, te cztery lata temu, wpadłam na pomysł, aby tym razem spędzić święta w Londynie. Do tej pory na Boże Narodzenie zawsze lecieliśmy z tatą do Polski. Mamie i Arkowi propozycja zmiany tego zwyczaju bardzo się spodobała, niestety Agacie nieco mniej. Szalę przeważała praca taty, nie dostał urlopu, więc postanowiłam zostać z nim w Londynie. Wtedy mama i Arek zdecydowali, że przyjadą do nas, rodzina powinna być razem w święta. Agata oznajmiła jednak, że nie da rady. Twierdziła, że jej grafik wypełniony jest pacjentami aż do Wigilii, a jako początkujący stomatolog nie może pozwolić sobie na jakąkolwiek zmianę. Nikt z nas głośno z tym nie polemizował, ale nie było tajemnicą, że Agata od zawsze miała żal do taty. Chodziło o to, że zabrał mnie do Londynu i pomógł tutaj skończyć szkołę, podczas gdy ona nie otrzymała takiej szansy. Były to pretensje zupełnie nieuzasadnione, bo przecież ojciec wyjechał tuż przed jej studiami, aby to właśnie jej zapewnić możliwość kształcenia.

Ale niestety tak to wyglądało, zawsze stawała okoniem, kiedy padał pomysł wyjazdu do Anglii. Nikt z nas nie mógł nic na to poradzić, staraliśmy się jakoś z tym funkcjonować w nadziei, że Agata wreszcie się opamięta.



– *Postanowiłeś zostać z Agatą? – zapytałam brata.*

– *Nie! – Arek niemal krzyknął. – Coś ty, zwariowałaś? Agata tworzy, więc niech tworzy. Spędzi jedne święta sama, to się nauczy. A poza tym nie zdziwię się, jeśli jednak przyleci.*

– *Myślisz? – Ożyła we mnie nadzieja, że może jednak w te święta będziemy wszyscy razem.*

– *Pewnie, kupi, o ile już nie kupiła, bilet lotniczy, i zjawi się w Wigilię, zobaczysz.*

– *Upiera się, że ma pacjentów w Wigilię.*

– *Może i ma, ale są jeszcze loty wieczorne. W najgorszym wypadku przyleci w Boże Narodzenie.*

– *Serio tak myślisz? – bąknęłam, chwytając się tej myśli jeszcze mocniej.*

– *Agata jest, jaka jest, ale nie będzie chciała zostać sama w święta. – Brat się roześmiał.*

Westchnęłam, prosząc w duchu los, aby Arek miał rację. Naprawdę nie chciałam, abyśmy te święta spędzili osobno. Tym bardziej że miało brakować jedynie Agaty.

– *No dobra, to wyduś w końcu z siebie, o co chodzi. – Wróciłam do powodu, dla którego młody do mnie zadzwonił.*

– *Chciałbym... hm... Jak ci to powiedzieć...*

– *Po prostu powiedz.*

– *Chciałbym zabrać ze sobą do Londynu Glorię.*

Uniosłam wysoko brwi ze zdumienia.

– *Wiem, wiem, że masz małe mieszkanie – rzucił natychmiast. – Ale rodzice Glorii nie mają nic przeciwko wyjazdowi, a ona zawsze chciała*

zobaczyć Londyn, zwłaszcza zimą. No i byłyby to nasze wspólne święta! Mama się zgodziła, w końcu w samochodzie jest miejsce i w ogóle... Tata też powinien się zgodzić. A święta w większym gronie zawsze są fajniejsze, no nie?

Zamilkłam, bo choć brat miał rację, to trudno było mi sobie wyobrazić sytuację, że jest z nami Gloria, a nie ma Agaty.

– Nie bardzo ci się ten pomysł podoba? – zapytał.

– Nie, nie, nie o to chodzi – zapewniłam, bo wiedziałam, że brat nie ma złych intencji. – Tylko wiesz... Myślałam, że prześpisz się na kanapie w salonie. Rodziców położyłabym u mnie. Nie za bardzo wiem, gdzie ulokuję Glorię...

– No jak to gdzie? Ze mną. – Brat wyszczerzył się do kamery.

– No tak, tak, wiem, że ze sobą sypiacie... Ale chodzi mi o to, że ta kanapa jest dość, hm, niewielka...

– Tym lepiej. – Arek zachichotał. – Będziemy się mocniej do siebie przytulać. – Usłyszałam kolejny rechot. – Zuza, wyluzuj! Przecież przyjeżdżamy, żeby spędzić razem święta, a nie żeby pławić się w luksusach. No może jeszcze przy okazji zobaczyć miasto!

Zareagowałam śmiechem. Nie dało się ukryć również tego, że zwyczajnie byłam przejęta ich przyjazdem i odczuwałam niepotrzebną presję. Chciałam ich ugościć tak, jak oni witają mnie, kiedy przyjeżdżam z Londynu.

– Dobrze! – powiedziałam. – W takim razie zapraszam również Glorię!

– Super, dzięki! – ucieszył się Arek. – Jesteś ekstra. Najlepsza siostra pod słońcem.

– Uważaj, żeby Agata tego nie usłyszała – zaśmiałam się, a potem dodałam: – Kocham cię, wariacie.

– Ja ciebie też, wariatko – odpowiedział i niemal natychmiast się rozłączył.

Cały Arek, załatwił, co miał załatwić, na zbędne pogaduchy nigdy nie miał czasu.



Ekran mojej komórki gaśnie. Potrząsam głową, aby wyrzucić z głowy resztki wspomnień, i oddzwaniam do taty.

– Cześć! – odzywam się, kiedy odbiera połączenie. – Przepraszam, nie mogłam odebrać. Miałam brudne ręce.

– Co tam porabiasz? – pyta pogodnie tata.

– Piekę pierniki.

– O... – Tata zawiesza głos. – Te mamy? – dodaje po chwili.

– Właśnie te.

– To... fajnie.

– Tylko coś nie chcą mi wyjść – mówię. – A wydają się proste...

– Zuza...?

– Tak, tato?

– A jesteś pewna, że właśnie tak chcesz spędzić te święta?

– Jak?

Tata milczy.

– Pierniki, choinka, kolacja wigilijna – wyliczam. – Przecież to normalne tradycje bożonarodzeniowe.

– Wiem – przytakuje ojciec. Mam wrażenie, że oziębło.

– Odeszliśmy od nich, jakby były czymś... złym. A przecież zawsze lubiliśmy Boże Narodzenie. Dlaczego nie możemy lubić nadal? – Ledwo kończę zdanie, znów do głowy wkrada mi się myśl o Alice.

Może niechęć taty wynika właśnie z jej powodu? Alice jest Angielką, a Brytyjczycy nieco inaczej obchodzą święta. Nie jedzą kolacji wigilijnej, nie przełamują się opłatkiem, nie pieką pierników, prezenty otwierają dopiero dwudziestego piątego grudnia, często Boże Narodzenie celebrują w pubach... Może tata chce spędzić te święta po angielsku? W końcu to jego pierwsza Gwiazdka z nową żoną.

Zaraz jednak uderza mnie jeszcze inna myśl. A może to Alice tego nie chce? Kobieta jest sympatyczna, naprawdę ją lubię. Mamy ze sobą dobre stosunki, są zdecydowanie więcej niż poprawne. Potrafię porozmawiać

z nią od serca, trochę jak ze starszą siostrą albo nawet przyjaciółką. Ale mimo wszystko nie znam jej tak dobrze, aby wiedzieć, co chodzi jej po głowie w danej sytuacji. Tak naprawdę nie mam pojęcia, jaki jest jej stosunek do polskich tradycji ani jak odbiera to, że mamy być w te święta razem.

– Czy to Alice nie podoba się, że spędzimy święta w trójkę? – pytam więc bez ogródek.

– Skąd ten pomysł? – odzywa się tata od razu. – Oczywiście, że nie.

– Na pewno? Może chcecie spędzić ten czas tylko we dwoje?

– Co ty opowiadasz, córciu – oburza się. – Nie wyobrażam sobie świąt bez ciebie, dziecko.

– A ja bez ciebie – odpowiadam, czując się głupio, że przed chwilą tak zaatakowałam tatę.

Może i jest szczęśliwy, mając przy sobie Alice, stwierdzam w duchu, ale na pewno wciąż doskonale pamięta święta spędzane z mamą. Nie wierzę, że nie tęskni choć odrobinę za tamtą atmosferą.

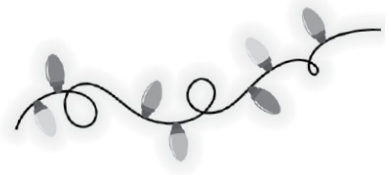
Kończę rozmowę z tatą i przypominam sobie o Agacie. Odkąd rozpoczęłam przygotowania do świąt, myślę o niej bardzo często. Kilka razy przyszło mi nawet do głowy, by do niej zadzwonić. Zawsze była mi bliska i choć nasze drogi się rozeszły, wciąż jest dla mnie ważna. Ufam, że ja dla niej też.

Zadzwonię do niej, decyduję. Włączam to postanowienie do listy świątecznych przygotowań. W całym tym natłoku zadań nie powinnam zapominać o tym, co najważniejsze – o ludziach. To oni tak naprawdę pozwalają nam cieszyć się świątecznym czasem. Bez nich cała ta bożonarodzeniowa otoczka jest nijaka i pozbawiona głębi. Brak jej tego, co może sprawić nam prawdziwą radość.

Zamiast jednak wybrać numer siostry, postanawiam wyskoczyć do sklepu. Łatwo jest coś postanowić, znacznie trudniej to zrealizować. Każdy z nas o tym wie. Waham się jeszcze przez moment, ale ostatecznie przekładam telefon do siostry na inny dzień. Muszę dać sobie jeszcze trochę czasu, niejako przygotować się na rozmowę z nią.

Ale zadzwonię do niej. Na pewno.

Wciągam na siebie włochaty płaszcz i wychodzę z domu.



6.

Przemykam szybko obok mieszkania nowego sąsiada. Nie chcę, by znów kusilo mnie zaglądnienie w jego okno. Jest ciemno i siąpi zimny deszcz. Zaciągam kaptur na głowę, myśląc o tym, o ile przyjemniej byłoby, gdyby zamiast niego prószył teraz śnieg. Marzenie ściętej głowy w tutejszym klimacie.

Kiedy docieram do sklepu, pluję sobie w brodę, że wracając z pracy, nie pomyślałam o zrobieniu zakupów. Nie musiałabym teraz, w taką pogodę, włóczyć się po sklepach i moknąć. Cóż, naprawdę nie byłam przygotowana na taką klapę, jak ta sprzed chwili. Skąd, do diabła, mogłam wiedzieć, że zamiast ciasta wyjdzie mi skała?

Kluczę między ciasno ustawionymi regałami w niewielkim osiedlowym markecie. Jest dość tłoczno, nie tylko mnie czegoś tego wieczoru zabrakło. Towarzyszą mi świąteczne dźwięki. Zauważam, że niektórzy z klientów nucą pod nosem „Last Christmas”. Klasyk, który chyba zna każdy, zwłaszcza tutaj, na Wyspach. Rozbrzmiewająca piosenka jest w wykonaniu Wham!, brytyjskiego zespołu popularnego w latach osiemdziesiątych. Jeśli dobrze pamiętam, założyli go George Michael i Andrew Ridgeley. Choć powstało wiele coverów „Last Christmas”, według mnie oryginał do tej pory nie ma sobie równych.

Wrzucam do koszyka masło i mąkę, dokładam na wszelki wypadek cynamon i dwie pomarańcze. Rozglądam się jeszcze po półkach, aby upewnić się, że o niczym nie zapomniałam, w drodze do kasy biorę jeszcze małą wytłaczankę jajek i miód.

Ekspedient ma na sobie sweter z reniferem Rudolfem, jego czerwony nos błyszczący jaskrawo. Zastanawiam się, gdzie wszyto baterie, aby mógł tak świecić, i czy jest także włącznik do tego nosa, czy może świeci nieprzerwanie? I co z praniem takiego ubrania?

– Fajny sweter – mówię.

– Dzięki. W grudniu wszyscy w takich chodzimy. – Chłopak wskazuje na koleżankę przy sąsiedniej kasie.

Dopiero teraz zauważam, że dziewczyna także ma na sobie sweter z reniferem. Jego nos również świeci na czerwono. Odruchowo zerkam przez ramię. Okazuje się, że mężczyzna za mną, rozkładający towar, też taki nosi.

Mam rozumieć, że przez miesiąc nie będą prac tych swetrów...?

Potrząsam głową, aby przestać o tym myśleć, pewnie mają kilka na zmianę. Oby... Płacę za zakupy i z reklamówką w dłoni wychodzę ze sklepu. Sweter sprzedawcy nie chce jednak opuścić mojej głowy. Cztery lata temu kupiłam podobne. Nie identyczne, nie wyobrażam sobie, abym nie mogła tego swetra uprać. Zaopatrzyłam się wtedy w takie ze świątecznym motywem. Pomysł ubrania członków rodziny w bożonarodzeniowe wdzianka wcale nie był oryginalny, chociaż było to modne od dawna, jednak wtedy wydawało mi się to tak urocze, że nie potrafiłam się powstrzymać. Do dziś mam te swetry, gdzieś upchnięte na dnie szafy.

Metalowe schodki przy bloku są śliskie od deszczu, łapię się poręczy, aby jeszcze do tego wszystkiego nie wywinąć orła. Wystarczyłoby teraz niewielki przymrozek i wejście po stopniach stałoby się niemal ekstremalnym wyczynem. Budownictwo tego kraju zdecydowanie nie jest przygotowane na ostre zimy. Nie mam pojęcia, jak mieszkańcy radzili sobie

te dwadzieścia-trzydzieści lat temu. Teraz także nie nawiedzają Wysp, ale kto wie, co przyniesie przyszłość przy stale postępującej zmianie klimatu.

U szczytu schodów słyszę za sobą kroki, oglądam się za siebie, zapominając o coraz częściej pojawiających się anomaliach pogodowych na świecie.

– Cześć! – odzywa się postać idąca za mną. – Zuza... – dodaje do powitania moje imię.

Szybko rozpoznaję głos, po chwili również i sylwetkę.

– Cześć, cześć! – Z jakiegoś powodu się powtarzam. Krzywię się w duchu, bo nie mogło to zabrzmieć dobrze.

– Co słyszać? – zagaduje nowy sąsiad, przystając dwa schodki niżej. Teraz jego oczy są niemal na wysokości moich. Pomimo mroku łatwo dostrzec, że błyszczą.

– Wszystko dobrze, dzięki! – odpowiadam, stojąc jak kołek w miejscu, choć deszcz nieprzerwanie siąpi i czuję, że płaszcz na plecach już mi przemókł. – A co u ciebie?

– Też świetnie, dzięki. – Wskazuje przy tym ręką na balkonik, który mamy przed sobą. – Może wejdźmy pod dach, bo pada coraz mocniej.

– Jasne! – reflektuję się poniewczasie.

Szybko pokonuję ostatni schodek. Za szybko, bo na moment tracę równowagę. Całe szczęście nie przewracam się. Kuba rusza za mną. Nie komentuje. Albo niczego nie zauważył, albo wielkodusznie nie chce mnie zawstydząć.

Idziemy w milczeniu wzdłuż balkoniku. Jest na tyle wąski, że nasze ramiona delikatnie się o siebie ocierają. Niby nic wielkiego, ale jednak to wystarcza, aby moje serce przyspieszyło. Doznania potęguje fakt, że dawno czegoś takiego nie czułam. Od bardzo długiego czasu mężczyźni w ogóle nie zaprzęтали mojej głowy, nie minę się z prawdą, jeśli powiem, że byli dla mnie jak powietrze. Zwyczajnie się sparzyłam. Po przejściach z Andrejem oczywiście pojawiło się kilku chłopaków, którzy jasno dawali mi do zrozumienia, że są mną zainteresowani, jednak żaden z nich nie zdołał sprawić, że zwróciłabym na niego większą uwagę.

– Jak wam się mieszka? – rzucam, zerkając kątem oka na sąsiada.

Z Kubą jest zupełnie inaczej, wyraźnie czuję, że coś mnie do niego przyciąga. Odnoszę wręcz wrażenie, że chłopak roztacza wokół siebie aurę, której totalnie ulegam. Nie wiem, co ją powoduje, ale sprawia, że trudno mi się uwolnić spod jej wpływu. Najchętniej odwróciłabym się w jego stronę i bezwstydnie mu się przyglądała. Mam ochotę spojrzeć w te jego jasne tęczówki i sprawdzić, co dziś w nich zobaczę.

– A, trudno powiedzieć. – Kuba odpowiada na moje pytanie. – To dopiero dwa dni, jak się wprowadziliśmy.

Kiwam smętnie głową, karcąc się w duchu za banalność swojego pytania.

– Ale okolica wydaje się przyjemna – ciągnie sąsiad. – Jest tutaj dookoła sporo knajpek. Wczoraj jedliśmy kolację w tej włoskiej restauracji tuż za rogiem...

A więc Kuba nie spędził wczorajszego wieczoru samotnie na kanapie przed telewizorem, ale na romantycznej kolacji z ukochaną. Wzdycham zawiedziona i jednocześnie rozczarowana sobą, że coś podobnego w ogóle się we mnie odzywa. Przecież nie znam tego chłopaka, rozmawiam z nim zaledwie drugi raz w życiu, a reaguję, jakbym od dawna się w nim podkochiwała.

– A ty? – pyta. – Jadasz na mieście? Czy raczej gotujesz? Bo że pieczesz, to już wiem.

– Cóż, kiepski ze mnie cukiernik – odpowiadam.

– Nie jest tak źle – śmieje się Kuba. – Przecież nie puściłaś z dymem całego bloku.

– Ale było blisko! – Też mimowolnie się śmieję. – Nie wiadomo, jak moje pieczenie skończy się następnym razem.

– Nie strasz, bo przecież mieszkam tuż za ścianą!

No właśnie, wzdycham w duchu, ta bliskość mi nie pomaga, bo to chyba ona sprawia, że sąsiad tak bardzo wdarł się w moją głowę.

– Nie martw się, tak naprawdę niewiele działałam w kuchni, szczerze mówiąc, rzadko zdarza mi się gotować. Ale pomyślałam, że spróbuję upiec coś na święta, wiesz, aby lepiej poczuć klimat. Padło na pierniczki.

– Fajny pomysł.

Uśmiecham się w odpowiedzi, choć po raz wtóry nachodzą mnie znajome wątpliwości. Nie mam talentu kulinarnego, to pewne. Nie odziedziczyłam go ani po mamie, ani po babci, więc niewykluczone, że idę w złym kierunku. Może powinnam postawić na coś innego, na coś, w czym jestem dobra. Mogę zabrać najbliższych w cudowne zakątki miasta czy opowiedzieć im o tradycjach kultywowanych przy okazji Bożego Narodzenia w różnych stronach świata. Wyszukać ciekawy spektakl albo kameralny koncert świąteczny. Ale to ciągle nie będzie to, za czym tęsknię.

– Ja też niewiele działam w kuchni – wyznaje Kuba. – Nie mam do tego smykałki ani nawet za dużo czasu, żeby w ogóle spędzać go przy garach.

Mam ochotę zapytać, czy jego dziewczyna też jest tak zajęta osobą, że nigdy nic nie upichci, ale w porę gryzę się w język. Przecież to nie moja sprawa, a poza tym bardziej seksistowska uwaga nie mogła mi przyjść do głowy.

Wsuwam klucz do zamka swoich drzwi, Kuba tymczasem szuka czegoś po kieszeniach, najpewniej także klucza do swojego mieszkania.

– A czym się zajmujesz? – pytam, choć to też powinno mnie guzik obchodzić, skoro rozmawiam z zajęтым facetem.

– Jestem muzykiem.

– O-o-o. – Nie potrafię ukryć wrażenia, jakie robi na mnie jego odpowiedź.

Muzyka zawsze wydawała mi się najbardziej wysublimowanym rodzajem sztuki, wymaga nieprzeciętnego wyczucia, wrażliwości i umiejętności przewidywania ludzkich potrzeb.

– To znaczy pracuję w wytwórni płytowej Beggars Banquet – tłumaczy Kuba. – Jestem tam tylko zwykłym operatorem. Ale od lat amatorsko komponuję własne utwory. I wreszcie wszystko jest na dobrej drodze, abym wydał swój pierwszy singiel.

– Naprawdę? To absolutnie fascynujące! – Obracam się twarzą do sąsiada, teraz już prawdziwie oczarowana tymi rewelacjami. – Gratuluję! A co konkretnego komponujesz?

– Tworzę muzykę z dźwięków... natury.

– Natury?

– Nie słyszałaś nigdy o czymś takim? – Chłopak uśmiecha się łagodnie.

Kręcę przecząco głową.

– Wyłapuję z otaczającej nas przyrody naturalne dźwięki i komponuje je razem w utwory, które brzmią naprawdę dobrze. Przynajmniej w moim odczuciu. I mojego pracodawcy, który też widzi w tym potencjał – wyjaśnia Kuba.

– To jest dopiero absolutnie fascynujące! – stwierdzam.

– Dzięki. – Sąsiad się śmieje, mam wrażenie, że lekko speszony.

Tą nutą skromności zyskuje w moich oczach kolejne punkty. Cholera, niedobrze, to zajęty facet... Ale mimo to wypalam:

– Napiszę o tobie artykuł.

Kuba przechyla głowę na bok i mi się przygląda.

– Jestem redaktorką w Londyn PL, znasz może ten portal?

– Wychodzi również czasopismo o takiej nazwie...

– Tak, to jedno medium. Zgodzisz się na wywiad? – Uśmiecham się szeroko.

Kuba krzyżuje ręce na piersi i podchodzi dwa kroki bliżej mnie.

– Dobrze – mówi. – Ale pod jednym warunkiem.

– Jakim? – Także krzyżuję ręce na piersi i jeszcze zmniejszam nieco dystans między nami.

Odnoszę wrażenie, że nogi same mnie niosą, jakby przyciągała mnie jakaś magnetyczna siła, która dodatkowo zaburzała moje racjonalne myślenie.

– W weekend, i później przez dwa kolejne weekendy także, na Ilford tamtejsza polska szkoła wraz z polską parafią organizują festyn świąteczny. Event ma na celu promowanie polskiej kultury. Dzieci przygotowały jasełka, będzie też kiermasz z polskim jedzeniem.

– Coś podobnego co roku organizuje POSK. W tym roku mają wystawiać „Akademię Pana Kleksa”.

– Owszem, ale Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny na Hammersmith działa od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku, dlatego jest bardzo dobrze znany. A ten event na Ilford to nowa inicjatywa lokalnej Polonii. Na wschodzie Londynu mieszka całkiem sporo naszych rodaków, a większość wydarzeń kulturalnych związanych z naszym krajem odbywa się w centrum albo na zachodzie miasta. Chcą to zmienić.

– Hm, ciekawe – dumam. – I prawda, że we wschodniej części Londynu mieszka wielu Polaków. A tobie zależy na nagłośnieniu tego wydarzenia, bo...?

– Jak powiem, że po prostu czuję potrzebę wspierania tego typu inicjatyw, to nie uwierzysz? – Kuba posyła mi chytry uśmiech, a ja kręcę głową na boki. – Moja siostra jest nauczycielką w tej polskiej szkole na Ilford. Z zamiłowania jest aktorką, grywa w mniejszych sztukach teatralnych, marzy jej się West End.

– Widzę, że oboje jesteście miłośnikami sztuki i mierzycie wysoko – kwituję.

– Jest dobra, mam nadzieję, że kiedyś dostanie rolę, na jaką zasługuje – stwierdza sąsiad. – Marcela prowadzi w tej szkole kółko teatralne dla dzieciaków, to właśnie jej podopieczni będą wystawiali jasełka na festynie.

– Okej, teraz rozumiem. – Kiwam głową. – No to zgoda, będziemy!

Kuba unosi brwi w pytającym geście.

– Zabiorę ze sobą fotografa – wyjaśniam. – Wyjdzie z tego fajny materiał. Gdy to nagłośnimy, będzie większa szansa, że za rok festyn zostanie zorganizowany ponownie, może nawet z większym rozmachem. Kto wie, może stanie się nawet nowym zwyczajem! Byłoby fajnie. Podoba mi się ta inicjatywa. Ale... – Wyłapuję wzrok sąsiada, choć absolutnie nie powinnam tego robić. To zajęty facet. – O tobie napiszę osobny, obszerny artykuł, dobrze?

– No dobrze, skoro musisz. – Kuba znów się śmieje. Jego dźwięczny głos przyjemnie wibruje mi w uszach. Przychodzi mi na myśl, że mogłabym słuchać tego śmiechu codziennie.

Potrząsam głową, aby pozbyć się tej myśli.

– To daj mi swój numer telefonu – słyszę.

– Numer... t-telefonu...? – dukam, jakbym miała problem ze zrozumieniem tych dwóch prostych słów.

– Wyślę ci dokładny adres... I nie wiem, może godzinę... Chyba że nie chcesz dzielić się swoim numerem telefonu z obcym facetem, to rozumiem.

– A nie, nie! To znaczy tak, jasne, już podaję. – Płacze się, na co sąsiad znów reaguje tym swoim uroczym śmiechem. Zaczyna kręcić mi się od tego w głowie. Oj, przydałby się kubeł zimnej wody. I to do tego stopnia, że mam realną ochotę wychylić się poza balustradę i wystawić twarz na deszcz. Czuję, że jego chłód jest mi potrzebny. Nie bardzo jednak wchodzi to w grę, jeśli nie chcę wyjść na kobietę, która ma nie po kolei w głowie. Na szczęście jest zbyt ciemno, aby Kuba mógł dostrzec palący moje policzki rumieniec. Chociaż tyle.

Dyktuję sąsiadowi ciąg cyfr, który pozwoli mu się ze mną skontaktować. Kuba go powtarza, a kiedy potwierdzam, że jest prawidłowy, chowa komórkę do kieszeni. Przyglądam się temu z poczuciem pewnego zawodu. Mamiło mnie wyobrażenie, że natychmiast wyśle mi SMS-a albo puści sygnał, abym z kolei to ja miała jego numer.

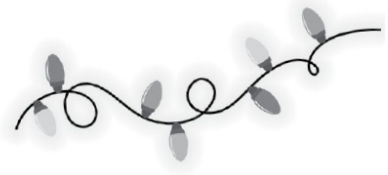
Zuza, ochłoń! – krzyczy moja wewnętrzna przyzwoitość. Ten facet jest ZAJĘTY.

– To jesteśmy w kontakcie – mówi Kuba i wycofuje się pod swoje drzwi. Teraz poczucie zawodu wręcz mnie pali. Nie wiem, na co liczyła moja podświadomość, ale zaczyna podsylać mi pomysł, aby zaproponować przeprowadzenie wywiadu teraz, natychmiast, już, w tej chwili. Byle tylko odwlec moment, kiedy każde z nas zniknie w swoim domu.

– Dobrej nocy! – żegnam się, zachowując resztki zdrowego rozsądku, i pospiesznie wchodzę do swojego mieszkania.

Zatrząskuję za sobą drzwi, ciężko oddychając. Intuicja podpowiada mi, że z tego całego wywiadu nie wyniknie nic dobrego, może jedynie bardziej nakręcić mnie na intrygującego sąsiada, który jest... zajęty. ZAJĘTY. Powtarzam to sobie jeszcze kilkukrotnie.

W końcu biorę kilka głębszych wdechów i wreszcie przestaję panikować. Pomaga tłumaczenie, że przecież nie mogłam postąpić inaczej. Dobra dziennikarka nigdy nie rezygnuje z ciekawego tematu. A Kuba i jego pasja są z pewnością bardzo, bardzo ciekawe.



7.

Rano w redakcji jest jak w ulu, nagle wszystkim zebrało się na pracę w biurze. *Home office* wciąż ma się dobrze, ale trafiają się takie dni jak dziś, że wszyscy są na swoich stanowiskach. Nie jest tak źle jak wtedy, gdy funkcjonowaliśmy w biurze typu open space, ale i tak wkładam sobie zatyczki do uszu, aby było mi łatwiej się skoncentrować. Chcę wyjść dziś nieco wcześniej, bo czeka na mnie bardzo ważne zadanie do wykonania. Muszę przystroić światelkami okno i balustradę!

Obudziłam się z tym pomysłem i za nic nie mogę go sobie wybić z głowy. Jest tak namolny, że aż mnie drażni. Może nawet śniłam o tym, że przystrajam mieszkanie na święta? Sensowniejszego wytłumaczenia tego rozgorączkowania nie widzę. Tyle że nie dostrzegam też żadnego powodu, dla którego nie miałabym mu się poddać. W końcu mamy grudzień!

No dobrze, mogłabym poczekać chociaż do weekendu, kiedy teoretycznie powinnam mieć więcej wolnego czasu, ale w gruncie rzeczy wcale tak nie będzie. W sobotę wypada mi dyżur w redakcji, a w niedzielę wybieram się przecież na Ilford, aby zdać relację z polskiego festynu i przeprowadzić wywiad z Kubą.

Tak więc ubieranie balustrady właśnie dzisiaj jest po prostu koniecznością.

Od rana opiekuję się Facebookiem portalu. Wrzucam post i przechodzę do przygotowania kolejnego, kiedy dostaję SMS-a od Leo. Jest w drodze do redakcji i zamierza zahaczyć o pobliską Costę. Redakcyjny ekspres jest niczego sobie, ale i tak nigdy nie gardzę kawą prosto z kawiarni. Proszę, aby fotograf wziął dla mnie skinny cappuccino. Dwadzieścia minut później na moim biurku ląduje bordowy kubek ze świątecznym logo kawiarni. Uroczy pingwinek we wściekle czerwonym szaliczku robi do mnie maślane oczka.

– Dzięki, Leo – mówię, wyjmując stopery z uszu. – Masz chwilę?

– Dla ciebie? Zawsze!

Dziś nie ma wolnych foteli, więc przysiada na skraju mojego biurka. Popija napój z kubka, na którym uśmiecha się niedźwiedź w niebieskich nausznikach na łebku. Fotograf słucha uważnie, jak opowiadam o niedzielnym evencie na Ilford.

– Spoko, brzmi fajnie – rzuca, kiedy kończę. – Tylko że mam już plany na niedzielę...

– Już obiecałam – oznajmiam zbolalym tonem.

Wyginam przy tym usta w podkówkę. Mój tata twierdzi, że nie da się tego grymasu zignorować. Faktycznie, na niego zawsze działał, i to odkąd się go nauczyłam. Później też nic się nie zmieniło. Agata próbowała ten grymas naśladować, ale nigdy nie udało jej się tak bardzo wygiąć kącików ust ku dołowi jak mnie, przez co efekt był mizerniejszy.

– Niech cię szlag, Zuza! – syczy Leo i już wiem, że i tym razem podkówka dała radę.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję! – Cieszę się chyba bardziej, niż powinnam. – Uwielbiam cię, wiesz o tym? – dodaję.

Leo przewraca oczami i pociąga kolejny łyk z kubka, a potem mówi:

– Oczywiście nic za darmo, będziesz musiała mi to „odrobić”.

– Oczywiście – powtarzam z uśmiechem, bo równie mocno jak samego Leo lubię te jego „odrobki”.

Stek i piwo w dusznym, typowo angielskim pubie albo kilka kolejek kolorowych drinków w modnym klubie w centrum. Nie przeszkadza mi

nawet, że czasem Leo wyciąga mnie do specyficznych lokali, zwykle to właśnie tam są najlepsze imprezy.

– A w sobotę wieczorem Oxford Street? – pyta, zeskakując z biurka.

– Tak, tak – potwierdzam, sięgając po komórkę, bo wydawało mi się, że właśnie dostałam wiadomość. Rzeczywiście, mam nowego SMS-a i to od numeru niezapisanego na liście kontaktów. Na ustach mimowolnie wykwita mi uśmiech, wiadomość musi być od sąsiada.

– Co się tak cieszysz? – Leo natychmiast zauważa moją ekscytację. – Kto pisze?

– Kuba – mówię pewna, że to właśnie od niego jest wiadomość. – Miał mi dać znać, o której się to wszystko zaczyna na tym Ilfordzie.

– Leo, gotowy? – woła ktoś z głębi biura.

– Tak! – odkrzykuje fotograf, po czym zostawia pusty kubek na moim biurku i odchodzi.

W normalnych okolicznościach posłałabym go do wszystkich diabłów i awanturowała się o to, że zostawia swoje śmieci, ale w tej chwili bardziej interesuje mnie odczytanie SMS-a. Klikam na wiadomość i w jednej chwili uchodzi ze mnie powietrze. Paulina, kosmetyczka, z której usług od czasu do czasu korzystam, zmieniła numer telefonu i rozsyła nowy.

Rzucam komórkę na biurko i postanawiam wrócić do pracy. Czuję rozczarowanie, które w ogóle nie powinno się pojawić. Zaczynam być na siebie zła, że zachowuję się jak niedojrzała małolata, nie lubię tej wersji siebie. Niestety identycznie reagowałam, kiedy na horyzoncie pojawił się Andrej. Choć związek z nim to już zamierzchłe czasy, bardzo dobrze pamiętam uczucia towarzyszące mi na progu naszej znajomości. Nie pociesza mnie to, bo najpewniej oznacza tylko jedno – sąsiad przypomniał mi, że jestem młodą kobietą, która nigdy nie planowała życia w pojedynkę.

W tej nawałnicy myśli udaje mi się uwinąć z kolejnym tematem do publikacji. Kiedy znów przychodzi SMS, spoglądam na komórkę podejrzliwie, jakby sobie ze mną pogrywała. Jakaś infantylna część mnie każe mi poczekać i nie odczytywać wiadomości od razu.

Litości, Zuza, myślę po chwili i sięgam po telefon. SMS znów przyszedł z nieznanego numeru. Klikam w niego i czytam treść.

☞ Cześć, tu Kuba. Dzięki, że zgodziłaś się napisać o niedzielnym evencie. Marcela bardzo się ucieszyła, że pojawią się media, to dla niej ważne wydarzenie. Startujemy o 14:00. Zaraz podeślę Ci link z dokładną lokalizacją. Do zobaczenia!

I się doczekałam, odezwał się do mnie. Zapisuję numer w pamięci telefonu. Chodzi mi po głowie, aby podpisać go jakoś wymyślnie, coś w stylu: „Fajny zza ściany”, „Przystojniak spod dwunastki”, „Pan miły, który wnosi paczki” albo nawet „Seksowny muzyk”. Teraz to już przesadziłam, pry cham pod nosem i opatruję numer sąsiada najnormalniej, jak to jest możliwe: „Kuba”. Odpisuję też na SMS-a:

☞ Cześć! Dzięki za wiadomość. Fotograf potwierdzony, będzie świetny materiał. Widzimy się w niedzielę!

Krótko, rzeczowo i pogodnie, czyli tak, jak być powinno. Zanim odkładałam telefon, przychodzi jeszcze jedna wiadomość. Jest w niej tylko link, o którym Kuba wspominał w pierwszym SMS-ie. Klikam w niego i pobieżnie sprawdzam, gdzie ma się odbyć całe wydarzenie. W pobliżu znajduje się stacja kolejowa, więc dojazd nie będzie trudny.

Odkładam komórkę i biorę się do pracy. Pora przejrzeć komentarze. Już od dłuższego czasu je moderujemy, niestety musimy to robić. Facebookowy profil portalu odwiedzają różni ludzie i zamieszczane przez nich komentarze nie zawsze nadają się do publikacji. Trzeba zmierzyć się z brakiem szeroko pojętej tolerancji, zwłaszcza rasizmem, ale nie brakuje też politycznych niesnasek, wulgaryzmów, a nawet wymierzonych w portal obelg. Kiedy wszystkie „zawieszane” komentarze zostają skontrolowane, przystępuję do kolejnych postów, które pojawią się w popołudniowych godzinach. Niestety idzie mi jeszcze toporniej niż przedtem. Po krótkiej wymianie wiadomości z Kubą czuję jeszcze pilniejszą potrzebę

udekorowania mieszkania świecidełkami. Znowu korzystam ze stoperów i choć kilka razy zerkam na telefon, by sprawdzić, czy Kuba przypadkiem nie napisał czegoś jeszcze, udaje mi się wyrobić ze wszystkim przed czasem. Naszykowane na późniejsze godziny posty wrzucę już z domu. Wprawia mnie to w o niebo lepszy nastrój. Chciałabym zabrać się do mocowania świecidełek przed zmrokiem i wciąż mam na to szansę. Nawet w sytuacji, gdy muszę najpierw skoczyć po nie do sklepu. Szybko pakuję swoje rzeczy i wypadam z biura, jakby się paliło.

W sklepie rozbrzmiewają świąteczne piosenki. Widzę, jak nakręcają klientów do większych zakupów. Zatapiam się w dział ozdób i przeglądam je przez kilkanaście minut. Mam ochotę kupić wszystko. Dosłownie wszystko. Bombki, figurki, kubki, podstawki – jest tego od groma i choć w ubiegłych latach ten widok wywoływał u mnie oczopląs, w tym roku każda rzecz wydaje mi się urocza i warta nabycia. Najdłużej stoję przy szklanych aniołkach, dotykam ich i obracam we wszystkie strony, pięknie wyglądałyby na choince. Na szczęście udaje mi się dopuścić do głosu rozsądek, kupiłam już przecież aniołki, które zawieszę na drzewku. Czekam tylko, aż kurier mi je dostarczy.

Odkładam ozdoby i kieruję się do kolejnych regałów, aby znaleźć to, po co tutaj przyszłam. Lampek też jest na pęczki. Choć kuszą mnie ich różne kolory, wybieram jednobarwne. Biorę dwa opakowania, rozwieszę je przy oknie, i kolejne dwa, którymi oplotę balustradę. Udało mi się oprzeć świątecznym ozdobom, ale ulegam podświetlonemu bałwankowi. Zawieszę go na drzwiach, choć szczerze mówiąc, w tej chwili sprzedawanie bałwanków w Anglii wydaje mi się co najmniej kuriozalne. Może to nostalgia za dawnymi czasami. Zeszłej zimy widziałam, jak dzieciaki przed blokiem lepiły takie wręcz mikroskopijne bałwanki, które już po godzinie się roztopiły. Zresztą obecnie w Polsce wcale nie jest lepiej.

Gdzie te bałwany, które mającą mi w pamięci? Wysokie, brzuchate, stojące całymi dniami, nieraz tygodniami. Teraz takich zim nie ma nawet w Polsce. Ale ja wciąż je pamiętam i za nimi tęsknię. Jako mała dziewczynka bardzo lubiłam tę mroźną porę roku, biały puch stanowił dla

mnie magiczne zjawisko, któremu uwielbiam się przyglądać z okna ciepłego domu. Uwielbiałam go też wykorzystywać do przeróżnych dziecięcych zabaw. Cała nasza trójka: ja, Agata i Arek wracaliśmy z zimowego podwórka przemoczeni, zziębnięci i głodni, ale szczęśliwi.

Niech więc ten świecący bałwan będzie namiastką zimy, którą pamiętam z dzieciństwa.

– A czy nie potrzebuje pani do tego jeszcze przedłużacza?

Unoszę głowę i orientuję się, że pytanie zostało skierowane do mnie. Dookoła jest kilka osób, ale pracownik sklepu stoi najbliżej mnie i mi się przygląda.

– Przedłużacza? – upewniam się, czy dobrze usłyszałam.

– Wybrała pani lampki odporne na temperaturę i wilgoć, więc domyślałam się, że chce je pani zawiesić na zewnątrz. – Uśmiecha się do mnie przymilnie.

– Tak, zgadza się.

– Więc musi je pani jakoś podpiąć do prądu – tłumaczy, nie odrywając ode mnie spojrzenia.

Uśmiech nie schodzi mu przy tym z ust. Moją głowę bombardują często powtarzane przez mamę słowa, że grudzień to taki piękny miesiąc. Dookoła jest kolorowo, niemal wszędzie gra nastrojowa muzyka, a tu i ówdzie pachnie cynamonem, nic, tylko dać sobie szansę na zakochanie się. Gapiący się na mnie facet raczej nie wchodzi w grę, wyrokuję. Zupełnie nie jest w moim typie. Ale co innego nowy sąsiad... Cholera, przecież on też nie wchodzi w grę!

– Chyba że ma pani gniazdko na zewnątrz domu? – draży mężczyzna.

– Nie wydaje mi się – odpowiadam, wracając myślami do rzeczywistości.

– Tutaj mamy przedłużacze. – Wskazuje mi właściwą alejkę.

– Dziękuję. – Ruszam w tamtą stronę, bo faktycznie przedłużacz będzie mi potrzebny.

Mężczyzna nieznacznie mnie wyprzedza, oświadczając, że mnie zaprowadzi.

– Nie trzeba – mówię.

– To żaden problem – zapewnia.

Kiedy docieramy na miejsce, nadal nie zostawia mnie samej, jego natarczywość zaczyna mnie męczyć.

– Pomogę wybrać odpowiedni – oferuje.

– Dziękuję, poradzę sobie. – Tym razem używam ostrzejszego tonu, bo naprawdę chciałabym, aby facet dał już sobie spokój.

– Nie wątpię, ale jednak pomogę.

Nic z tego, pracownik sklepu zaczyna objaśniać mi, gdzie leży jaki przedłużacz, jakbym była ślepa i nie widziała tego, co mam przed sobą.

– Czy ja wyglądam, jakby mi czegoś brakowało? – Dochodzę do wniosku, że to najlepszy sposób, aby wreszcie spławić mężczyznę. – Czy może z góry założył pan, że sobie nie poradzę, bo jestem kobietą?

Mężczyzna wytrzeszcza oczy, zaskoczony moimi słowami, pewnie też lodowatym tonem, którego sobie nie odmówiłam.

– Nie, skąd – mówi i zaczyna się wycofywać. Przestał się uśmiechać, jego oczy zrobiły się wielkie, jakby nie dowierzał, że faktycznie go o coś takiego zapytałam. – Chciałem tylko pomóc. Gdyby jeszcze czegoś pani potrzebowała, jestem w pobliżu.

Znika mi z oczu. W tle rozbrzmiewają dźwięki piosenki „The Christmas Sweater”. Wydaje mi się, że mniej znanej niż popularne świąteczne klasyki, ale z łatwością ją rozpoznaję. Wsłuchuję się w głos Michaela Bublę i robi mi się zwyczajnie głupio. Chyba potraktowałam pracownika sklepu zbyt chłodno. Był miły, a prawda jest taka, że gdyby nie jego zainteresowanie, drałowałabym tutaj jutro ponownie, aby kupić przedłużacz. Wzdycham bezgłośnie, bo czasem za bardzo ulegam swoim emocjom. Tego też w sobie nie lubię.

Płacę za zakupy i wychodzę ze sklepu. Przy drzwiach spotykam przymilnego pracownika. Wiezie kolejną paletę towaru do wyłożenia na półki. Unoszę rękę, aby zwrócił na mnie uwagę. Chcę choć odrobinę zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, jakie po sobie zostawiłam.

– Mam wszystko! – wołam do niego, uśmiechając się wesoło. Wskazuję przy tym na trzymaną w drugiej dłoni reklamówkę. – *Merry Christmas!*

– *Merry Christmas!* – odpowiada mężczyzna, bez ociągania odwzajemniając uśmiech.

Chwilę później jestem już w mieszkaniu. Niedługo zacznie się ściemniać, więc rzucam wszystko i rozpakowuję światełka. Porywam z kuchni krzesło i wynoszę je na zewnątrz. Ustawiam je tuż przy oknie, wchodzę na nie. Czuję się na nim dość stabilnie, więc sięgam do kieszeni, do której upchnęłam przygotowaną wcześniej taśmę klejącą, i wzdłuż okna zaczynam przyklejać sznur lampek. Idzie mi całkiem nieźle, choć nie mogę powiedzieć, że to łatwe zadanie. Pomimo że stoję na krześle, ledwo sięgam, więc dokładne dociskanie taśmy do framugi okiennej wymaga niemałej gimnastyki.

Do samego rogu nie mogę w ogóle dosięgnąć. Zeskakuję więc z krzesła, przesuwam je i wdrapuję się na nie ponownie. Odrywam kawałek taśmy i wyciągam ręce na maksymalną odległość, aby sięgnąć w to wciąż niedostępne dla mnie miejsce. Zaczynam się pocić z wysiłku, ale nadal nic z tego. Wreszcie staję na palcach, a wtedy krzesło się chybocze, i przestraszona, że zaraz upadnę, szybko wracam do pozycji wyjściowej. Zahaczam przy tym ręką o nieprzymocowaną część światełek i cały mój wysiłek idzie na marne. Zrywam sznur lampek, który do tej pory udało mi się przykleić, taśma z łatwością puszcza.

– Psia mać! – klnę głośno.

– O ho, ho, grubo. – Ktoś się śmieje.

Obracam głowę w prawo i widzę, że drzwi sąsiedniego mieszkania są otwarte. Serce zaczyna mi szybciej bić, w brzuchu coś łaskotać, ale widok nie pasuje do oczekiwań. Choć muszę przyznać, że pod pewnymi względami to jednak nawet przewyższa moje oczekiwania. Mężczyzna stojący nieopodal ma mocno zarysowaną szczękę, ogoloną na gładko, i ciemne niczym węgielki tęczówki. Tańczą w nich figlarne iskry. Włosy także ma ciemne, chyba nawet czarne, są starannie ostrzyżone. Do tego jest wysoki i postawny, jego szerokie barki mocno rzucają się w oczy.

– Cześć, jestem Paweł. – Nieznajomy unosi nieznacznie dłoń i lekko nią macha. – Jesteśmy sąsiadami od kilku dni, trzech dokładnie.

– A-aha – dukam, wciąż skołowana.

– A ty jesteś pewnie Zuza. Kuba o tobie wspominał.

– A-aha. – Znów tylko tyle wydobywa się z moich ust. Zaraz jednak dodaję, jakby przed chwilą chłopak tego nie powiedział: – Mieszkasz tutaj? – Wskazuję na czerwone drzwi. – Z Kubą?

– Y-y-y, cóż, tak. – Posyła mi uśmiech, a ja pry cham pod nosem, bo dociera do mnie, co jest grane. Nim zdążę się opanować, zaczynam się głośno śmiać. To nic innego jak ulga i radość, bo przecież oznacza to, że Kuba nie mieszka z żadną dziewczyną czy żoną, ale... z kolegą! Tak jak ja mieszkam z Martą! Przypominają mi się dzień przeprowadzki i trzech mężczyzn, którzy krzatali się przy białym vanie. Założyłam, że ci, którzy nim przyjechali, to spece od przeprowadzek, ale jednym z nich musiał być chłopak stojący przede mną.

– Wybacz, ale nie wiem, co cię tak bawi – mówi sąsiad, patrząc na mnie z zaciekawieniem.

– Przepraszam – rzucam, wciąż się śmiejąc. W końcu przywołuję się do jako takiego porządku i dodaję: – Przypomniało mi się coś naprawdę głupiego i nie mogłam się opanować. Przepraszam.

– Jestem podobny do twojego byłego, z którym masz kosę, czy coś w tym stylu? – Uśmiecha się zadziornie. Ponownie notuję, że jest nieprzeciętnie przystojny, musi podobać się wielu kobietom.

– Nie. – Kręcę głową ze śmiechem. – Mój były chłopak szedł do fryzjera dopiero, jak zrobiłam mu awanturę.

Paweł przeciąga dłonią po swoich włosach, śmiejąc się przy tym wesoło. Do jego uczesania naprawdę nie ma się jak przyczepić.

– W czym ci pomóc? – pyta.

– A spoko, dzięki, poradzę sobie.

– Kuba już zapunktował u nowej sąsiadki, ja też chcę dostać taką szansę.

– Przygląda mi się zawadiacko.

Znów się śmieję. Najwyraźniej nowy sąsiad powiedział o mnie więcej, niż chwilę temu zasugerował to Paweł. Zalewa mnie fala niekontrolowanego gorąca.

– No dobrze – mówię, kompletnie nie wiedząc, jak powstrzymać to ciepło. Staje się coraz intensywniejsze. Przemyka mi nawet przez głowę, aby pozbyć się kurtki. – Chcę zawiesić te światełka wzdłuż okna – oznajmiam. – Ale że Bozia mi wzrostu nie dała, nie mogę dosięgnąć i dobrze ich przymocować.

Paweł bez zbędnego gadania wskakuje na krzesło, na którym chwilę temu sama stałam, i bierze się do pracy. Idzie mu znacznie sprawniej niż mnie, dosięga górnej framugi bez najmniejszego problemu. Pomagam mu, podtrzymując sznur z lampkami.

– A więc będziesz w niedzielę na Ilford? – zagaduje sąsiad.

– Tak. Zapowiada się ciekawe wydarzenie. A poza tym chcę opisać to, czym zajmuje się Kuba.

– Mhm – mruczy.

– Pracuję dla Londyn PL, taki portal i czasopismo zarazem.

– Mhm. – Znów mruczy. W jego wydaniu to bardzo przyjemny dla uszu dźwięk. – Obserwuję was na Facebooku – dorzuca.

– Super. I co o nas myślisz?

– Podoba mi się, że nie gonicie za tanią sensacją jak inne portale tego typu i że podajecie rzetelne, sprawdzone informacje, zamiast rozsiewać fake newsy.

– Powtórzę redaktorce naczelnej.

Paweł spuszcza głowę i posyła mi uśmiech. Gorąc, który mnie zaatakował, zanim sąsiad zaczął wieszać światełka, znów przybiera na sile. Teraz już mam poważny problem z określeniem jego źródła. Kuby nie ma obok mnie, a jednak...

– A ty czym się zajmujesz? – pytam, aby jakoś rozmyć to dziwaczne odczucie.

– Tym co Kuba, jestem operatorem w tej samej wytwórni płytowej.

– Ekstra. I też tworzysz własne utwory?

Sąsiad przez chwilę w milczeniu mocuje światełka, wreszcie się odzywa.

– Tak, też trochę tworzę, chociaż nie tak jak Kuba. Komponuję własne piosenki w taki standardowy sposób. Oczywiście amatorsko.

– Tworzenie melodii z dźwięków natury wydaje się niewiarygodne – stwierdzam.

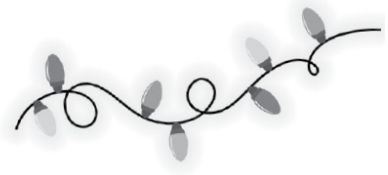
– Nie jest łatwe... Wymaga dużego talentu. – Paweł zeskakuje z krzesła. Stajemy ze sobą twarzą w twarz, to znaczy muszę zadzierać głowę, aby widzieć jego, ale jesteśmy stanowczo za blisko siebie. Zasycha mi w ustach od palącego mnie od środka ciepła. Robię szybko krok do tyłu.

– Z balustradą już poradzę sobie sama – mówię zakłopotana.

– Dobrze. – Paweł też się nieco cofa. – Miło było cię poznać. Do zobaczenia!

– Cześć! – rzucam i całą swoją uwagę skupiam na światełkach.

Kiedy Paweł znika w swoim mieszkaniu, pozwalam sobie głośno wypuścić powietrze z płuc. Dwóch facetów na horyzoncie to dla mnie zdecydowanie za dużo, zwłaszcza że miałam długą przerwę w związkach. Ale z drugiej strony najwyższy czas, aby się to zmieniło i podobno... od przybytku głowa nie boli. Obwieszenie balustrady światełkami zajmuje mi już tylko chwilę.



8.

Dzień w pracy mija mi bardzo szybko, a to dlatego, że dziś byłam zajęta tłumaczeniami. Przesiewanie informacji z newsów dostępnych na stronach agencji prasowych to niełatwe zadanie, ale ich przełożenie na język polski wcale nie jest mniej wymagające. Przekaz musi być rzetelny, a przy tym zwięzły i przystępny dla odbiorcy.

Kiedy wracam do domu, jest już ciemno. I diabelnie zimno. Mój płaszczyk podczas wietrznych dni w ogóle się nie sprawdza. Zastanawiam się, jak przetrwałam w nim zimę w zeszłym roku. Może po prostu aura była spokojniejsza? Teraz nie ma tygodnia, aby nie donoszono o nowym sztormie szalejącym na wodach otaczających Wielką Brytanię.

Jak na zawołanie uderza we mnie podmuch tak mocny, że na moment tracę równowagę. Jestem pewna, że w zeszłym roku nie było takich wiatrów!

Docieram do bloku, od tego wiatru czuję kłujący ból głowy. Mimo niesprzyjającej pogody nie przechodzę od razu na drugą stronę ulicę, ale przystaję na moment – chcę sprawdzić, jak prezentuje się efekt moich wczorajszych starań. Moją uwagę przykuwa jednak coś innego. Spoglądam nieco w prawo i widzę kobietę o wściekle rudych włosach, która właśnie wsiada do auta. Jej ogniste kosmyki w tej pochmurnej aurze mocno rzucają się w oczy, a samochód jest zdecydowanie z tych z wyższej półki, ale ja

koncentruję się na drugiej osobie, która stoi przy krawężniku. Wyteżam wzrok, aby się upewnić. Tak, dobrze widzę, to Paweł, drugi z lokatorów spod czerwonej dwunastki. Poznałam go wczoraj. Unoszę rękę, aby do niego pomachać, ale ten najwyraźniej mnie nie zauważa, bo kiedy tylko auto rusza, obraca się i idzie w przeciwnym kierunku niż blok, w którym mieszkamy.

Wracam wzrokiem do balustrady, zastanawiając się, kim była ta kobieta. Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to to, że właśnie widziałam dziewczynę nowego sąsiada, ale szybko daję sobie spokój z podobnymi domysłami, bo to przecież nie moja sprawa. Nie powinno mnie to obchodzić.

Koncentruję się na balustradzie. Stwierdzam, że wygląda doskonale. Zimne białe światło delikatnie migoce, jest nienachalne, ale bardzo dobrze widoczne. Okno otoczone takimi samymi lampkami też mi się podoba, tak jak palący się bałwanek na drzwiach. Wyszło naprawdę dobrze, myślę, i wtedy atakuje mnie kolejny podmuch wiatru, od którego znów chybotnę się na nogach. Jeśli ostatnio marzyłam o śniegu, to dziś dziękuję niebiosom, że go w tutejszym klimacie zwykle nie ma. Nie chcę myśleć, co by się tutaj działo, gdyby do tej wichury dołączyły opady. Ledwo ta myśl wybrzmiewa w mojej głowie, z nieba spadają pierwsze krople deszczu. Zrywam się z miejsca i truchtam po schodach do góry, aby jak najszybciej znaleźć się pod dachem. Całe szczęście, że już jestem pod domem, nie wyobrażam sobie teraz iść od stacji metra. Zacinający deszcz bezlitośnie smaga świat przede mną, a wiatr, zdaje się, jeszcze przybrał na sile.

Wzdrygam się z zimna i ruszam w stronę swojego mieszkania. Jednak zanim otwieram drzwi, dostrzegam mankament, który wcześniej umknął mojej uwadze, a z dołu był zupełnie niezauważalny. Lampki w lewym rogu okna zawieszono są nieco niżej niż w prawym, niemal wchodzą na szybę, podczas gdy te z drugiej strony ciągną się blisko framugi. Błahostka, której nie mam zamiaru się czepiać.

W domu się przebieram, a potem parzę sobie herbatę. Zwykle pijam gorzką, ale dziś postanawiam posłodzić ją łyżeczką miodu, dodaję do niej

jeszcze plastry cytryny i pomarańczy, a po namyśle także kilka goździków. Pachnie zniewalająco.

Idę do pokoju po mój notatnik. Siadam z nim przy stole i zaczynam go wertować. Po kilku próbach nieudanego zagniatania ciasta na kruche pierniki mam dosyć, ale mój wewnętrzny upór nie pozwala mi całkowicie odpuścić. Jeszcze nie.

W drodze do domu przypomniało mi się, że miałam gdzieś przepis na inne pierniczki, miękkie od razu po upieczeniu. Nie korzystałam z niego do tej pory, ale dobrze pamiętam, jak zadzwoniłam do mamy, aby ją o niego poprosić.

– Mamo, pamiętam, że czasem piekłaś też takie miękkie pierniczki – powiedziałam. – Masz może jeszcze gdzieś przepis?

– Dziecko... – westchnęła mama. Widziałam zaledwie połowę jej twarzy i czubek głowy, ale nie poprosiłam, aby lepiej ustawiła telefon. Robiłam to, ilekroć rozmawiałyśmy, i efekt zawsze był taki sam. – Przecież ja upiekę pierniki i je przywiozę! Nie musisz się tym przejmować.

– Wiem, Arek mi mówił, ale chciałam na wasz przyjazd upiec swoje. Nie wiem, czy wyjdą mi te kruche, więc na wszelki wypadek chcę mieć w pogotowiu inny przepis.

– Nie kłopotz się – powtórzyła mama – to naprawdę niepotrzebne.

– Potrzebne i co więcej, chcę to zrobić – upierałam się. – Masz jeszcze na nie przepis czy nie?

– Co za uparciucha – wymamrotała pod nosem mama, ale zaraz podniosła się z miejsca. – Chwila, gdzieś go miałam – rzuciła. Przez kilka minut nie było jej widać w kamerce, za to wyraźnie słyszałam, jak buszuje po kuchennych szafkach.

– Poszukaj na spokojnie, mamo. Poczekał.

– Cieszę się, że zgodziłaś się na przyjazd Glorii! – krzyknęła, nie przerywając poszukiwań.

– Jak mogłabym się nie zgodzić?

– Wiesz, skarbie, kolejna osoba pod dachem to jednak kolejna osoba pod dachem, a...

– Zaczekaj chwilkę mamo, ktoś puka – powiedziałam, po czym z telefonem w ręku przeszłam do korytarza. Mieszkałam wtedy w niewielkim domu przy stacji Mile End razem z tatą i jego kolegą po fachu. Dobrze wspominałam tamten okres. Ojciec dużo pracował, przez co miałam mnóstwo przestrzeni, a jednocześnie zawsze był na wyciągnięcie ręki.

Otworzyłam drzwi tak niezdarnie, że telefon wypadł mi z dłoni. Schyliłam się szybko po komórkę, słysząc pogodne: „Cześć” od sąsiada mieszkającego naprzeciwko.

– Hej! – Wyprostowałam się.

– Kurier nie zostawił czasem u was paczki dla mnie? – zapytał.

– Nie, niestety nie – odpowiedziałam.

– Ech – westchnął mężczyzna. – Zostawił informację, że paczka jest u sąsiadów obok, ale obok jej nie ma. Musiał się pomylić i źle wpisać numer domu, i teraz chodzę po okolicy i szukam...

– Ooo, a co to za przystojny młody człowiek? – usłyszałam głos mamy. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że kiedy podnosiłam telefon, niechcący przełączyłam obiektyw kamery. Szybko wyłączyłam wizję.

– Momencik, mamo, zaraz do ciebie oddzwonię – rzuciłam.

Porozmawiałam chwilę z sąsiadem o jego zgubionej paczce, niestety nie byłam w stanie mu pomóc. Kiedy skończyliśmy, połączyłam się ponownie z mamą.

– No hej, córciu! – Szybko odebrała. – Masz gościa?

– Nie, nie, to tylko sąsiad. Zawieruszyła mu się przesyłka.

– Aha. – Mama wyraźnie spochmurniała. – Myślałam, że może masz kogoś. Że może nawet przedstawisz go nam w święta!

– Mamo... – westchnęłam ciężko.

– Zuza, jesteś młoda, mądra, atrakcyjna... I minęło już sporo czasu, odkąd rozeszłaś się z Andrejem.

– Zaledwie trzy miesiące – doprecyzowałam.

– Jesteś młoda – powtórzyła. – Nie czas na rozpamiętywanie i zadreczanie się. Widocznie nie byliście sobie pisani. A nuż nowy związek...

– Mamo, dobrze wiesz, że to tak nie działa. Że pyk i ktoś wskakuje na miejsce byłego.

– Och wiem, wiem, kochanie, po prostu myślałam, że może się zakochałaś. Grudzień to taki piękny miesiąc, wprost idealny na nową miłość!

Uśmiechnęłam się pod nosem, bo mama w każdej porze roku potrafiła dostrzec urok, którego nie zauważali inni.

– Nie tylko w maju ludzie się zakochują – ciągnęła. – Grudzień sprzyja miłości, ta atmosfera, te endorfiny. No i aura, mróz za sienią, gorąc w sercu. A wszystko w wirujących płatkach śniegu.

– Teraz w Anglii ciężko o śnieg, mamo – przypomniałam jej ze szczerym rozbawieniem.

Poetyckie wypowiedzi mamy zawsze wprawiały mnie w dobry nastrój. Kiedyś myślała o pisaniu wierszy, wielokrotnie powtarzałam jej, że wcale nie jest za późno, aby jeszcze zaczęła.

– Szczegóły! – Mama się zaśmiała. – Dobrze, ja tak tylko mówię, nic na siłę oczywiście. Mam ten przepis!

Wzięłam wtedy do ręki notatnik, ten, który mam teraz przed sobą, i zapisałam w nim składniki dyktowane przez mamę. Później wyjaśniła mi dokładnie, jak przygotować ciasto. Pobieźnie zapisałam wskazówki. Cały proces wydał mi się łatwy, a poza tym mocno wierzyłam, że uda mi się z kruchymi pierniczkami i przepis na miękkie okaże się zbędny. Teraz żałuję, że mam tylko okrojoną instrukcję, będę musiała posiłkować się internetem. Poszukam czegoś, co będzie najbardziej odpowiadało zapiskom, składniki dodam według tego, co mam w notatniku, i powinno się udać.

Kiedy zaczynam przeszukiwać sieć, rozlega się pukanie do drzwi. W pierwszej chwili wydaje się takie samo jak to z moich wspomnień sprzed

chwili. Uśmiecham się, bo wrażenie jest tak autentyczne, że dałabym sobie rękę uciąć, że naprawdę je słyszałam. Wtedy rozlega się ponownie.

Unoszę głowę, bo najwyraźniej faktycznie ktoś się do mnie dobija. Odkładam telefon na stół i idę do przedpokoju. Nie mam pojęcia, kto stoi za drzwiami, bo nie zamontowano w nich żadnych szybek. Nie zadbano też o wizjer, więc nie mogę zerknąć, by sprawdzić, kogo lichy niesie. Pukanie się powtarza, otwieram, dłużej nie zwlekając.

Wita mnie wesoły uśmiech sąsiada. Pięść ma uniesioną w górę, jakby znów chciał uderzyć knykciami w drzwi. Zaczynam się zastanawiać, jak długo tutaj stoi, niewykluczone, że utonęłam we wspomnieniach tak bardzo, że w ogóle nie usłyszałam pierwszego pukania.

Do domu wdziera się zimne powietrze, ale wcale nie czuję chłodu. Nie słyszę też deszczu, nie wiem, czy przestało padać, czy wciąż leje, wszystko przez to, że cała moja uwaga jest skoncentrowana na przybyśzu.

– Cześć! – Sąsiad odzywa się pierwszy.

– Cześć – odpowiadam szybko i natychmiast dodaję: – Mam nadzieję, że nie stoisz tu długo, byłam w łazience i nie słyszałam...

– Nie ma sprawy. Proszę. – Kuba podaje mi paczkę. – Listonosz rano zostawił.

– O, już przyszły? – pytam retorycznie. Zamówiłam na eBayu kilka ozdób choinkowych, bo w sklepach stacjonarnych nie mogłam znaleźć takich, jakie sobie wymarzyłam. Nie spodziewałam się, że ręcznie wyszywane aniołki tak szybko do mnie dotrą. – Dziękuję! Byłam rano w redakcji.

– Jasne, żaden problem. Jak leci?

Przenoszę spojrzenie z przesyłki na Kubę. Wciąż się uśmiecha. Dziś jego szczękę znów pokrywa krótki zarost. Do twarzy mu z nim. Wprawdzie nie widziałam go jeszcze ogolonego na gładko, ale wydaje mi się, że ten kilkudniowy meszek dodaje mu atrakcyjnej hardości. Bardzo mu pasuje.

– W porządku. Właśnie przymierzam się do pieczenia pierników. – Tym razem przyglądam się sąsiadowi bez wyrzutów sumienia, wiem już przecież, że nie mieszka z żadną kobietą. – Według nowego przepisu.

– A co z tamtym było nie tak?

– Z przepisem wszystko dobrze, tylko z moimi umiejętnościami trochę gorzej. – Śmieję się.

– A, prawda! – Kuba mi wtóruje, zapewne nawiązując do moich zwęglonych pierniczków. Nim pomyślę, częstuję go szturchańcem.

Cofam dłoń zakłopotana, nie wiem, co z nią teraz zrobić. Zakładam włosy za ucho, aby czymś ją zająć.

– Wciąż mam nadzieję, że wywiązesz się z obietnicy – odzywa się. Unoszę na niego wzrok. Spogląda na mnie powłóczyście, odrobinę mruży przy tym oczy. – I w końcu będę mógł skosztować twoich ciasteczek.

– Oczywiście! – zapewniam. – Zawsze dotrzymuję słowa.

– Super! – Kuba zaczyna się wycofywać. – To nie będę dłużej przeszkadzał. Udanych wypieków!

Mam ochotę krzyknąć, że przecież wcale mi nie przeszkadza, ale pohamowuję swoją wylewność. Zamiast coś powiedzieć, macham sąsiadowi na pożegnanie, myśląc o tym, że skoro nie mieszka z żadną kobietą, mogłabym sobie pozwolić na nieco więcej. Może nawet na znacznie więcej. Zaprosić go na herbatę? Albo zaproponować mu wspólne pieczenie? Mogłoby być przyjemnie...

Zamykam drzwi, wzdychając. Może innym razem zdobędę się na to, aby zrobić śmielszy krok. A może Kuba wreszcie go wykona? Coś mi podpowiada, że on też poczuł do mnie miętę. Nie wiem, czym to „coś” dokładnie jest. Czy chodzi o mowę ciała, o spojrzenie, czy może o tę niewidoczną, ale osławioną chemię, ale po prostu czuję, że to coś zawisło między nami.

Przechodzę do kuchni, zastanawiając się, jaka jest szansa, że Kuba należy po prostu do nieśmiałych facetów. Jeśli to prawda, będę musiała przejąć inicjatywę. Zaczynam odczuwać ekscytację na myśl o takim obrocie spraw, zwykle pociągali mnie przebojowi chłopcy, ale teraz...

Zuza! – karcę się w duchu za te coraz śmielsze wyobrażenia o sąsiedzie i z werwą biorę się do rozpakowania przesyłki. Mam nadzieję, że pomoże mi to ochłonąć, bo znów zapędziłam się zdecydowanie za daleko.

Sprawdzam, czy ozdoby, które zamówiłam, odpowiadają tym zaprezentowanym na stronie internetowej. Wyglądają dobrze. Najbardziej jestem zadowolona z białych wyszywanych aniołków, skrzydła zrobiono z piór. Są naprawdę urocze.

Odsuwam na bok pudełko i zerkam na telefon. Nie jest jeszcze tak późno, rzeczywiście mogłabym zabrać się do tych pierników. Problem w tym, że brakuje mi kilku składników. Sięgam po komórkę i sprawdzam prognozę pogody. Nie zapowiadają opadów na najbliższe godziny, więc jest spora szansa, że deszcz, który złapał mnie przy klatce schodowej, był jedynie przelotnym incydem, jakich pełno na Wyspach. Wyglądam przez kuchenne okno. Faktycznie nie pada, wieje tylko jak wściekłe, ale to raczej się już tego wieczora nie zmieni.

Przechodzę do korytarza i ubieram się ciepło, oprócz płaszcza narzucam także szalik i czapkę. Gnam do sklepu po potrzebne produkty. Kiedy wracam z zakupami, od razu zabieram się do pracy. Serwuję sobie drugi kubek herbaty z miodem i cytrusami, po przechadzce na tym zimnie cudownie mnie rozgrzewa. Włączam radio, nie waham się przy wyborze stacji. Rozbrzmiewa świąteczna piosenka, nie znam jej, ale wygląda na to, że rozgłośnia Magic sumiennie wywiązuje się ze swoich zapowiedzi.

Podkręcam głośność, Marty nie ma w domu, więc nie będę jej przeszkadzać. Kiedy zmienia się repertuar, zaczynam podśpiewywać, w międzyczasie szukam w internecie przepisów, jak przygotować ciasto na miękkie pierniki. Receptur jest oczywiście od groma. Kiedy wreszcie decyduję się na jedną z nich, wykładam potrzebne składniki. Zaczynam je mieszać, wtedy mimowolnie przypomina mi się mama. Widzę ją, jak stoi przy kuchennym blacie i zagniata ciasto, abyśmy mogli później wykrawać z niego ciasteczka. Zawsze po upieczeniu pozwalała nam je dekorować. Lubiałam to, choć nie byłam w tym spektakularnie dobra. Arek z kolei paprał lukrem pierniczki byle jak, robiąc bałagan w całej kuchni, ale mama i tak zawsze wydawała z siebie jedynie okrzyki zachwytu. Agacie najlepiej wychodziło dekorowanie, może dlatego, że była najstarsza, a może dlatego,

że jako jedyna miała zacięcie plastyczne. Zawsze dobrze odnajdywała się w pracach manualnych.

Miałam zadzwonić do Agaty, przypominam sobie swoją własną obietnicę.

Jutro. Jutro do niej zadzwonię, mówię sobie, i pozwalam, aby znów pochłonęły mnie wspomnienia. Zaczynam śmieiej śpiewać pod nosem.

Po dwóch godzinach w kuchni pachnie naprawdę przyjemnie. Z zadowoleniem wciągam przez nos korzenny aromat. Wyjmuję ciasteczka z piekarnika, aby sprawdzić efekt. Ożeż ty! Wyglądają po prostu świetnie! Sprawiają wrażenie wręcz idealnych. Nie mogę oprzeć się pokusie i biorę jednego piernika w palce, jest strasznie gorący. Dmucham, aby się nie poparzyć, a potem odgryzam mały kawałek. Uśmiecham się szeroko, naprawdę wyszły! Mam ochotę triumfalnie zatańczyć, ale zamiast tego przychodzi mi do głowy, że teraz, kiedy wiem, że Kuba nie mieszka z żadną dziewczyną, nic nie stoi na przeszkodzie, abym dała sobie szansę na rozwój tej znajomości.

W pośpiechu przygotowuję lukier, najprostszy z możliwych z odrobiną cytryny, a potem dość obficie smaruję nim świeżo upieczone pierniczki. Prezentują się całkiem znośnie, wybieram spośród nich te najładniejsze, daruję sobie serduszka, stawiam na choinki i anioły. Kładę je na talerzyku. Moment później pojawia się przed czerwonymi drzwiami sąsiedniego mieszkania. Pukam kołatką i choć włożyłam ten sam płaszcz, który miałam na sobie, kiedy wracałam z pracy do domu, wcale nie czuję przeszywającego zimna.

– O, Zuza, cześć! – Otwiera mi Paweł.

Roztacza wokół siebie świeży zapach, włosy ma mokre, musiał chwilę temu wyjść spod prysznica. Całe szczęście, że zdążył się ubrać, a nie przywitał mnie owinięty samym ręcznikiem. Albo...

– Jak tam? – rzuca.

– Obiecałam Kubie pierniki, jak już mi wyjdą, no i właśnie wyszły. – Unoszę nieco talerzyk z ciasteczkami. – Za to, że wniósł mi tę ciężką paczkę – dodaję gwoli wyjaśnienia.

– A ja co dostanę za to, że przymocowałem światełka w oknie? – Chłopak opiera się ramieniem o framugę drzwi, mruży przy tym oczy i przygląda mi się zaczepnie.

Przypominam sobie o niedociągnięciu, które zauważyłam, wracając z pracy. Nie zamierzałam w ogóle nikomu o tym wspominać, ale w zaistniałych okolicznościach...

– Światełka wiszą krzywo – oznajmiam.

– Hm? – mruży ze zdziwieniem.

– Z lewej strony są za nisko, wchodzą niemal na szybę.

Nie przejmując się zimnem na zewnątrz, Paweł wymija mnie i podchodzi do mojego okna. Przygląda się lampkom.

– Ale jesteś drobiazgową – kwituje.

– Raczej rzetelna.

– To nie to samo? – Wraca pod drzwi swojego mieszkania, przy których ciągle stoję z talerzykiem ciastek w ręku.

– Nie do końca – stwierdzam. – Drobiazgową już blisko do upierdliwej, a rzetelnej po drodze z solidną, odpowiedzialną i godną zaufania.

Paweł przez moment mi się przygląda, znów mruży przy tym oczy, w końcu przyznaje mi rację. A potem... Nie zawracając sobie głowy pytaniem o pozwolenie, sięga po pierniczka.

– Ale nic nie zmienia faktu, że robota została wykonana – mówi, bez skrępowania kosztując mojego wypieku. – Krzywo czy niekrzywo, światełka wiszą.

W milczeniu przyglądam się, jak przeżuwa odgryziony kęs, zupełnie jakbym czekała na jakiś werdykt.

– Dobrze – wyrokuje, po czym znów wyciąga rękę w moim kierunku. Nim zdążę się odsunąć, przejmuje ode mnie cały talerzyk! – W takim razie te będą dla mnie. Kuby nie ma, jego strata. – Uśmiecha się zawadiacko.

– O! – Tylko tyle jestem w stanie powiedzieć. Byłam przekonana, że mój nowy sąsiad jest w mieszkaniu, w końcu przed momentem przyniósł mi paczkę, którą zostawił dla mnie listonosz. Tyle że to przecież wcale nie było

chwilę temu, ale co najmniej dwie godziny wcześniej. Spacer do sklepu i pieczenie ciasteczek zajęły mi trochę czasu.

– Wejdiesz?

Spoglądam na zapraszającego mnie do siebie Pawła i baranieję do reszty. Przystojna twarz sąsiada robi mi wodę z mózgu, facet ma w sobie coś, co podpowiada mi, abym skorzystała z propozycji. Nie mam bladego pojęcia, czy chcę temu ulec. To do mnie całkowicie niepodobne, rzadko kiedy jestem tak niezdecydowana, jednak w tym momencie nie wiem już nic. Chwilę temu chciałam zobaczyć się z Kubą, a teraz...

– Dzięki, chętnie, ale właśnie włożyłam drugą blachę pierników do piekarnika. – Mam mętlik w głowie, więc po prostu się wykręcam.

– O, to lepiej leć do nich, bo znów ci się sfajczą – śmieje się.

– No lepiej nie wkurzać sąsiadów – komentuję, wycofując się pod swoje drzwi.

– I szkoda, żeby się spaliły, bo serio dobre ci wyszły. – Paweł ponownie wgryza się w ciastko.

Otwieram usta, aby powiedzieć mu, że dobre to są dopiero te kruche, które nie chcą mi wyjść, ale zamiast tego mówię:

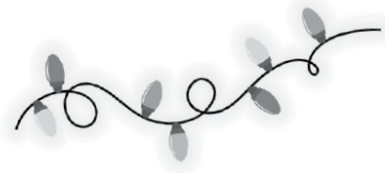
– Cieszę się, że ci smakują!

– Nie obiecuję, że zostawię coś Kubie – stwierdza jeszcze, kiedy jestem już pod swoimi drzwiami. – Zresztą te są za pomoc przy wieszaniu światełek, prawda?

– Prawda! – przytakuję. – Spokojnie, zjedz wszystkie. Przyniosę wam ich więcej!

Paweł puszcza do mnie oko, a ja wreszcie chowam się w swoim mieszkaniu. Policzki palą mnie wszystkim po trochu: ekscytacją, zażenowaniem, a chyba najbardziej niepewnością własnych pragnień.

O rety, tego naprawdę się nie spodziewałam.



9.

Rano, kiedy wychodzę z mieszkania, czeka na mnie miła niespodzianka. Światelka przy oknie wiszą idealnie prosto. Paweł musiał je poprawić. Uśmiecham się w duchu. Ten gest mogłabym uznać jedynie za sąsiedzką uprzejmość, ale wydaje mi się czymś więcej. Odbieram go jako próbę przypodobania mi się. Z jednej strony takie zachowanie nowego znajomego przyjemnie łechce moje poczucie własnej wartości, z drugiej zastanawia. Dobrzy kumple nie powinni wchodzić sobie w drogę.

Tyle że wcale nie wiem, jak jest naprawdę między Kubą a Pawłem. Ani nawet, czy ktoś faktycznie komuś wchodzi tutaj w drogę.

Myślę o tym nieprzerwanie, idąc na stację overgroundu. Dopiero tam uderza mnie fakt, którego w ogóle wcześniej nie brałam pod uwagę. To, że Kuba nie mieszka z żadną kobietą, nie oznacza, że takowej... nie ma. Do czorta, przecież nadal może być zajęty!

Posmutniała jadę do redakcji. Co jakiś czas pracuję w weekend, w sobotę lub w niedzielę, w zależności od tego, kiedy wypadnie mój dyżur. Portal nigdy nie śpi i czuwanie nad nim w dni powszechnie uznawane za wolne od pracy, w tym święta, jest koniecznością. Mogłabym dzisiejszą pieczę nad portalem sprawować z domu, ale popołudnie i tak mam w planie spędzić na mieście, więc wolałam od razu przyjechać tutaj. Poza tym w biurze praca

zawsze idzie mi sprawniej, w mieszkaniu jest milion rzeczy, które rozpraszają uwagę.

Przygotowuję materiał o tym, gdzie w Londynie można spotkać świętego mikołaja. Ciekawe, ilu czytelników po jego lekturze wskoczy na pokład wesołego rejsu po Tamizie, w którym bierze udział sam staruszek w czerwonym stroju. Kiedyś sama spotkałam go w jego magicznej grocie w Wetland Centre. W tym roku, podobnie jak w poprzednich latach, nie mam zamiaru się za nim uganiać, ale niewykluczone, że kogoś zainspiruję do fajnego spędzenia czasu.

Kiedy zaczyna zapadać zmrok, zbieram się do wyjścia z redakcji. Czeka mnie spacer z Leo po centrum miasta, umówiliśmy się na szesnastą. Fotograf jest do mojej dyspozycji w zależności od potrzeb, redakcja stale z nim współpracuje, jednak nie jest w niej zatrudniony na stałe. Działa to na zasadzie zleceń, które wynikają z potrzeb portalu. Leo często wykonuje też zdjęcia nieodpłatnie – uwielbia fotografować. A że stosunki między nami są znacznie bardziej zażyłe niż między pozostałymi pracownikami redakcji, często umawiamy się na dodatkowe sesje. Leo ćwiczy umiejętności, portal zyskuje dodatkowe fotki, a my możemy spędzić czas razem, świetnie się przy tym bawiąc.

Naszą małą tradycją jest spacer po centrum miasta na początku grudnia. Nie zrezygnowałam z niego nawet w ostatnich latach. Widok żarzących się lampek zawsze działał na mnie wyciszająco i to się nie zmieniło. Tuż po weekendzie uraczę obserwatorów portalu ujęciami pięknie oświetlonego Londynu.

Podjeżdżam metrem na Oxford Circus, a tam, zaraz po wyjściu ze stacji, witają mnie dziesiątki migocących lampek. W tym roku instalacja to różnej wielkości gwiazdy zwisające nad ulicą. Ciągną się wzdłuż całej Oxford Street, nie widać ich końca. Choć są dopiero namiastką tego, co można ujrzeć dalej, przyglądam się im z fascynacją. Mają w sobie coś absolutnie hipnotyzującego. Światło rozpraszające ciemność jest inspirujące, zresztą nie bez powodu. Stanowi plastyczną metaforę zwycięstwa dobra nad złem,

a przecież w głębi duszy każdy człowiek pragnie, aby bitwy, w których dzień w dzień uczestniczy, tak się właśnie kończyły.

Zerkam na komórkę, nie mogąc się doczekać, aż zobaczę moje ulubione instalacje – anioły zawieszane nad Regent Street. Leo jak zwykle się spóźnia, zdążyłam się już do tego przyzwyczaić. Latem czy wiosną niespecjalnie mi to nawet przeszkadza, ale teraz, w grudniu, jest mi zwyczajnie zimno. Całe szczęście nie pada.

Zaczynam rozglądać się za najbliższą kawiarnią, w której mogłabym się nieco ogrzać, kiedy zauważam przyjaciela wychodzącego ze stacji.

– *Sorry* – mówi, podchodząc do mnie. – Długo czekasz?

– Na tyle długo, że potrzebuję czegoś gorącego do picia.

– Costa czy Pret?

– Chodźmy do Starbucksa na gorącą czekoladę.

– Ooo, widzę, że komuś tu brakuje słodkości. Pierniki wciąż nie wyszły?

– Wyszły, ale nie te, które chciałam. – Ruszamy w stronę kawiarni. – Skorzystałam z innego przepisu, udało mi się upiec miękkie pierniczki.

– To taka wielka różnica? – Leo spogląda na mnie z kwaśną miną. – Pierniki to pierniki.

– Są różne rodzaje pierników – rzucam, nie wdając się w szczegóły. – Dla mnie najlepsze są kruche.

– Aha, no dobrze. Ale czy to znaczy, że te miękkie są niedobre? – dopytuje Leo, kiedy wchodzimy do zatłoczonego lokalu.

– W sumie są dobre. Ale to po prostu nie to samo. Przyniosę w poniedziałek do redakcji, sam ocenisz, jak mi wyszły.

Leo uśmiecha się z aprobatą, po czym zamawia dwie gorące czekolady na wynos. Po chwili wręcza mi kartonowy kubek. Dziękuję mu i upijam łyk gęstej słodkiej czekolady. Rozkoszna, od razu jest mi od niej cieplej.

– I co, będziesz próbować dalej? – pyta.

Kiwam głową w potakującym geście. Miałam sobie już odpuścić te kruche, ale nie byłabym sobą, gdybym tak szybko się poddała.

– Wiedziałem. – Prycha rozbawiony.

Kwituję jego słowa uśmiechem. Leo całkiem dobrze mnie zna. O ile Marty nigdy nie nazwałabym swoją przyjaciółką, o tyle on na pewno jest moim przyjacielem. Poznaliśmy się w redakcji. Kiedy zaczął pracować dla Londyn PL, byłam już tam zatrudniona. Właściwie od razu się polubiliśmy, zaczęliśmy spędzać ze sobą coraz więcej czasu, a nim się obejrzeliśmy, staliśmy się niemal nierozłączni. Teraz to właściwie nie wyobrażam sobie funkcjonowania bez niego, dzielę z nim swoje smutki i radości. On też może na mnie polegać.

– Tylko żebyś w końcu bloku nie spaliła – dorzuca kumpel, na co śmieję się w głos. Wygląda na to, że jeszcze długo znajomi nie dadzą mi zapomnieć o tych zwęglonych pierniczkach. Niedawno przypomniał mi o nich Kuba, ostatnio Marta i Paweł, a teraz jeszcze Leo.

Idziemy wzdłuż Oxford Street grzani przez gorącą czekoladę, przyjaciel co chwila pstryka jakieś zdjęcie. Nie wtrącam się do jego pracy, przekonałam się, że doskonale wie, co robi. Ma niezłe wyczucie perspektywy, które pozwala mu uchwycić chwile. Od czasu do czasu mówię tylko, które miejsce szczególnie mi się podoba.

Trochę dalej wita nas uformowany z jasnych lampek pióropusz pawia, dalej ulica przyozdobiona jest światełkami układającymi się już w pojedyncze pióra. Odwiedzamy South Molton Street. Świąteczne lampki tworzą nad ulicą rząd łuków. Kiedy się pod nimi przechodzi, ma się wrażenie, że mija się bajeczne wrota, za którymi czeka nowa niesamowita opowieść.

Wreszcie kierujemy się na Regent Street i widzimy moje ulubione anioły. Dumnie wznoszą się nad ulicą, jarzą się ciepłym żółtym światłem, a pod nimi rozpościerają się niebieskie baldachimy. Są naprawdę czarujące, mogłabym się im przyglądać godzinami, ale Leo zaczyna marudzić, że jest mu zimno. Idziemy dalej.

Oprócz fotek na portal przyjaciel robi kilka prywatnych zdjęć. Nie odmawiamy sobie również wspólnego selfie. Od razu wrzucamy je na nasze media społecznościowe. Pierwsze polubienie na Facebooku przychodzi jak zwykle od Andreja, serduszko na Instagramie również. Mój były stale

podgląda mnie w internecie, w mediach społecznościowych ciągle jestem na jego celowniku. On również jest dziennikarzem, pracuje dla czeskiego portalu. To stosunkowo niewielka platforma, która działa jedynie w sieci, ale radzi sobie całkiem dobrze w przestrzeni medialnej. Poznałam swojego eks, kiedy siedziba Londyn PL mieściła się jeszcze w tym dużym open space przy Hammersmith. Portal Andreja także wynajmował tam kawałek przestrzeni. Dzierżawi ją zresztą do dziś. Przeniesienie redakcji Londyn PL do osobnego biura oddalonego o kilkanaście kilometrów od starej siedziby było mi więc podwójnie na rękę. Nie musiałam już się obawiać, że znów „przypadkiem” na siebie wpadniemy. Choć niestety nadal się to zdarza... Czasem wydaje mi się, że Andrej wciąż ma nadzieję, że jeszcze się zjedziemy.

Wracam do domu zadowolona z efektów pracy. Leo zrobił cudne zdjęcia. Kiedy podchodzę do bloku, zauważam, że kolejny sąsiad przyozdobił świąteczkami mieszkanie. Bardzo się z tego cieszę, nasz blok wygląda coraz bardziej świątecznie. Przypomina mi się, że całą trójką: ja, Agata i Arek wychodziliśmy przed dom, aby zobaczyć, jak tata rozwiesił świąteczki. Zawsze bardzo nam się podobały i co roku dołączał jakiś nowy element. Przed włączeniem lampek zgadywaliśmy, co tym razem się pojawi. Agacie raz udało się trafić. Był to jaśniejący bałwanek.

Przyglądam się oświetlonym mieszkaniom, wyrzucając sobie, że ciągle tego nie zrobiłam – nie zadzwoniłam do siostry. A przecież sama to sobie obiecałam.

Ruszam w stronę schodów, zastanawiając się, co dodałoby mi odwagi, aby wreszcie zdobyć się na ten krok. Nic sensownego nie przychodzi mi do głowy, ale za to w myśli wkrada mi się wyobrażenie, że cały nasz blok jest oświetlony. Wyglądałby naprawdę przeuroczo, gdyby każdy przystroił swoje mieszkanie. Przy kolejnych stopniach zaczynam się zastanawiać, jak można byłoby do tego zachęcić lokatorów. Myśli o Agacie całkowicie się rozmywają, kiedy tuż przed drzwiami swojego mieszkania wpadam na pomysł, który wydaje mi się wart wysiłku.

Wchodzę do domu, rozbieram się szybko i szukam czystego papieru. Kartki do drukarki muszą mi wystarczyć. Porywam kolorowe długopisy. Siadam z tym wszystkim przy stole w kuchni, a po paru minutach mam wypisanych kilkanaście kartek. To nic innego jak prośby o zawieszenie światełek w oknie i na balustradzie. Podpisuję się imieniem i numerem mieszkania, chcę, żeby notka była wiarygodna.

Zadowolona wychodzę z domu i zaczynam roznosić te moje delikatne sugestie. Wrzucam kartki przez szpary na listy wszystkim tym sąsiadom, którzy jeszcze nie zadbali o świąteczny klimat, zarówno tym zajmującym lokale na piętrze, jak i tym z parteru. Mam nadzieję, że zechcą się przyłączyć i w te święta wspólnie sprawimy, że nasz blok będzie najładniejszy!

Przystaję przy czerwonej dwunastce. Jeszcze tylko swoim nowym sąsiadom nie wrzuciłam kartki z wiadomością. Nie jestem pewna, czy powinnam to zrobić, nagle mój pomysł wydaje mi się infantylny. Stoję i gapię się na drzwi skołowana, nie da się ukryć, że poniosła mnie wyobraźnia, chyba uległam tej osławionej magii świąt.

Ale czy nie o to chodzi w Bożym Narodzeniu? Aby dać się porwać i nie oglądać się przy tym na to, co powiedzą inni? Cieszyć się tym grudniowym czasem na swój sposób? I to taki, który sprawia nam najwięcej radości.

Wrzucam kartkę do mieszkania sąsiadów zza ściany. Przepadło, już tego nie cofnę. I dobrze, oczami wyobraźni ciągle widzę nasz blok roziskrzony setkami kolorowych światełek. Będzie wyglądał naprawdę pięknie i zjawiskowo na tle pozostałych budynków.

Nagle niewyraźny dźwięk przepędza z mojej głowy te wyobrażenia. Odskakuję na bok niczym rażona piorunem, bo nieoczekiwane drzwi przede mną się otwierają. W popłochu gnam do swojego mieszkania, jednak zanim zdążę się w nim schować, na balkoniku pojawia się Paweł. W rękę trzyma kartkę, którą chwilę temu wrzuciłam przez otwór na listy.

– Hej – mówi, prześlizgując się wzrokiem po światełkach, które pomógł mi zawiesić. I które później poprawił.

– Cześć – odpowiadam, zastygając z kluczem wsuniętym w zamek drzwi.

Paweł unosi znacząco kartkę.

– Właśnie wrzuciłam – mówię, zakładając włosy za ucho.

– Dostosujemy się. – Sąsiad posyła mi uśmiech.

Silę się na podobny gest, ale czuję, że mój uśmiech jest wyraźnie podszyty zakłopotaniem. Ponownie poprawiam przy tym włosy. Jeśli przed chwilą oceniłam swój spontaniczny pomysł jako infantylny, teraz wydaje mi się, że zwyczajnie się wygłupiłam.

– Taka moja mała fanaberia – oświadczam, czując, że powinnam się jakoś usprawiedliwić.

– Spotkałem się z gorszymi fetyszami. – Paweł się śmieje. – A myślałem, że pieczenie ciastek to twój świąteczny bzik.

– Jak widać mam ich kilka. – Znow próbuję się swobodnie uśmiechnąć.

– Może te światełka są nawet lepsze niż pieczenie... – mówi, unosząc wysoko brwi. Przyglądam mu się, nie bardzo rozumiejąc, do czego zmierza. – W końcu wieszając świąteczne lampki, chyba nie da się podpalić całego bloku.

Mimowolnie się krzywię. Wygląda na to, że szybko nie zaznam spokoju. Ciekawe, czy kiedykolwiek zostanie mi to zapomniane, czy może będzie mi to wytykane rok w rok?

– Żartuję – zapewnia Paweł. Musiał zauważyć moją kwaśną minę. – Absolutnie nie rezygnuj z pieczenia, bardzo dobre ci wyszły te ciastka – dodaje, a potem znow unosi wypisaną przeze mnie kartkę. – Nie wiem tylko, czy wszyscy będą chcieli współpracować.

– Jeśli nie, to mówi się trudno. Jak nie spróbuję, to się tego nie dowiem. – Wzruszam ramionami.

– Otóż to – przytakuje sąsiad, po czym jego spojrzenie krzyżuje się z moim. Szybko uciekam wzrokiem, kiedy atakuje mnie myśl, że Paweł to kawał przystojniaka. Pod tym względem bezapelacyjnie wygrywa z Kubą, do tego wydaje się znacznie pewniejszy siebie niż kolega. Nie, nie wydaje się, właśnie taki jest.

– Teraz jest dobrze? – Ponownie słyszę jego głos.

Nie mam innego wyjścia jak na nowo unieść spojrzenie. Przez moment jeszcze nie wiem, o co chodzi, ale wreszcie chwytam.

– Tak, teraz jest świetnie. Dzięki, że chciało ci się poprawić te światełka.

– Spoko – kwituje, posyłając mi kolejny uśmiech.

– Widzimy się jutro na Ilford? – rzucam, zanim zdążę się zastanowić, czy powinnam w to brnąć.

– Nie, nie będzie mnie.

Tym razem spoglądam na sąsiada zaskoczona.

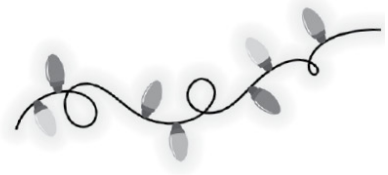
– Nie wybieram się, jakoś takie festyny mnie nie kręcą – wyjaśnia rzeczowo.

Gryzę się w język, aby nie powiedzieć: „Szkoda”.

– Rozumiem – mówię zamiast tego. – W takim razie do zobaczenia... kiedyś tam, w najbliższym czasie. – Uśmiecham się z zakłopotaniem, które, tak mi się wydaje, jest widoczne jak na dłoni. – Uciekam, bo zimno jak diabli – dodaję i otulam się przy tym ramionami, jakby w grudniu trzeba było komukolwiek udowodniać, że tak jest.

– Na razie! – Paweł unosi dłoń w pożegnalnym geście i znika w swoim mieszkaniu.

Kiedy wreszcie zatraskuję drzwi swojego, uderzam kilka razy czołem o ich futrynę. Nie dość, że wpadłam na jakiś poroniony pomysł oświetlenia całego bloku na święta, to jeszcze wygląda na to, że obaj nowi sąsiedzi mi się podobają.



10.

Parzę sobie kawę i siadam z nią przy stole w kuchni. Nika podchodzi do mnie i wskakuje mi na kolana. Czekam, aż kotka wygodnie się ułoży, a potem głaszcząc ją, sprawdzam, jak dojechać na Ilford. Nigdy nie byłam w tamtej okolicy. Festyn rozpoczyna się o czternastej, mam więc sporo czasu, aby dotrzeć na miejsce. Zerkam na aplikację z prognozą pogody w telefonie, bo za oknem jak na razie jest ponuro. Gruby płaszcz szarych chmur jest nisko zawieszony na niebie i pewnie wkrótce zacznie padać. Faktycznie do jedenastej można spodziewać się deszczu, ale popołudnie ma być całkiem ładne. Powinno nawet wyjść słońce.

Nie szukam sobie na siłę niczego do roboty, w końcu jest niedziela. Dzwoni tata, chwilę rozmawiamy. Kiedy kończymy połączenie, zastygam z telefonem w dłoni. Chcę wybrać numer Agaty, ale jestem jak sparaliżowana. Zamiast nacisnąć zieloną słuchawkę, zaczynam się zastanawiać, co mogłabym jej powiedzieć, gdybym jednak zdobyła się na odwagę. Powinnam zagadnąć ją o prozaiczne sprawy, co u niej i tym podobne, czy raczej od razu przejść do rzeczy? Powiedzieć, że mi jej zwyczajnie brakuje, że chciałabym, aby wróciła do mojego życia?

Wypuszczam ciężko powietrze z płuc, bo nie mam najmniejszej pewności, że Agata odebrałaby ode mnie telefon. Nie towarzyszy mi jakaś

wielka nadzieja, to raczej mała iskra, która choć wciąż się tli, jest zbyt wątła, aby popchnąć mnie do realnego działania.

Odkładam komórkę, czuję się potwornie słaba, niemal jak wtedy, kiedy siostra obwiniła mnie o wszystko, co się wówczas wydarzyło. Wiele razy usiłowałam ją zrozumieć, tłumaczyłam sobie, że w swoim rozżaleniu po prostu szuka winnego. Ale później nic się nie zmieniło, wciąż żywiła do mnie olbrzymią urazę, a w końcu zupełnie przestała ze mną rozmawiać. Po pewnym czasie nie miałam już siły próbować, mnie też przecież było ciężko. Tak samo jak jej.

Jestem na Ilford punkt czternasta. Zza chmur wychodzi słońce. Po ponurym poranku spędzonym na rozmyślaniu o siostrze jest bardzo przyjemnym akcentem. Wystawiam ku niemu twarz, chcąc złapać kilka jego bladych promieni. Czekam przy stacji na Leo. Spóźnia się jak zwykle, jednak dziś zaledwie dziesięć minut.

– Nigdy tu nie byłem – mówi, gdy wreszcie staje obok mnie.

– Ja też nie – odpowiadam, rozglądając się na boki.

Okolica nie należy do najładniejszych w mieście, choć dominują tu domy w typowo wiktoriańskim stylu. Zawsze podobała mi się ich strzelista fasada i liczne wykusze. Gdyby tutejsi mieszkańcy nieco bardziej zadbali o swoje posesje, teren byłby o niebo przyjaźniejszy, a tak to wyziera z niego przygnębienie.

Docieramy do niewielkiego deptaka, na którym zorganizowano kiermasz. Stragany rozłożono mniej więcej w połowie jego długości, kręci się przy nich sporo ludzi, ale wydaje się, że większość z nich to przypadkowi przechodnie. Podejrzewam, że o szesnastej, kiedy mają zostać wystawione jasełka, zjawi się więcej osób zainteresowanych festynem.

Przyglądam się temu, co leży na straganach. Dominują: jedzenie, wyroby mięsne, pieczywo, a także pierogi z przeróżnym nadzieniem. Oprócz produktów spożywczych zauważam też koszulki z polską flagą, maskotki, a nawet książki.

Moją uwagę przyciąga stoisko ze słodkościami, ruszam w jego stronę. Leo podąża za mną z aparatem w ręku. Przypomina mi gotowego do

oddania strzału myśliwego. Kiedy tylko jego bystre oko wyłapie kadr wart uwagi, uchwyci go.

Przyglądam się pięknie lukrowanym piernikom. Wyglądają niczym haftowane. I wydaje mi się, że są... kruche. Może to jest to?! Może powinnam postawić na kupne, zamiast z marnym rezultatem męczyć się w kuchni? W pierwszym odruchu jestem przekonana, że znalazłam idealne rozwiązanie, ale szybko dochodzę do wniosku, że przecież w gruncie rzeczy nie o to mi chodzi. Nie potrzebuję pięknie udekorowanych ciastek, ale atmosfery, która towarzyszy ich przygotowywaniu. Aromatycznego zapachu, wysiłku i rodzinnego ciepła.

– Cześć! – słyszę nagle za sobą.

Natychmiast się odwracam, bo rozpoznaję głos Kubby.

– Cześć! – witam się z sąsiadem. Od razu rejestruję to, że dziś znów ma lekki zarost i że jest... sam. Gdyby miał dziewczynę, najpewniej byłaby tu teraz z nim. Tak przynajmniej mi się wydaje.

– Fajnie, że jesteś – mówi, a wyraz jego oczu wyraźnie to potwierdza. Cieszy się z mojej obecności. Chciałabym wiedzieć dlaczego. Bo zamierzam zrobić jego siostrze darmową reklamę czy też dlatego, że możemy spędzić kilka chwil w swoim towarzystwie? – Kupujesz pierniki?

– pyta, wskakując na stragan.

– Nie, wciąż walczę o swoje własne...

– Mam nadzieję, że pamiętasz o obietnicy...?

Rozpromieniam się, bo skoro upomina się o ciasteczka, to musi coś znaczyć. Na łasucha mi nie wygląda, jest szczupłej budowy i choć wiem, że postura może mylić, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że dopomina się łakoci z zupełnie innego względu.

– Jasne, że pamiętam – zapewniam, a potem nie chcąc się dłużej na niego gapić, przenoszę wzrok na ciastka, które chwilę temu podziwiałam. – Ale te są naprawdę, i wcale nie przesadzam, fenomenalne – rzucam.

– Jak dzieła sztuki.

– Nie da się ukryć – kwituję.

Pierniki są tak urocze, że znów zaczyna mnie kusić, aby mimo wszystko spróbować pójść na skróty. Wzdycham bezgłośnie, bo to naprawdę beznadziejny pomysł, chyba nawet gorszy niż kartki do sąsiadów, które wczoraj wypisałam. Wyrzucając z głowy i jedno, i drugie, przedstawiam Kubę przyjacielowi. Chłopcy wymieniają uściski dłoni.

– Leo już zrobił kilka zdjęć tym cudnym straganom – oznajmiam, a fotograf przytakuje. – Uchwyci też występ dzieciaków, o ile mamy pozwolenie na publikację zdjęć z tego pokazu...?

– Tak, tak, Marcela i rodzice dzieciaków o wszystkim wiedzą – zapewnia Kuba. – Siostra zadbała o to, by podpisali stosowne oświadczenia.

– Super – komentuję, a potem dodaję: – I oczywiście zrobimy też parę fotek tobie, będą potrzebne do wywiadu.

– Dobrze – zgadza się.

– Może teraz? – proponuję, dochodząc do wniosku, że w tej chwili nie mamy nic konkretnego do roboty. – Na razie niewiele się tutaj dzieje – zauważam.

Kuba przystaje na moją propozycję, a Leo zaczyna szukać dobrego tła. Znajduje murowaną ścianę, która świetnie się sprawdza. Prosi Kubę o kilka póż, szybko udaje mu się uchwycić zadowalające kadry. Model jest fotogeniczny.

Przechodzimy do niewielkiego parku nieopodal i tam też cykamy kilka fotek, przecież bohater artykułu tworzy muzykę z dźwięków przyrody!

– Słyszysz? – Kuba podchodzi do pobliskiego drzewa. Pomimo początku grudnia wciąż jest na nim trochę pociemniałych liści. Listopad nie był zbyt srogi w tym roku, można pomyśleć, że pogoda odbija sobie to właśnie teraz.

Zbliżam się do drzewa, przy którym przystanął muzyk. Początkowo wydaje mi się, że słyszę tylko miasto – warkot silników, klaksony, śmiechy i strzępy ludzkich rozmów, ale kiedy nastawiam uważniej uszu, wyłapuję pojękiwanie kołyszących się na wietrze konarów. Towarzyszy mu szelest pozostałych na gałęziach liści.

– Zamknij oczy i wsłuchaj się – podpowiada mi.

Podążam za jego radą. Przymykam powieki i dokładam starań, aby skupić się na tym, co nieoczywiste. Odgłosy stopniowo przybierają na sile, w końcu staję się głucha na typowe dźwięki ulicy, a wyczulona na to, co może podarować mi to drzewo. Skrzypienie grubych gałęzi wydaje mi się teraz bardzo wyraźne. Słyszę jeszcze jakieś skrobanie. Próbuję określić, czym ono jest, ale nie potrafię. Nadal tego nieświadoma, uzmysławiam sobie za to coś innego – że na całe mnóstwo przeróżnych dźwięków nigdy wcześniej nie zwróciłam uwagi. Polegam na tych najgłośniejszych, a one nachalnie zakłócają pozostałe. W takim świecie żyjemy, bo taki świat sami stworzyliśmy. Koncentrujemy się na tym, co krzykliwe, zapominając, że czasem największe piękno tkwi w prostocie.

– I z tego tworzysz muzykę? – Otwieram oczy.

Moje spojrzenie krzyżuje się ze spojrzeniem Kuby i przechodzi mnie dreszcz. Jego jasne tęczołki ograbiają mnie z samokontroli, zaczynam się zastanawiać, jak by to było skosztować jego ust.

– Miejski park nie jest wymarzonym miejscem do zbierania dźwięków – mówi, skupiając wzrok z powrotem na drzewie. Przejeżdża przy tym dłonią po jego chropowatej korze. Po delikatności, z jaką to robi, poznaję, że lubi przyrodę. Jestem pewna, że kiedy zbiera z niej potrzebne mu dźwięki, działa rozważnie i z szacunkiem, na pewno jej przy tym nie niszczy. Nim się orientuję, myślę o tym, jak smakuje dotyk jego palców... – Ale wystarczy pójść do lasu albo na farmę – ciągnie – i ta różnorodność jest niesamowita. Góry są na przykład wdzięcznym polem działania. Byłaś kiedyś w górach, prawda?

Kiwam głową, przywołując się do porządku. Na nowo koncentruję się na tym, o czym rozmawiamy. Kiedy opowiada o stokach, przypominam sobie chrzęst osuwających się na górskim szlaku kamyczków, a zaraz potem pamięć podsuwa mi szum morskich fal, plusk wody w jeziorze i szereg innych dźwięków, które potrafi wyłapać ludzkie ucho.

– Jestem ciekawa, jak brzmi taki utwór – oznajmiam zgodnie z prawdą, wciąż nie mogąc wyobrazić sobie, jak te naturalne odgłosy można połączyć w spójną melodyjną całość.

– Zaraz posłuchacie. – Kuba potrząsa komórką. – Puszczę wam kilka kawałków, może podczas wywiadu?

– Dlaczego nie przeprowadzić go teraz? – proponuję.

Kuba sprawdza godzinę, a potem się zgadza.

– Usiądźmy, może w tej kawiarni? – Leo wskakuje na budynek za nami.

– Dobry pomysł – zgadzam się i ruszamy w tamtą stronę.

Zajmujemy stolik przy oknie, Leo przynosi kawę, a ja zaczynam zasypywać Kubę pytaniami. Sąsiad opowiada mi o tym, że kochał muzykę od najmłodszych lat i że już jako dziecko zaczął uczęszczać do szkoły muzycznej. Jego rodziców nie bardzo było na to stać, ale widzieli, że muzyka jest dla niego ważna i jakoś udało im się zapewnić synowi stosowne wykształcenie. Kiedy zmarł ojciec, w rodzinie zrobiło się jeszcze biedniej i Kuba podjął decyzję o emigracji zarobkowej. Wydawało się, że wyjazd za granicę definitywnie zamknie mu drogę do marzeń, ale stało się zupełnie odwrotnie. Los przypomniał sobie o utalentowanym chłopaku i podarował mu prezent w formie pracy w wytwórni płytowej. A tam spotkał ludzi, którzy w niego uwierzyli. Życie naprawdę potrafi czasem być łaskawe, ale to „czasem” czyni je najbardziej niesprawiedliwym zarządcą.

Kuba opowiada też o tym, jak zbiera dźwięki. Okazuje się, że wcale nie musi dużo podróżować. Wszystko, co jest mu potrzebne, ma tak naprawdę na wyciągnięcie ręki. Wystarczy tylko chcieć wsłuchać się w otaczający nas świat.

Kiedy mówi, usiłuję nie przyglądać się mu zbyt nachalnie, ale to trudne. Mam wrażenie, że z każdym jego słowem samokontrola idzie mi coraz gorzej.

Wreszcie Kuba puszcza kilka utworów. Nie mogę wyjść z podziwu, bo brzmią jak... muzyka, której słuchamy na co dzień. Może bardziej jak alternatywna niż popularny dance czy rock, ale są to z pewnością pełnowartościowe utwory.

– *Cool* – komentuje Leo, kiedy melodia cichnie. – *Seriously*, bardzo dobrze się tego słucha.

– Zgadzam się. – Kiwam głową z aprobatą. – Wpada w ucho i wydaje mi się, że ma w sobie to coś, co sprawia, że chcesz tego słuchać w kółko.

– Fajnie, że wam się podoba – kwituje Kuba. Trudno oprzeć się wrażeniu, że z zakłopotaniem.

– Kiedy wyjdzie twój singiel? – dopytuję.

– W przyszłym roku.

– Mam nadzieję, że okaże się hitem.

– Wszyscy jesteśmy bardzo ciekawi, jak zostanie przyjęty przez środowisko muzyczne.

– A planujesz dodać wokal? – wtrąca Leo.

– Tak, w dalszej perspektywie jak najbardziej. – Kuba się uśmiecha. I znów w jego uśmiechu odnajduję skromność, którą zauroczył mnie ostatnio.

– To może chwycić – stwierdza przyjaciel.

– Dobra, fajnie się gada, ale zaraz przedstawienie dzieciaków – oznajmia muzyk.

Zerkam na telefon, faktycznie, jest już za piętnaście czwarta. Rozgadaliśmy się, a czas minął nam – mi na pewno – niewiarygodnie szybko. Powiedziałabym nawet, że za szybko, chciałabym jeszcze podpytać Kubę o parę rzeczy i... Chyba po prostu poznać go bliżej.

– Siostra mi łeb ukręci, jeśli mnie na nim nie będzie – mówi z rozbawieniem sąsiad.

– No to idziemy, idziemy. – Podnoszę się z miejsca. – Z nią też chcę porozmawiać, a Leo musi zrobić jeszcze kilka zdjęć.

– To już pewnie po występie.

Kiedy wracamy na deptak, Kuba się od nas oddala, szuka siostry. Nie chcę mu się narzucać, więc nie idę za nim. Kluczymy z Leo między kramami, haftowane lukrem pierniki znów kuszą mnie swoim wdziękiem. Może i w końcu bym mu uległa, ale nagle przy jednym ze straganów zauważam... Pawła. Jestem zaskoczona, przecież powiedział mi wyraźnie, że nie wybiera się na festyn.

– Cześć! – mówię, podchodząc do niego. – A jednak jesteś.

– O, hej, Zuza – wita mnie z uśmiechem. – No, jestem, jestem. Kiedy Marcela się dowiedziała, że nie zamierzam przyjść, zadzwoniła osobiście ze specjalnym zaproszeniem. – Śmieje się w głos. – No i nie miałem innego wyjścia jak tutaj przyjść.

Zastanawiam się, czy faktycznie tak było, czy może jednak zjawił się tutaj ze względu na... mnie? Czy to jest w ogóle możliwe? Czy nie za bardzo sobie schlebiam? Wciąż o tym myślę, kiedy przedstawiam Pawłowi Leo i razem idziemy obejrzeć przygotowane przez dzieciaki jasełka.

Przedstawienie okazuje się bardzo nowoczesną wersją tego, z czym powszechnie się ono kojarzy. Marcela odwaliła kawał dobrej roboty, zwracając uwagę na czułość i empatię, których tak bardzo brakuje we współczesnym świecie. Występ kończy się owacjami na stojąco. Tuż po przedstawieniu rozmawiam z siostrą Kuby, a Leo zgodnie z planem robi kilka zdjęć.

– Postaram się, aby artykuł o festynie pojawił się już w najbliższym numerze – oznajmiam. – Na stronę wskoczy na pewno w przyszłym tygodniu. Mam nadzieję, że dzięki temu zwiększy się zainteresowanie całym wydarzeniem.

– Z pewnością! Dziękuję! – cieszy się dziewczyna. Uśmiecha się podobnie jak Kuba, mają niemal identyczne rysy twarzy, jedynie oczy Marceli są o kilka tonów ciemniejsze.

Kiedy nie mamy z Leo już nic więcej do zrobienia, bo wszystko, na czym nam zależało, zostało solidnie udokumentowane, zbieramy się do domu. Rozglądam się za chłopakami, za Kubą albo Pawłem, ale żadnego z nich nie widzę. Nie znajduję sensownego pretekstu, aby dłużej kręcić się po okolicy, tym bardziej że temperatura znów dziś nie rozpieszcza i jest mi zwyczajnie zimno. Po Leo widzę, że też przemarzał. Przyjaciel przestępuje z nogi na nogę, jakby nie mógł się doczekać, kiedy wróci do domu. Nie mam serca dłużej go męczyć.

– Czyli to są ci twoi nowi sąsiedzi? – zagaduje, kiedy idziemy na stację.

Otulam się ciasno ramionami, aby zniwelować lodowate podmuchy wiatru, które z łatwością pokonują barierę w postaci mojej kurtki.

Liczyłam, że sprawdzi się ona lepiej niż płaszczyk, który nosiłam w zeszłym tygodniu, ale nic z tego.

– Tak, Paweł i Kuba, to oni – odpowiadam, psiocząc w duchu na aurę. Zupełnie jakby zimno w grudniu było jakąś anomalią pogodową. To już przecież meteorologiczna zima, nie powinnam więc narzekać. Trudno jednak tego nie robić, kiedy ma się skostniałe palce u stóp.

– Na którego bardziej lecis, *baby*?

– Na żadnego! – zaprzeczam, zanim w ogóle zdążę się zastanowić, dlaczego to robię.

Czuję przy tym, że policzki mi pąsowieją. Leo dobrze mnie zna, ale miałam nadzieję, że nie zorientuje się w sytuacji. Przynajmniej nie tak szybko. Zresztą starałam się zachowywać jak najbardziej neutralnie, bo przecież nie mogę powiedzieć, że coś jest na rzeczy.

– To dobrze, bo... – podejmuje przyjaciel i zaraz milknie.

Zerkam na niego kątem oka.

– Wiesz, że to geje, no nie? – rzuca, kiedy wyłapuje moje spojrzenie.

Z wrażenia potykam się na chodniku.

– Co ty bredzisz? – pryham, z największym trudem łapiąc równowagę.

– Mówię ci.

– Skąd możesz to wiedzieć? – obruszam się, a policzki palą mnie jeszcze większym gorącem niż chwilę temu. Zapominam też o dokuczającym mi chłódzie.

– Czuję to. – Puszczą do mnie oko.

– Gadanie!

– Uwierz mi, czuję to przez skórę – upiera się, a ja pryham kpiąco pod nosem, bo brzmi to co najmniej niedorzecznie. Jednak zaraz zaczynam się zastanawiać, czy coś takiego byłoby rzeczywiście możliwe. W końcu Leo sam jest homoseksualistą. – Wyczuwam swoich węchem – dodaje przyjaciel ze śmiechem, jakby czytał mi w myślach.

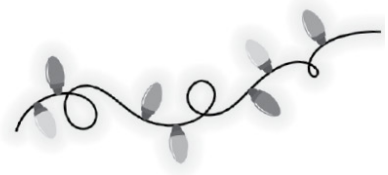
– Bzdury – pryham ponownie, dobrze znając poczucie humoru kumpla. Ale też w żadnej mierze nie przyjmując do wiadomości, że faktycznie sprawa z moimi sąsiadami mogłaby tak wyglądać.

– Mieszkają razem, prawda? – Leo się nie poddaje. – Powiąż, *darling*, fakty.

– I co z tego, że mieszkają razem? – oponuję. – Kto teraz mieszka sam? Przy cenach mieszkań zarówno najmu, jak i kupna? Ja też mieszkam z Martą, a ty z Darylem.

– Mnie oni wyglądają na parę. – Przyjaciel nie zmienia zdania. – Podpowiada mi to moja gejowska intuicja.

Tym razem wybucham szczerym śmiechem. Leo i ta jego intuicja. Kilka razy go już zawiodła i było z tego powodu spore rozbawienie. Chichoczę jeszcze przez chwilę, a potem biorę kumpla pod rękę i zaciągam do pobliskiej kawiarni. Myślę, że oboje potrzebujemy gorącej czekolady. Mam nadzieję, że intuicja zawodzi Leo i tym razem.



11.

Zdjęcia z wczorajszego festynu wyszły naprawdę rewelacyjnie. Jestem z nich bardzo zadowolona. Rano napisałam artykuł, zaraz wybiorę do niego odpowiednie fotki, ma wlecieć na portal internetowy już jutro. Cieszę się, bo naczelna zgodziła się puścić materiał także w najbliższym papierowym wydaniu czasopisma. Choć czuwa nad nią drugi zespół redakcyjny, Oliwia zgodziła się, abym to ja przygotowała tekst w całości, w końcu to „mój” temat. Mam nadzieję, że materiał zachęci Polaków mieszkających na wschodzie Londynu – i nie tylko! – do zainteresowania się świątecznym eventem na Ilford.

Artykuł o Kubie także spotkał się z aprobatą mojej przełożonej i też finalnie trafi do papierowego wydania. Podobnie jak w przypadku festynu pozwolono mi zająć się przygotowaniem tekstu do publikacji. To właśnie nad nim teraz pracuję. A właściwie próbuję, bo w rzeczywistości gapię się na fotki sąsiada, rozkładając na czynniki pierwsze to, co wczoraj powiedział mi Leo. Przypuszczenia przyjaciela są niczym nieoparte, ale jednak jego słowa skutecznie namieszały mi w głowie.

Nadal przyglądam się zdjęciom Kuby, a praca stoi w miejscu. Paweł bez dwóch zdań jest atrakcyjniejszy fizycznie, ale te jasne oczy Kuby, niepasujące do jego ciemnych włosów, zdają się mnie zniewalać. Na fotkach jak zwykle ma kilkudniowy zarost, który sprawia, że wygląda na

nieco starszego, niż jest w rzeczywistości. I w pewien sposób mi to pasuje. Złudne przekonanie, że wiek koresponduje z dojrzałością, zakorzeniło się we mnie mocno po nieudanym związku z Andrejem, który był ode mnie prawie dwa lata młodszy. Kolokwialnie mówiąc – sparzyłam się.

Paweł jest też śmielszy od Kuby, a do tego wydaje się mocniej stąpać po ziemi, jednak to wrażliwość tego pierwszego jest czymś, na co zwróciłam uwagę. Składa się na nią mnóstwo drobnych elementów, jego sposób mówienia, naturalna skromność, dobre relacje z siostrą, podążanie za swoimi marzeniami... Choć krótko go znam, mogłabym tak wymieniać bez końca.

– Weź się, Zuza, do roboty – mamroczę pod nosem.

Zmuszam się, aby zamknąć plik ze zdjęciami i przestać myśleć o niebieskich migdałach. Obowiązki czekają, najwyższy czas zabrać się do czegoś konstruktywnego. Zaczynam pisać artykuł. Musi być gotowy dziś, jeśli ma trafić do najbliższego papierowego wydania Londyn PL. A przecież tego właśnie chcę. No i obiecałam to Kubie.

Nie pracuje mi się lekko. Coraz trudniej jest mi sobie wmawiać, że sprawa sąsiada to tylko ciekawy temat prasowy. Ciągłe się rozpraszam i wybiegam myślami poza tekst materiału, przez co tylko utwierdzam się w przekonaniu, że ten facet naprawdę mi się podoba. Ta świadomość przyprawia mnie o dreszcze, których dawno nie czułam. Jeszcze chwilę się wzbraniam przed tymi myślami, w końcu puszczam wodze fantazji. Czy to oznacza, że wreszcie jestem gotowa na związek? Że chcę otworzyć się na kogoś nowego, wpuścić go do swojego życia? Chcę. A może nawet tego potrzebuję. Ludzie nie są stworzeni do samotności, łakną bliskości i więzów, to esencja naszego człowieczeństwa.

Przypominają mi się wczorajsze dywagacje Leo i mimowolnie się krzywię. Przecież nikt nie ma wypisanej na twarzy orientacji seksualnej, nie da się też po wyglądzie czy sposobie zachowania tego określić. W dodatku przyjaciel widział moich sąsiadów zaledwie chwilę, przecież tak naprawdę wcale ich nie zna. A mimo to porządnie namącił mi w głowie.

Nie mogę zapomnieć, że dziś odpowiadam za dział wydarzenia. Muszę przejrzeć zapowiedzi zbliżających się eventów i wybrać te, o których warto wspomnieć czytelnikom. Również tych – a może nawet przede wszystkim – polskojęzycznych. W styczniu ma się odbyć w Londynie koncert Agnieszki Chylińskiej, a w lutym Lady Pank zagra w Manchesterze. Polonia w Anglii uwielbia występy polskich muzyków i pominięcie tego typu informacji byłoby niewybaczalne. Nowy singiel Darii Zawiałow, który ma się ukazać tuż po Nowym Roku, także zasługuje na uwagę, podobnie jak produkcje kinowe, które będzie można obejrzeć w Londynie na wielkim ekranie. A, i jeszcze propozycje kabaretowe! Zawsze dbam też o przegląd zapowiedzi książkowych, pora przedstawić listę na styczeń.

Wracam do domu już po zmroku. Mieszkań przystrojonych świątecznymi lampkami nie przybyło. Ale wszystko wskazuje na to, że lada chwila się to zmieni. Paweł właśnie oplata balustradę sznurem światełek.

- Jak cudownie – komentuję, wchodząc na balkonik.
- Podoba ci się? – Sąsiad unosi na mnie wzrok i szeroko się uśmiecha.
- Tak! I to bardzo!
- Fajnie. – Wraca do przerwanej zajęcia.

Przyglądam mu się i po chwili prychem w duchu, jeszcze bardziej wkurzona na Leo. Przecież Paweł ewidentnie chce mi się przypodobać. Nie może być gejem.

- Mam nadzieję, że reszta sąsiadów też zepnie tyłki – mówię.
- Trzymam kciuki, żeby tak było, skoro tak bardzo ci na tym zależy. – Paweł się wyprostowuje. – Skończone! Czeka, włączę i zobaczymy, jak to wygląda.

- Okej! – Cieszę się jego entuzjazmem.

Kiedy sąsiad otwiera czerwone drzwi, dolatują mnie dość wysokie dźwięki jakiejś piosenki. Aż dziwne, że ich nie słyszałam, kiedy drzwi były zamknięte. Nie brzmią one jednak jak którykolwiek z popularnych obecnie utworów, trudno mi też określić gatunek. Nie jestem znawcą, ale wydaje mi się, że najbliższej im do muzyki funky.

Paweł znika w mieszkaniu, a mi przychodzi do głowy, że może to, co słyszę, to utwór skomponowany przez niego samego. Wsłuchuję się uważniej w melodię, sprawia wrażenie rytmicznej, ale chyba mi się nie podoba. Jest zbyt agresywna. Po chwili odcinek balustrady, który sąsiad obwiesił lampkami, zaczyna kolorowo migotać.

– I jak? – Chłopak wraca na zewnątrz.

– Bosko! – Aż klaszczę w dłonie z zachwytem.

Paweł uśmiecha się do mnie z zadowoleniem. Ponownie mu się przyglądam i znów psioczę w myślach na Leo. Może któryś z chłopaków zwyczajnie wpadł mu w oko i stąd to jego niedorzeczne gadanie? Nie zdziwiłabym się, przyjaciel należy do kochliwych osób. Trudno mi policzyć, ile razy leczył już złamane serce. Pod tym względem bardzo się różnimy. Kiedy zawiódł mnie Andrej, nie byłam w stanie sobie wyobrazić, że znowu mogę komuś zaufać.

– Faktycznie fajnie by było, gdyby cała ta balustrada została oświetlona – stwierdza Paweł.

Nie odrywam wzroku od sąsiada, on też na mnie spogląda. Po raz kolejny uderza mnie uroda mężczyzny. Przychodzi mi przy tym na myśl, że z tymi idealnymi rysami mógłby zostać gwiazdorem telewizyjnym, może nawet modelem, ale... nie kimś, komu oddałabym swoje serce.

– Doceniam, że wasza część jest przystrojona – mówię, wymijając sąsiada i kierując się pod swoje drzwi. – To bardzo miłe z waszej strony. – Uśmiecham się, przekręcając klucz w zamku. – Dobrego wieczoru!

– Tobie też, Zuza – odpowiada, wciąż na mnie spoglądając.

Po chwili jestem już w swoim mieszkaniu. Nie mogę otrząsnąć się z wrażenia, że Paweł chciał zaprosić mnie do siebie. Albo wprosić się do mnie. Cieszę się, że ostatecznie nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Jednocześnie uderza mnie fakt, że to właściwie on wykazuje większe zainteresowanie moją osobą. Nabieram pewności, że wolałabym, aby płynęło ono ze strony jego współlokatora.

Wzdycham bezgłośnie, bo wiem, że nikogo nie da się zmusić do miłości, a póki co Kuba tak naprawdę nie wysłał mi żadnych zdecydowanych

sygnałów. Owszem, dobrze nam się rozmawiało i na balkoniku, i podczas wywiadu, pomógł mi z ciężką paczką, kilka razy wydawało mi się, że przeciągle mi się przygląda, dłużej zatrzymuje wzrok na moich ustach, często się do mnie uśmiecha... Ale co to w rzeczywistości znaczy?

Wzdycham ponownie i wtedy zauważam na podłodze białą kartkę zgiętą na cztery. Schylam się po nią, marszcząc czoło. Podnoszę i rozkładam papier, aby sprawdzić, czym ona tak właściwie jest. Moim oczom ukazuje się napis: „Lecz się, pieprznięta szajbusko”. Uderza mnie fala potwornego gorąca, w jednej chwili robi mi się duszno. Poluzowuję szalik oplatający moją szyję, nieustannie zerkając na kartkę. Ten, kto nabazgrolił napis, nie miał odwagi się podpisać ani imieniem, ani numerem mieszkania.

Przechodzę do kuchni, mnąc kartkę w dłoni. Czuję nie tylko złość, ale i rozgoryczenie. Mój pomysł nie musiał wszystkim przypaść do gustu, ale to nie daje nikomu prawa do obrzucania mnie obelgami. Zwłaszcza anonimowo, ale wiadomo, tak jest najprościej.

Wyrzucam wiadomość do kosza z głośnym westchnieniem, wtedy też moja frustracja opada. Chyba rzeczywiście byłam zbyt naiwna, licząc, że mój pomysł spotka się z entuzjazmem całej wspólnoty. Wiem przecież, że są ludzie, którzy z przeróżnych względów nie lubią świąt albo nawet ich nie obchodzą. Sama przez ostatnie lata niespecjalnie cieszyłam się na bożonarodzeniowy czas. Powinna wykazać się większą wyrozumiałością i szacunkiem, nawet jeśli nie wszyscy na ten szacunek zasługują.

Rozbieram się wreszcie i przechodzę do salonu. Nika od razu zjawia się przy mnie. Opadam na kanapę, a kotka wskakuje mi na kolana. Zaczyna mruścić, kiedy tylko moja dłoń ląduje na jej małym łebku.

– No i widzisz, nasz blok nie będzie w te święta najładniejszy na osiedlu – mówię do pupila i wtedy przychodzi mi do głowy pomysł jeszcze bardziej absurdalny niż kartki z prośbą o przystrojenie mieszkań. Mimo to liczę w myślach, ile opakowań lampek musiałabym kupić, aby obwiesić nimi nieoświetlone części balustrady. Wcale nie tak dużo, mogłabym się na to porwać chociażby po to, aby ten, kto nazwał mnie „pieprzniętą szajbuską”, faktycznie miał podstawy tak o mnie mówić.

Nim zdążę się namyślić, czy to, co przyszło mi do głowy, jest choć trochę rozsądne, rozdzwania się moja komórka. Nie znam numeru, z którego przychodzi połączenie, odbieram więc, nie mając pojęcia, z czym tym razem będę mieć do czynienia.

– Dzień dobry! Czy rozmawiam z panią Zużą? – pyta męski głos, w bardzo zabawny sposób wypowiadając moje imię.

– Tak, przy telefonie.

– Sklep Homebase – słyszę dalej. – Zamówiła pani u nas choinkę. Dostawę przewidziano na jutro, ale jestem w okolicy... Jest pani może w domu?

– Tak, jestem! Proszę przywieźć drzewko dziś.

– Świetnie. Będę za dziesięć minut.

– Doskonale! – Rozłączam się, ponieważ się refleksyjnie, że nie zapytałam, jak tym razem będzie z dostawą.

Przygryzam dolną wargę, próbując oszacować, czy poradzę sobie z udźwignięciem zamówionego przez siebie drzewka, jeśli kurier znów zostawi mi przesyłkę przed schodami. I co zrobię, jeśli zadanie mnie przerośnie. Oczywiście odpowiedź przychodzi niemal natychmiast – zwrócę się do sąsiadów. Nie da się ukryć, że to dobry pretekst, by zobaczyć się z Kubą, ale i ryzyko, że z pomocą przyjdzie mi Paweł.

Kiedy rozlega się pukanie do drzwi i idę je otworzyć, wszystkie moje wątpliwości znikają. W progu stoi mężczyzna z drzewkiem i wesoło się uśmiecha.

– Gdzie pani to postawić? – pyta.

Kobieta jest jednak skomplikowaną istotą. Czuję się zawiedziona, że kurier tym razem wykazał się dobrą wolą (albo ubezpieczenie Homebase pokrywa wnoszenie przesyłek po schodach) i przez to pozbawił mnie szansy zwrócenia się o pomoc do sąsiadów.

Dostawca wychodzi, a ja wracam do salonu. Koło drzewka kręci się już Nika i obwąchuje je z zaciekawieniem. Żywiczy zapach wypełnia pomieszczenie, czuję go bardzo wyraźnie. Właśnie ze względu na ten aromat zdecydowałam się na żywe drzewko. W Boże Narodzenie zawsze

takie stało w domu rodzinnym. Rodzice nie uznawali sztucznych choinek. Świadomie lub nie zaszczepili we mnie tę tradycję.

Jest tylko jeden problem.... Choinka jest ogromna. Zajmuje zdecydowanie za dużo miejsca, a jej czubek dotyka samego sufitu. Właściwie to się odrobinę na nim zagina. W sklepie drzewko wyglądało na mniejsze.

Przyglądam się choince z kwaśną miną, pięknie pachnie, ale przytłacza pokój swoimi rozmiarami. Wygląda jak monstrum, które nie wiadomo, skąd się tu wzięło. Może gdybym przycięła czubek, byłoby lepiej? A co z rozłożystymi gałęziami zajmującymi połowę pokoju?

Za moment słyszę trzask drzwi wejściowych, pewnie Marta wróciła z pracy. Chwilę później koleżanka zjawia się w salonie.

– Matko, większych nie mieli? – pyta, przystając obok mnie.

– Chyba źle oceniłam metraż naszego salonu. – Krzywię się jeszcze bardziej. – Ja pierdzielę – dodaję, przykładając dłoń do czoła. Zaczynam je natarczywie rozmasowywać.

Marta podchodzi do fotela, który stoi w rogu, i go przesuwa.

– Tu ją postawmy – zarządza.

– A co z fotelem? Teraz nie ma nawet jak się obrócić w tym salonie!

– Fotel pójdzie do mnie.

Spoglądam na koleżankę z dezaprobatą. Przecież nasze pokoje nie są za duże, a Marty dodatkowo zawalony jest książkami. Przygryzam zębami wnętrze policzka. Nie za bardzo uśmiecha mi się wstawić fotel do swojego pokoju, bo chciałam w nim ulokować tatę z Alice. Jeśli wstawię tam dodatkowy mebel, zmieni się on w klitkę, w której dwóm osobom będzie ciężko się choćby wyminąć. Może jednak zakwaterowanie ojca w hotelu wcale nie jest takim złym pomysłem, jak mi się wydawało. Tata od początku to proponował, Alice również nalegała. Słyszałam, że w Anglii to zupełnie normalne, że bliscy nocują w hotelu zamiast zwałać się rodzinie na głowę. Ale uparłam się, żeby zatrzymali się u mnie.

– Zmieści się – mówi Marta. – Położę na nim książki, te spod ściany.

Nic nie mówię, bo czuję, że to za dużo ze strony mojej współlokatorki.

– Tylko na czas świąt – dodaje, jakby wychwytyjąc moje wahanie. – Zniknie choinka, fotel wróci do salonu. A wiesz przecież, że mnie i tak często nie ma.

Nadal jestem nieprzekonana.

– W święta też mnie nie będzie – dorzuca.

– Dziękuję ci. – Wzdycham w końcu. – Jak ja ci się odwdzięczę?

– Gotujesz coś na święta?

– Wiesz, że kiepska ze mnie kucharka, ale tak, zamierzam coś ugotować.

– A zdecydowałaś się już na coś konkretnego?

– Właściwie tak. Przygotuję indyka na świąteczny obiad... z myślą o Alice. Podobno Anglicy zawsze jedzą indyka w Boże Narodzenie. Pomyślałam, że skoro będziemy obchodzić święta według polskiej tradycji, wigilia i te sprawy, to warto wdrożyć jakiś angielski akcent.

– Z pewnością to doceni – komentuje Marta. – A ja docenię, jak zostawisz mi go trochę w lodówce.

– Masz to jak w banku! – oświadczam. – Tylko nie daję gwarancji, jak będzie smakował.

– Jeśli nie spalisz go na węgiel...

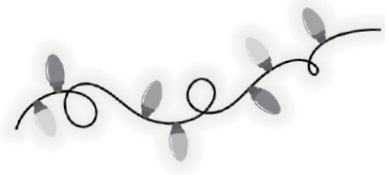
Szturcham koleżankę w bok, zanim kończy zdanie. Obie wybuchamy głośnym śmiechem.

Jeszcze długo nie kładę się spać. W przypiływie nagłego impulsu postanawiam ubrać choinkę. Przynoszę wszystkie zakupione ozdoby i biorę się do pracy. Kiedy jest gotowa, pękam z dumy, choć drzewko nie jest idealne i na trafienie do katalogu reklamowego nie miałyby żadnych szans. Wydaje się też nieco przechylone w prawo, wszystko przez ten zagięty na suficie czubek. Znów myślę o tym, aby go przyciąć, ale boję się, że będzie jeszcze gorzej i choinka zacznie wyglądać po prostu komicznie. Wystarczy, że jej nierówne gałązki tworzą puste przestrzenie, których nie udało mi się zakryć ozdobami. Zresztą mam ich chyba trochę za mało.

Ale drzewko jest moje. I pięknie pachnie.

Robię zdjęcie choince i pomimo całej jej niedoskonałości chwalebę się nią na Facebooku, a później również na Instagramie. Pierwsze serduszko

przychodzi oczywiście od Andreja, tym razem zamieszcza także krótki komentarz. „So pretty”, pisze. Wpatruję się w te dwa słowa chwilę dłużej, jakiś impuls popycha mnie do tego, aby odpisać. Albo chociaż polubić zamieszczony przez niego wpis. Nigdy tego nie robię, więc i tym razem się powstrzymuję. Do rana mam dziesiątki pozytywnych reakcji na posty, co utwierdza mnie w przekonaniu, że drzewko wcale nie stanęło w moim domu za wcześnie. Ludzie już żyją świętami. Moje przygotowania prężnie posuwają się naprzód i nie ma powodu, abym się zatrzymywała. Tworzę w głowie listę rzeczy, które jeszcze czekają na zorganizowanie. Na jej końcu pojawia się telefon do Agaty. A przecież powinien być na samej górze.



12.

– Nie o to chodzi w świętach, dziecko. – Słyszę westchnienie taty w telefonie. – Liczą się ludzie, którzy nas otaczają, a nie to, co będzie na świątecznym stole.

Teraz ja wzdycham. Tata źle odbiera moje intencje.

– Nie musisz mi tego powtarzać – mówię. – Chcę po prostu, aby Alice dobrze się czuła w święta, stąd pytanie, czy jest przywiązana do angielskich tradycji i jak zazwyczaj obchodzi Boże Narodzenie. Chętnie przygotuję do jedzenia coś, co lubi, to wszystko.

– To bardzo miłe z twojej strony, córeczko – kwituje tata. – Ale ja naprawdę nie chcę, abyś się zaharowywała na nasz przyjazd. Chcę za to, abyśmy spędzili ten czas przyjemnie, po prostu przyjemnie. Tym bardziej że przez ostatnie lata niespecjalnie obchodziliśmy święta...

– Właśnie o to chodzi, tato. Dokładnie do tego zmierzam. Chcę, aby był to dla nas dobry czas.

– Zastawiając stół po brzegi, nie sprawisz, że taki będzie – upiera się.

– Oczywiście, że nie. – Nie poddam się. – Ale te wszystkie detale dookoła mają dopełnić dzieła.

– Chodzisz do pracy, masz swoje obowiązki. Wątpię, byś znalazła czas na stanie w kuchni kilka dni tylko po to, żeby przygotować tony jedzenia.

– Nie tony, tato, nie tony. – Wzdycham, znów nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że tatę w ogóle nie cieszy perspektywa spędzenia nadchodzących świąt w Londynie. Chyba nawet go to przytłacza. Może rzeczywiście planował spędzić je w Liverpoolu, może Alice wciąż suszy mu o to głowę? Dotychczas każde Boże Narodzenie spędzaliśmy wspólnie. Nawet jeśli w żaden sposób go nie celebrowaliśmy, byliśmy razem. Nie mogę więc wykluczyć, że tata zwyczajnie nie potrafi mi tego powiedzieć. Nie wiem, czy faktycznie tak jest, czy tylko niepotrzebnie szukam dziury w całym, ale wyraźnie wyczuwam to osobliwe napięcie z jego strony. I oczywiście wolałabym, żeby był ze mną szczery. Bardzo mi zależy, aby ten czas spędzić z nim, jednak nie kosztem tego, że coś zepsuje się między nim a Alice.

Pisk minutnika przypomina mi, że pora wyjąć blachę z ciasteczkami z piekarnika.

– Wracam do pieczenia – rzucam do telefonu, korzystając z furtki, jaką daje mi piskliwy czasomierz.

– Dobrze, córciu – wzdycha tata. – Udanych wypieków.

Rozłączam się i szybko dopadam do piekarnika. Nie chcę, aby pierniki znów mi się spaliły. Kładę gorącą blachę na kuchence, owiewa mnie korzenno-pomarańczowy aromat. Uśmiecham się pod nosem, bo wygląda na to, że opłacało się nie poddawać. Wszystko wskazuje, że w końcu mi się udało. Kiedy odgryzam kęs jeszcze gorącego kruchego pierniczka, mam ochotę skakać z radości. Tak, tak, tak! Są niemal idealne! No może mamie wychodziły odrobinę lepsze, ale naprawdę te moje są niczego sobie.

Zachęcona sukcesem, rozwałkowuję drugą porcję ciasta i wycinam kolejne pierniczki. Stawiam przede wszystkim na anioły, tak bardzo mi się podobają, że kusi mnie, by wykrawać jedynie ten jeden kształt. W głowie planuję, jak je ozdobię. Przed oczami mam miseczki z kolorowym lukrem, jest różowy, żółty, niebieski i biały. Agata zdołała aniołki wszystkimi barwami, dobrze jej to wychodziło. Pojawia się myśl, że teraz też mogłybyśmy piec ciasteczka razem albo przynajmniej zjeść je wspólnie w czasie świąt. Postanowienie, że spróbuję odezwać się do siostry, pali

mnie całą swoją mocą. Z jednej strony czuję, że nie ma sensu tego odwlekać, z drugiej hamuje mnie gorycz tych wszystkich razy, kiedy Agata ignorowała moje starania.

Potrząsam głową i koncentruję się na tym, jak ozdobić ciasteczka. Kiedy byliśmy dziećmi, dekorowanie pierników mama pozostawiała nam, więc nie miałam okazji zobaczyć, jak ona by sobie poradziła z tym zadaniem. Przypominają mi się śliczności z festynu na Ilford, pasują mi one do artystycznej duszy mamy. Taka dekoracja na pewno by się jej spodobała. Muszę zejść na ziemię, tak pięknie nie mam szans polukrować ciasteczek, ale postanawiam, że zrobię, co w mojej mocy, aby również wyglądały pięknie.

Kiedy kolejna blacha pierników się piecze, sporządzam listę zakupów. Sprawia mi to sporą trudność, bo zawsze dbałam o jedzenie jedynie dla siebie, a teraz będę mieć dwie dodatkowe osoby. Jest mi o tyle łatwiej, że decyduję się na kupne pierogi, nie podejmę się ich lepienia, to zdecydowanie za dużo jak na moje zdolności kulinarne. Ugotować barszcz biały z grzybami chyba potrafię. I jeszcze ryba. Nie przepadam za karpem, tata także, wątpię, aby zasmakował Alice, dlatego wybieram dorsza – według mnie bezpieczną opcję – którego podam w złocistej panierce. Może pokuszę się do tego o duszone warzywa.

Potem skupiam się na świątecznym obiedzie, bo o ile w polskiej tradycji najbardziej znamienna wydaje się kolacja wigilijna, o tyle w angielskiej cała uwaga skoncentrowana jest na uroczystym posiłku dwudziestego piątego grudnia. Pozostaję przy planach, aby ze względu na Alice połączyć oba zwyczaje. Będzie więc indyk.

Przypomina mi się, że po bożonarodzeniowym obiedzie na angielskim stole pojawia się Christmas pudding. To coś jakby ciasto pełne suszonych owoców, smakuje trochę jak nasz kompot, tylko w formie stałej, i intensywnie pachnie imbirem. Nie jest może specjalnie wyszukany deserem, ale za to obowiązkową poobiednią pozycją. Słyszałam, że polewa się go brandy, syropem cukrowym albo waniliowym sosem *custard*, muszę trochę więcej o tym poczytać i zdecydować, którą opcję wybrać, ale

dopisuję do listy zakupów Christmas pudding. Nie będzie z jego kupnem problemu, w okresie przedświątecznym w marketach jest do wyboru mnóstwo tego specjału.

Szybko jednak zaczynam się zastanawiać, dlaczego właściwie chcę kupić gotowca, przecież mogę przygotować Christmas pudding własnej roboty! W końcu to krzątanie się w kuchni zaczyna mi coraz lepiej wychodzić, a wykonanie deseru nie wygląda na skomplikowane. Poza tym wydaje mi się, że Alice powinna docenić moje starania, tym bardziej jeśli moje obawy okazałyby się słuszne i rzeczywiście kobieta wzbrania się przed przyjazdem do Londynu na święta. A jeśli nie, to jestem pewna, że tata doceni mój wysiłek. Choć na chwilę obecną upiera się, że to wszystko jest niepotrzebne, wiem, że nie pogardzi dobrym jedzeniem. Już widzę jego minę, kiedy wgryza się w pierniczka albo wypieczoną na złoto pierś indyka.

Sięgam po telefon i szukam w sieci przepisu na Christmas pudding, a kiedy decyduję się na konkretny, idę po mój notatnik, w którym mam spisane przepisy na pierniczki. Znajduję wolną kartkę i notuję składniki na angielski bożonarodzeniowy deser. Później te produkty lądują także na mojej liście zakupów, a kolejna porcja pierników jest gotowa. Wyjmuję je z piekarnika, teraz w mieszkaniu jeszcze intensywniej unoszą się wszystkie świąteczne aromaty, żywiczna woń świerku przenika się z cynamonem i pomarańczą. Zaciągam się mocno, chłonąc ten zapach całą sobą. Przyjemna woń jest dla mnie niczym obietnica, że podjęty trud przyniesie to, czego mi tak bardzo brakuje. Że uda mi się wskrzesić ducha świąt, którego znam z dawnych lat.

Przekładam gorące pierniki z blachy na talerz, aby wystygły. Wciąż nie mogę się nadziwić, jak dobrze wyglądają. Cieszę się, że nie poddałam się tak szybko, wytrwałość jest w życiu potrzebna. W ważnych sprawach, ale też w tych drobnych, wydawałoby się zwyczajnych i prozaicznych. Nika kręci się między moimi nogami. Nachylam się i drapię ją po karku, kotka wydaje z siebie pomruk zadowolenia. W radiu leci kolejna świąteczna piosenka, nie znam jej. Przy drugiej zwrotce zaczynam rozpoznawać głosy wokalistów. Jestem niemal pewna, że jeden należy do Eda Sheerana, drugi

nie jest mi obcy, ale nie mogę dopasować go do konkretnej osoby. Kiedy utwór się kończy, radiowa speakerka podaje tytuł utworu: „Merry Christmas” w wykonaniu Eda Sheerana i Eltona Johna. No tak! To dlatego drugi wokal wydawał mi się tak bardzo znajomy! Swoją drogą nie miałam pojęcia, że tych dwóch brytyjskich muzyków stworzyło wspólną piosenkę świąteczną. Googluję kawałek, pochodzi z dwa tysiące dwudziestego pierwszego roku – nic dziwnego, że go nie kojarzę, wyszedł w czasie, kiedy święta mało mnie obchodziły.

W radiu rozbrzmiewają nuty następnej piosenki. Tym razem od razu wiem, co to za utwór. Wraz z Michaeliem Bublém zaczynam podśpiewywać „Jingle Bells”. Wesołe dźwięki gładko płyną przez moje gardło, te święta naprawdę będą dobre.

Wreszcie kończę pieczenie i zabieram się do sprzątnięcia. Dobrych kilkanaście minut zajmuje mi doprowadzenie kuchni do porządku. Co jak co, ale nabałaganić to ja potrafię! Rozglądam się dookoła, muszę jeszcze zająć się podłogą, pełno na niej mąki i okruszków po ciastkach. Szum odkurzacza zagłusza dźwięki radia. Zauważam, że Nika zwinęła się w kłębek na kanapie w salonie. Pierniczki smakowicie pachną, aż mam ochotę porwać kolejnego i zjeść. Gdy wyłączam odkurzacza, w mieszkaniu wydaje mi się przytłaczająco cicho, nawet pomimo wciąż pogodnie grającego radia. Atakuje mnie poczucie, że sielska atmosfera, którą z takim mozołem buduję od kilku dni, ciągle jest jednak niepełna. Czegoś w niej brakuje, a ta luka wcale nie jest niewielka.

W takich chwilach jak ta nachodzą mnie wątpliwości, czy te kilka lat temu faktycznie postąpiłam słusznie. W takich momentach wydaje mi się, że jednak powinnam była dać Andrejowi szansę, gdy o nią prosił. Nie być taką nieugiętą, przełknąć ból zawodu. Nie stałabym teraz przy kuchennym blacie sama, pokrewna dusza kręciłaby się gdzieś obok, pomagając mi w świątecznych przygotowaniach albo pochłonięta własnymi zajęciami. Nasze spojrzenia od czasu do czasu by się spotykały, obdarzalibyśmy się wtedy wzajemnymi uśmiechami. Dłuższe momenty ciszy przerywałyby

nasze spontaniczne rozmowy. Te o niczym konkretnym i te jak najbardziej poważne. Z kimś u boku – z Andrejem – moje życie byłoby pełniejsze.

Potrząsam głową, aby odrzucić od siebie te myśli. W gruncie rzeczy wiem, że są złe. Nie chcę być z mężczyzną, który mnie oszukuje. Nie tego pragnę od życia. Nie mogę też bać się samotności. Jest przecież lepsza niż fałszywe związki, toksyczne relacje i zakłamanie. Kiedy po raz enty samą siebie przekonuję do swoich racji, jak na zawołanie przypomina mi się jedna z rozmów telefonicznych z mamą.

– Nie uwierzysz, mamo! – powiedziałam już na wstępie. – Pierniki, które upiekłam, są całkiem jadalne!

Mama zaśmiała się głośno.

– A widzisz, córciu! – Cieszyła się moim sukcesem. – Wiedziałam, że w końcu ci się udadzą. Z twoim uporem nie mogło być inaczej.

Przed oczami mam jej rozweseloną twarz, zmarszczki, których z roku na rok było coraz więcej wokół oczu, i usta, które przez ostatnie lata zauważalnie się pomarszczyły. Dobrze pamiętam, co wtedy pomyślałam. Że kiedy będę w jej wieku, też chcę się tak śmiać, chcę zachować podobną pogodę ducha, cieszyć się tym, czym obdarzył mnie los. Tymczasem już w młodości moja wewnętrzna radość znacznie przygasła. Znów myślę o Andreju i ogarnia mnie znajome poczucie straty. Trudno nie ulec przekonaniu, że coś w życiu mi umknęło. Że nie wykorzystałam szansy na to, czego pragnęłam.

Potrząsam ponownie głową, wiem, że nie byłabym z Andrejem szczęśliwa, a w uszach rozbrzmiewa mi kolejne zdanie, które wypowiedziałam do mamy.

– Nie mogę się doczekać, aż przyjdziecie.

– My, kochanie, też nie możemy się doczekać – odpowiedziała mama z typową dla siebie czułością w głosie. – Jeszcze kilka dni i będziemy razem!

- A Agata nie zmieniła zdania? – Przy każdej rozmowie o to pytałam.
- Nie, ale wiesz co? – Mama zniżyła głos do szeptu. – Udało mi się podglądnać, że kupiła bilet lotniczy do Londynu na Wigilię.
- Naprawdę?!
- Tak! – Zaśmiała się ponownie. Z jej twarzy emanowało szczęście, cieszyła się, że będziemy wszyscy razem. Mnie też wtedy niesamowicie ulżyło, pomimo uporu Agaty i tego, co nam stale przez niego serwowała. – Ale ciii – szeptała dalej mama, jakby co najmniej jej najstarsza córka stała za drzwiami i podsłuchiwała rozmowę. – Uparciucha nic nie mówi.
- Cała Agata. – Też się w końcu roześmiałam.
- A z tatą wszystko w porządku? – zapytała mnie nagle.
- Y-y-y tak – odpowiedziałam, nie do końca rozumiejąc zasadność tego pytania. Przecież stale ze sobą rozmawiali i...
- Ostatnio jest taki zapracowany – stwierdziła. – Mam nadzieję, że chociaż w święta będzie miał wolne.
- Na pewno! Nie wyobrażam sobie, aby było inaczej. Alice nie pozwoli mu pracować w święta, wie, że zawsze jeździ na Boże Narodzenie do Polski, a w tym roku ma przyjechać do niego rodzina.
- Alice – westchnęła mama, a mnie po raz pierwszy uderzyło to, że między moimi rodzicami może coś nie grać.
- To miła kobieta – rzuciłam szybko, sama nie wiedząc czemu.
- Poznałaś ją?
- O, tak. Jest naprawdę w porządku.
- A... – Mama wyraźnie się zawahała. – Czy jest... ładna? Zamurowało mnie, dosłownie. Chyba jak nigdy wcześniej.
- Y-y-y, czy ja wiem? – Zaczęłam się jękać. – Taka normalna w sumie.

Tak naprawdę Alice pojawiła się w życiu taty bardzo dawno temu. Jeszcze zanim sama przeprowadziłam się do Anglii. Była sekretarką w firmie, dla której ojciec wtedy pracował. Kiedy zmienił pracę, ona również się przeniosła... Wiele razy zastanawiałam się nad tym, kiedy w rzeczywistości zrodziło się między nimi uczucie. Za to Agata od razu

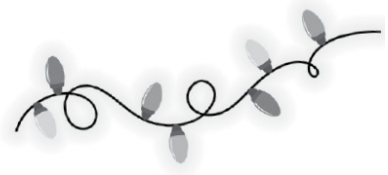
wydała werdykt, uznała, że tata latami zdradzał mamę. Pokusiła się nawet o stwierdzenie, że ja o wszystkim wiedziałam, więcej – akceptowałam to.

Zaciskam mocniej palce na ścierce, którą ciągle trzymam w ręce. Żal, smutek i tęsknota to uczucia, które zwykle tłuką się we mnie, gdy myślę o siostrze, ale od czasu do czasu ogarnia mnie także wściekłość. Nie pogodziłam się z zarzutami Agaty i chyba nigdy się z nimi nie pogodzę. Tak samo jak nigdy nie przyjmę do wiadomości jej odrzucenia.

Nie wiem, jak długo stoję przy kuchence, walcząc z kolejnymi falami złości, ale kiedy nieco się uspokajam, okazuje się, że pierniczki zdążyły ostygnąć. Przyglądam się im i stopniowo nowe myśli wypełniają mi głowę. Chcę i nie chcę tego robić.

Wreszcie zabieram się do przygotowania lukru. Znów decyduję się na ten najprostszy z możliwych, nie mam czasu na nic bardziej wymyślnego. Działam, zanim się rozmyślę. Kiedy jest gotowy, polewam lukrem kilka ciastek i wybieram te najokazalsze. Wreszcie zarzucam na siebie płaszczyk i z talerzykiem świeżo upieczonych ciasteczek wychodzę z domu. Już po przekroczeniu progu zżera mnie trema. Do diaska, zupełnie niepotrzebnie, przecież obiecałam Kubie te pierniki! A niedawno się nawet o nie upomniałam!

Podbudowana tym faktem podchodzę pod czerwoną dwunastkę. Zanim jednak pukam, drzwi się otwierają, zupełnie jakby gospodarze wyczuli, że właśnie stanęłam przed ich domem. Serce gwałtownie mi przyspiesza, zdaję sobie sprawę, że jest za późno na zmianę decyzji. Nim zdążę pomyśleć o czymkolwiek więcej, ktoś na mnie wpada, a talerzyk z pierniczkami wyślizguje mi się z dłoni.



13.

Odbijam się od kobiety, jej długie gęste pukle muskają mnie po twarzy. Notuję, że są ognisto rude, przywodzą mi na myśl płomienie. Szczęśliwie udaje mi się złapać równowagę, cofam się o krok. Spoglądam na dziewczynę, ma duże oczy, mocno podkreślone ciemną kredką, i pełne usta pociągnięte pomarańczową szminką.

– Uważaj trochę, kobieto! – syczy ze złością, tak jakbym z premedytacją na nią wpadła.

W tej samej chwili zaczyna mi się wydawać, że kiedyś już gdzieś spotkałam tę dziewczynę. Na pewno jej nie znam, ale te ogniste loki mówią mi, że nie widzimy się po raz pierwszy. Ma tak oryginalną urodę, że zwróciłabym na nią uwagę, nawet gdybym minęła się z nią przypadkiem na ulicy. Zaczynam się zastanawiać, czy nie zetknęłyśmy się gdzieś ostatnio na chodniku, kiedy kobieta wyrzuca z siebie kolejne piskliwe dźwięki.

– O mało mnie nie upaprałaś tymi ciastkami!

– Sara! – Słyszę podniesiony głos, ale jestem tak oszołomiona sytuacją, że nie od razu wiem, do kogo należy.

– No co? – warczy rudowłosa, ostentacyjnie otrzepując buty, na których wylądowało kilka pierników. Nosi botki na wysokiej szpilce. Sama bardzo rzadko w takich chodzę. Jeśli wybieram obuwie na obcasie, to stawiam na

o niebo wygodniejsze grube słupki albo koturny. – Patrz, jakie mam przez nią uwalone buty!

– To tylko buty... – Wzdycha męski głos.

– Moje buty! – cedzi z oburzeniem, a potem rusza w stronę klatki schodowej.

Niesie się za nią donośny stukot obcasów. Przy ich akompaniamencie skupiam wzrok na rozsypanych po balkoniku piernikach. Widok jest żałosny.

– Przepraszam za nią. – Znowu dolatuje mnie męski głos, nadal jest nerwowy i podniesiony. Obracam głowę w jego kierunku i widzę przed sobą Kubę. – Przepraszam – powtarza.

Schylam się, aby pozbierać ciastka, nic nie mówię. Mężczyzna przykuca przy mnie i jeszcze raz mnie przeprosza. Wreszcie dociera do mnie, co się tak naprawdę wydarzyło. Zaczyna palić mnie zażenowanie, czuję, jak wykwita mi na policzkach gorącym rumieńcem. Mam ochotę zapaść się pod ziemię.

– Strasznie mi głupio – mówi Kuba. Przenoszę na niego spojrzenie. Jest blady, jego twarz stanowi kompletne przeciwieństwo moich spąsowiałych policzków. Mięśnie twarzy ma potwornie spięte, przywodzą mi na myśl sztywną maskę. – Naprawdę nie wiem, co ją napadło... To znaczy wiem... Ona... po prostu... Wiesz, taka już jest. – Płacze się, jakby sam nie wiedział, co tak naprawdę chce powiedzieć. Wreszcie bierze głębszy wdech i wyrzuca z siebie szybko: – Sara potrafi być wredną suką i to taką, jakich mało.

– A-aha – dukam, czując, że moje zakłopotanie sięga zenitu. Zbieram w pośpiechu pierniki, nie chcę zostawiać namacalnego dowodu mojego upokorzenia przed domem sąsiadów. Przed chwilą Kuba pożegnał się ze swoją dziewczyną, chociaż sądząc po jej zachowaniu, to raczej się pokłócili. Może chciał za nią pobiec, ale zamiast tego zaczął zbierać ze mną ciastka, które dla niego przyniosłam. Katastrofa. Czuję się jak kompletna kretyńka. Chcę jak najszybciej stąd uciec. – Przyszłam w złym momencie – mówię, bo milczenie też jest krępujące.

– Nie, po prostu...

– W końcu mi wyszły. – Wchodzę sąsiadowi w słowo, próbując zachować twarz. – Obiecałam, że przyniosę, gdy wyjdą, więc przyniosłam. – Wlepiam wzrok w talerzyk z pokierszowanymi ciastkami, wciąż czując na policzkach nieprzejednany gorąc. Naprawdę gorzej być nie mogło.

– Zuza... – Unoszę spojrzenie na Kubę. – Bardzo się cieszę się, że pamiętałaś. Dziękuję.

– Nie ma za co. Raczej ich nie spróbujesz. – Wyprostowuję się, bo wreszcie wszystkie ciastka udało mi się pozbierać. Natychmiast wycofuję się w stronę swojego mieszkania.

– Bardzo żałuję... – podejmuje sąsiad, ale nie kończy. Zażenowanie dławi mnie w gardle. Jestem już przy swoich drzwiach. – Przepraszam, Zuza – wzdycha. – Sara bywa impulsywna i... po prostu nie lubi, kiedy coś nie układa się po jej myśli...

– To ja przepraszam. – Znów mu się wcinam w zdanie. Nie mam najmniejszej ochoty na to, aby zaczął opowiadać mi o sprzeczce ze swoją dziewczyną. Bo to musiała być sprzeczka. Teraz jestem już przekonana, że chciał za nią pobiec, ale mu w tym przeszkodziłam... – Przyszłam naprawdę w złym momencie. Już znikam. Trzymaj się! Pa!

Gdy tylko zatrząskuję za sobą drzwi mieszkania, opieram się o nie plecami. Kompletna katastrofa, powtarzam sobie w duchu, głośno wzdychając. Kompletna. Spoglądam na połamane pierniki, jakby to one były winne temu, co się przed chwilą wydarzyło. Myślę o tym, że z prawdziwą przyjemnością wyrzucę je do kosza. Może razem z nimi zniknie palący mnie wstyd. Ruszam do kuchni, aby się ich pozbyć. Gdy kłapa kosza się zatrząskuje, rozlega się pukanie do drzwi. Jestem nim tak zaskoczona, że aż podskakuję. Serce znów zaczyna mi łomotać w piersi, to może być Kuba. Ale po co miałyby się teraz do mnie dobijać? To bez sensu, myślę, a wtedy pukanie się powtarza. Jest późno, nie wiem, kto mógłby o tej porze przyjść do mnie z wizytą, i to jeszcze niezapowiedzianą. Jeśli gościem jest sąsiad spod dwunastki, to głupio nie otworzyć, przecież wie, że jestem w mieszkaniu.

Ruszam do drzwi, po raz enty żałując, że nie postarałam się o wizjer. Teraz bardzo by mi się przydał. Otwieram z duszą na ramieniu.

– Musiała ci wypaść, kiedy zbierałaś pierniki. – Za progiem faktycznie stoi Kuba. Jestem tak przejęta, że nie rozumiem, o czym mówi. – Chyba twoja, prawda? – Zerkam na wyciągniętą w moim kierunku dłoń.

Sąsiad trzyma w niej komórkę. Przyglądam się jej, jakbym nie wiedziała, z jakim przedmiotem mam do czynienia. Dopiero po kilku sekundach łapię się za kieszeń płaszcza, którego jeszcze nie zdążyłam z siebie zdjąć. Jest pusta. W takim razie Kuba rzeczywiście trzyma w rękach mój telefon.

– Dziękuję – mówię, ale zamiast wziąć od niego komórkę, tylko się na nią gapię. – W całym tym zamieszaniu nawet nie zauważyłam, że ją zgubiłam.

– Sara jak się zdenerwuje, to mówi głupie rzeczy. – Kuba wraca do tematu swojej dziewczyny. – Tak jak dziś. Przepraszam cię za nią jeszcze raz.

Zaciskam usta w wąską kreskę. Naprawdę nie mam ochoty tego słuchać, wystarczy mi upokorzeń na dziś. I w ogóle na najbliższy czas.

– To moja przełożona... – Sąsiad jest jednak odmiennego zdania i nie zamierza przerywać swojego wywodu. – Mieliśmy do obgadania kilka spraw związanych z tym moim singlem, który ma wyjść po Nowym Roku...

Chcę oznajmić Kubie, że nie jestem zainteresowana wysłuchiwaniami opowieści o jego dziewczynie i tego, co ich poróżniło, kiedy dociera do mnie sens wypowiedzianych przez niego słów. Zamykam usta, nie wydając z siebie żadnego dźwięku, a Kuba dodaje:

– Łatwo się denerwuje, naprawdę.

– Czym ją tak wkurzyłeś? – dukam, jakbym nie była pewna, czy zwyczajnie się nie przesłyszałam. Jeśli to szefowa Kuby, to sytuacja zupełnie się przecież zmienia.

– Drobną różnicą zdań. – Sąsiad ciężko wzdycha. – Mamy nieco inną wizję na promocję singla... – Zaczyna natarczywie rozmasowywać czoło. – Sara ma decydujące zdanie, a ja... Cóż, zależy mi na kilku działaniach, które z kolei jej się nie podobają. Taki mały impas...

– A-aha – bąkam jedynie, zupełnie nie zawracając sobie głowy tym, o jakie działania promocyjne może chodzić. Zaczynam się za to zastanawiać, dlaczego przełożona Kuby odwiedza go w jego mieszkaniu. Wydaje mi się to nieco dziwne, choć przecież tak naprawdę nie mam pojęcia, jakimi prawami rządzi się branża muzyczna. Niewykluczone, że to środowisko, w którym relacje pracownicze są bardziej zażyłe, a przy tym mniej formalne. Właściwie podobnie jest u mnie w redakcji, przecież Oliwia wcale nie traktuje swoich pracowników jak podwładnych, ale równych sobie kolegów.

– Proszę. – Sąsiad podaje mi telefon.

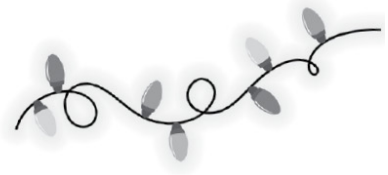
– Dziękuję – mówię, wreszcie przejmując od niego komórkę. Palce Kuby przez przypadek muskają moją dłoń. Znów pąsowieje, ten krótki eteryczny kontakt z jego skórą przyprawia mnie o dreszcze. – Dzięki – powtarzam i po prostu zaczynam zamykać drzwi. Tego wszystkiego jest dla mnie za dużo. Czuję się zagubiona do granic możliwości i chcę zwyczajnie się od tego odciąć. – Miłego wieczoru, pa!

I trzask! Odgradzam się od Kuby, jego wzroku, głosu i zapachu.

Od razu przechodzę do kuchni, nawet nie zdejmuję z siebie płaszcz. Przystaję przy zlewie i wzdycham, głośno i przeciągle.

Przełożona, powtarzam sobie w myślach, przełożona. Ale czy to wyklucza możliwość, że Sara – tak, chyba dobrze zapamiętałam jej imię – jest jednocześnie dziewczyną Kuby? Odpowiedź jest prosta: niestety nie.

Ale z drugiej strony... „Sara potrafi być wredną suką i to taką, jakich mało”, przypominam sobie słowa sąsiada. Czy mówiłby w taki sposób o swojej dziewczynie? Nie wydaje mi się. Nie znam za dobrze Kuby, ale takie zachowanie po prostu mi do niego nie pasuje. Kłóci się z tym, co do tej pory mi sobą zaprezentował. Jestem bezgranicznie skołowana.



14.

Rano czuję się wyzuta z jakiegokolwiek energii, choć noc przespałam właściwie spokojnie. Zadurzyłam się w Kubie, wreszcie w pełni to do mnie dotarło. Wydawało mi się, że ja też mu wpadłam w oko. Jednak wczorajsza sytuacja z Sarą – kimkolwiek tak naprawdę była ta kobieta – uświadomiła mi, że chyba za bardzo uległam złudzeniom. Kuba ma mnie na wyciągnięcie ręki, a właściwie nic się nie dzieje. Nie dostrzegłam z jego strony żadnych wyraźnych sygnałów. Oprócz przeciągłego spojrzenia i przeczucia, że nie jestem mu obojętna, nie dostałam niczego oczywistego. A teraz jeszcze pojawiła się Sara.

Nika śpi po wolnej stronie łóżka zwinięta w kłębek. Wyciągam dłoń i zaczynam głaskać ją po mięciutkim futerku. Nie przynosi to znajomego ukojenia, bo sąsiad naprawdę rozbudził we mnie coś, czego dawno nie czułam.

Zwlekam się z łóżka, wciąż tak samo przybita. Śniadanie i kawa nadal nie poprawiają mi humoru, słodki pierniczek również się nie sprawdza. Ani nieśmiało wychodzące słońce. Pracuję dziś z domu i wątpię, aby pomogło mi się to rozchmurzyć.

Zmieniam piżamę na tylko odrobinę szykowniejszy dres, rezygnuję z makijażu, włosy upinam w luźny kok na czubku głowy. Wyglądam

nieciekawie, ale nie czuję potrzeby, by się bardziej starać. Ewidentnie mam gorszy dzień, próbuję sobie wmówić, że wcale nie z powodu sąsiada.

Jak na złość dziś przychodzi mi opiekować się działem poradnikowym portalu. Jak mam radzić innym, skoro sama czuję się rozbita? Szukam jakiegoś neutralnego tematu, szerokim łukiem omijam relacje damsko-męskie.

Humor poprawia mi nieco mail od Arlety Nowakowskiej, członkini Światowego Stowarzyszenia Mediów Polonijnych. Organizacja skupia polonijne media z całego świata, a jest ich wcale niemało. Zrzesza nie tylko dziennikarzy, ale także redaktorów, blogerów, radiowców i fotografów. Wszystko po to, aby nikogo, kto współpracuje z tymi mediami, nie wykluczać.

Przynależę do stowarzyszenia od blisko roku i jestem jego działalnością absolutnie zafascynowana, zwłaszcza aktywnością mającą na celu podnoszenie kwalifikacji zawodowych swoich członków. Organizacja oferuje szereg wartościowych konferencji oraz ciekawych warsztatów prowadzonych przez fachowców, niejednokrotnie doktorów i profesorów. Trzy tygodnie temu uczestniczyłam w szkoleniu: „Nowe formy narracji – kiedy tekst to za mało” przygotowanym przez specjalistkę od strategii i budowania zaangażowanych odbiorców. Muszę przyznać, że wiele z niego wyniosłam, przede wszystkim zgłębiłam wiedzę na temat tego, jak być w sieci bardziej widoczną. To bardzo potrzebne w dzisiejszych czasach, kiedy szeroko pojęte media koncentrują się głównie w wirtualnym świecie. Ale dodatkowym atutem tychże konferencji i warsztatów jest możliwość spotkania się z ambitnymi, kreatywnymi ludźmi dzielącymi dziennikarską pasję. Poznałam wiele takich osób, jedną z nich jest właśnie Arleta. Dziewczyna pracuje w Szwecji i to tam odbyło się wspomniane szkolenie. Oprócz zdobycia nowych umiejętności zwiedziłam Sztokholm. Nowakowska oprowadziła mnie po mieście, a teraz przesłała fotki. Są cudowne. Arleta oprócz tego, że jest dziennikarką, pasjonuje się fotografią, więc doskonale wie, jak zrobić dobre zdjęcie.

Przeglądanie fotografii przerywa pukanie do drzwi. Zerkam na telefon, dochodzi dwunasta. Nie wiem, kiedy ten czas zleciał, przede mną jeszcze sporo do zrobienia.

Idę otworzyć, licząc, że to listonosz. Po tym, jak się okazało, że kupiłam znacznie większą choinkę, niż zamierzałam, zamówiłam jeszcze kilka dodatkowych ozdób. Choć drzewko mi się podoba, to jednak gdzieś tam aż się prosi, aby coś jeszcze na nim zawiesić.

Kiedy podchodzę do drzwi, znów przemyka mi przez myśl, żeby w końcu zadbać o montaż wizjera. Czasem naprawdę okazuje się niezastąpiony. Choćby dziś. Chętnie zerknęłabym przez niego, by sprawdzić, kto czeka na mnie na zewnątrz. Nie mam tej możliwości, więc po prostu otwieram.

– Cześć! – W progu stoi Kuba.

– O, h-hej! – odpowiadam, zaskoczona widokiem sąsiada. Jego chyba najmniej się spodziewałam, raczej wcale. Sądziłam, że po wczorajszym wieczorze będziemy się unikać przez kilka najbliższych dni. W końcu wyszła naprawdę niekomfortowa sytuacja, dla każdej ze stron krępująca.

Odruchowo poprawiam rozwalający się kok na czubku głowy, choć wiem, że przy całokształcie to niewiele pomoże. Jednak w tej chwili tylko tyle mogę zrobić.

– Właśnie przeczytałem. – Kuba macha czasopismem Londyn PL.

Ach, no tak, przecież dzisiaj wyszedł nowy numer, zupełnie o tym zapomniałam.

– A Marcela dzwoniła, że już zaczęli się z nią kontaktować sponsorzy zainteresowani wydarzeniem.

– O, to fantastycznie – komentuję, wściekając się na samą siebie, że nie ogarnęłam się z rana, tak jak zwykle to robię. Praca w domu ma sporo plusów, ale jak się okazuje, może też poważnie zaszkodzić. Niewykluczone, że właśnie do reszty pogrzebałam swoje szanse u sąsiada.

– Artykuł na portalu o mojej muzyce też widziałem – ciągnie dalej.

– Pojawilo się pod nim wiele ciepłych komentarzy – wtrącam.

Internet akurat sprawdziłam. Robię to codziennie rano, niezależnie od tego, czy danego dnia leży to w zakresie moich obowiązków, czy też nie, bo

zwyczajnie lubię być na bieżąco z reakcjami czytelników na zamieszczane przez portal wpisy. I rzeczywiście materiał o moim sąsiedzie wzbudził duże zainteresowanie. W sumie nie mogło być inaczej, bo przecież pasja Kuby jest niebanalna, właściwie to nawet wyjątkowa. Chyba nigdy nie słyszałam o niczym bardziej oryginalnym jak tworzenie muzyki z dźwięków przyrody. Idę o zakład, że wśród czytelników portalu nie znalazł się nikt, kto miałby z czymś podobnym do czynienia.

– Tak, przeczytałem wszystkie! – cieszy się Kuba. Wyłapuje przy tym moje spojrzenie i trudno mi w tej chwili na niego nie patrzeć. – Dzięki, Zuza, zrobiłaś świetną robotę. Zwłaszcza dla mojej siostry.

Urywam kontakt wzrokowy, kiwając smętnie głową. No tak, pewnie właśnie o to chodziło od początku. Zależało mu na artykułach w prasie, a ja odebrałam ten drobny, łączący nas element jako jego zainteresowanie moją osobą. Jestem naiwna, wzdycham w duchu.

– Słuchaj... – zaczyna Kuba, ale zaraz milknie.

Zerkam na niego ukradkiem. Sama nie wiem, czy powinnam na niego patrzeć, czy wręcz przeciwnie – posłać spojrzenie gdziekolwiek indziej. Milczymy. Sytuacja staje się z sekundy na sekundę coraz bardziej niezręczna. Sąsiad najwyraźniej czuje, że wypadaloby coś jeszcze powiedzieć, ale chyba nie bardzo wie co. Mam podobne odczucia, ale też nic sensownego nie przychodzi mi do głowy.

– Chciałbym ci jakoś podziękować za to, co zrobiłaś – pada w końcu z jego ust.

– Podziękowałaś... przed chwilą – zauważam.

– Tak, niby tak. – Śmieje się z wyraźnym zakłopotaniem. – Ale czuję, że to za mało.

Wreszcie przenoszę na niego spojrzenie i odkrywam, że Kuba cały czas mi się przygląda. Akurat dzisiaj, kiedy wyglądam, jak wyglądam. Ale w sumie, skoro tak na mnie patrzy, kiedy jestem kompletnie nieogarnięta, to... Wzdycham bezgłośnie, bo przecież całkiem możliwe, że znów niewłaściwie interpretuję jego sygnały. Może zawsze tak spogląda na

kobiety? To coś w rodzaju jego sposobu bycia albo maniera, której nie potrafi się wyzbyć.

– Pomyślałem... Znaczy, nie chcę, abyś jakoś źle to odebrała... – Kuba ponownie się śmieje, tym razem z jeszcze większym zakłopotaniem niż chwilę temu. Na moje nieszczęście jest przy tym absolutnie uroczy. – Może... Cóż... Pomyślałem, że może wybralibyśmy się razem do Winter Wonderland? – wydusza z siebie wreszcie.

Unoszę brwi, skołowana. Proponuje mi randkę? Naprawdę? Nie dowierzam. A może tak bardzo zależało mu na reklamie w mediach, że kiedy się udało, poczuł się zobowiązany jakoś mi to wynagrodzić? Tylko czy nie prościej byłoby, gdyby mi po prostu coś kupił? Czekoladki, dobre wino, kwiaty... Podarował jakąś drobnostkę i po problemie, zamiast wikłać się w takie propozycje. Nie potrafię rozgryźć intencji tego faceta.

– Podobno jest tam fajnie – ciągnie Kuba. – Nigdy nie byłem, ale wiele dobrego słyszałem. W zeszłym roku znajomi bardzo chwalili.

– Nigdy nie byłeś w Winter Wonderland? – upewniam się.

Kuba kręci głową.

– Naprawdę?

– Jakoś się nie złożyło.

– To zimowe miasteczko jest absolutnie czadowe – oświadczam zgodnie z prawdą.

– Tak właśnie słyszałem – przytakuje Kuba, a potem pochmurnieje. – No to nie zabłysnąłem, bo wygląda na to, że już tam byłaś.

– I to wiele razy – mówię, zanim zdążę ugryźć się w język. – I za każdym razem bardzo mi się tam podoba. A skoro jeszcze nie byłeś w tym miejscu, to koniecznie musimy się wybrać.

Naprawdę to powiedziałam?

– Świetnie! – cieszy się sąsiad.

Tak, wygląda na to, że te słowa naprawdę padły z moich ust.

– Kiedy znajdziesz dla mnie czas? – Kuba posyła mi uśmiech, od którego dosłownie uginają się pode mną kolona.

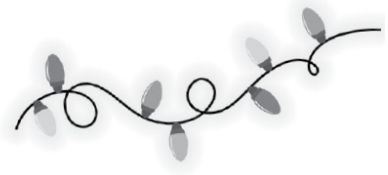
– Choćby dziś. – Znów nie udaje mi się w porę ugryźć w język.

– No i super. Jestem już po pracy, więc czemu nie mielibyśmy pojechać tam dziś? W środku tygodnia z pewnością będzie tam znacznie luźniej niż w weekend.

– Zdecydowanie.

– To, co? – Kuba zerka na swoją komórkę. – Może o szesnastej? Kiedy się już ściemni.

– Idealnie!



15.

Zamykam drzwi, zastanawiając się, czy rzeczywiście się to stało. Umówiłam się z Kubą? Uśmiecham się. Co tam, że do tej pory był raczej obojętny, ważne, że ten wieczór należy do nas. Może okazać się tym, na co czekam, przełomem w naszej sąsiedzkiej znajomości.

Wracam do kuchni i siadam przed laptopem. Muszę skończyć pracę przed piętnastą, aby mieć jeszcze chwilę na przygotowanie się do wyjścia. W końcu czeka mnie... randka. Może nie powinnam jeszcze tak nazywać wieczornego wyjścia z Kubą, ale po porannym ponurym nastroju nie ma ani śladu. Czuję się za to bardzo podekscytowana. Moje nadzieje zostały skutecznie rozbudzone, przecież sam mnie zaprosił! Wreszcie też spędzimy trochę czasu wyłącznie w swoim towarzystwie. Do tej pory były to króciutkie rozmowy na balkoniku albo w obecności innych osób.

Uwijam się z obowiązkami, a potem zaszywam w łazience, aby wieczorem zaprezentować się sąsiadowi znacznie lepiej, niż zrobiłam to w południe. Efekt mnie zadowala. Włosy lekko pofalowałam, oczy podkreśliłam czarną kredką, stawiając na lisi look. Będzie zimno, więc nie zaszaleję z ubiorem. Wybieram wełnianą sukienkę i buty na platformie sięgające mi powyżej kolan. Do tego płaszczki, nauszники i rękawiczki. Jestem gotowa. Prawie pół godziny przed czasem.

Zdejmuję płaszcz i nauszniki, w mieszkaniu jest zdecydowanie za ciepło, aby w nich przesiadywać. Siadam na kanapie w salonie. Od razu przychodzi Nika i chce mi wskoczyć na kolana. Nie pozwalam jej na to, choć z bólem serca. Nie chcę ryzykować, że podrze mi rajstopy. Próbuję wynagrodzić jej tę odmowę drapaniem za uchem, ale kotka jest niezadowolona. Obraża się i wychodzi z salonu. Wołam za nią, ma mnie jednak w głębokim poważaniu. Udobrucham ją wieczorem.

Czas płynie wolno, przyglądam się choince. Te kilka ozdób, które domówiłam, to absolutna konieczność. Puste przestrzenie na drzewku aż za bardzo rzucają się w oczy. Szkoda, żeby przez to traciła swój urok. Na podłodze dostrzegam kilka igieł. Rano zmiatałam te, które opadły w nocy, a już jest kilkanaście nowych. To uciążliwe, ale przynajmniej w domu pięknie pachnie. Ach, zapomniałam o perfumach! Lecę do pokoju i pryskam się swoim ulubionym zapachem. Kwiatowo-cytrusowa woń niekoniecznie pasuje do zimowej aury, ale uwielbiam ją i sięgam po nią niezależnie od pory roku.

Pięć minut przed czwartą siedzę już jak na szpilkach. Chciałabym, aby to popołudnie się wreszcie rozpoczęło. Czuję, że dziś się dowiem, na czym tak naprawdę stoję.

Kiedy w końcu rozlega się pukanie do drzwi, biorę głębszy wdech. Nie zrywam się jednak z kanapy jak oszalała, odczekuję moment i dopiero wtedy idę otworzyć.

– Hej – witam sąsiada, który posyła mi chyba swój najurokliwszy uśmiech. Wiem, że się na niego gapię, ale nie mogę przestać. Włosy, zwykle będące w chłopięcym nieładzie, ma starannie przygładzone, po prawej stronie widać wyraźny przedziałek. Nie zauważyłam go wcześniej. To uczesanie świetnie pasuje do kilkumilimetrowego zarostu. Zastanawiam się, czy dba, aby zawsze mieć właśnie taką długość, czy widuję sąsiada zbyt rzadko, aby mieć okazję zobaczyć go gładko ogolonego? Bądź co bądź Kuba wygląda dziś bardzo... pociągająco. Tak, to jest idealne słowo, w pełni oddaje to, jak działa na mnie lokator zza ściany.

Zimno wdziera się do mieszkania, ale wcale na nie nie reaguję. Tonę w uśmiechu gościa.

– Gotowa? – pyta Kuba, przechylając rozkosznie głowę w bok.

– Tak, jasne. Oczywiście!

Mhm, i co jeszcze? Psioczę na siebie w myślach, nie da się ukryć, że krążące mi w żyłach endorfiny sprawiają, że dostaję małego rozumu.

Wkładam płaszczyk, starając się opanować emocje, a potem porywam jeszcze nauszniki i rękawiczki i wreszcie wychodzę z domu.

– Mam nadzieję, że masz rękawiczki – odzywam się.

– Właściwie to nie – przyznaje Kuba.

– Lepiej zabierz. Nie wiem dlaczego, ale w Winter Wonderland jest zawsze pioruńsko zimno. Tak jakby specjalnie obniżali tam temperaturę, w ten sposób rekompensując odwiedzającym brak śniegu. – Śmieję się.

– W takim razie wezmę. – Kuba wyjmuje klucze i na moment znika w swoim mieszkaniu.

Wykorzystuję ten czas na przyjrzenie się okolicy. Ostatecznie bardzo wielu sąsiadów zadbało o świąteczny wystrój swoich mieszkań. Ciekawi mnie, czy moje kartki z zachętą do działania choć odrobinę się do tego przyczyniły, czy może ludzie sami poczuli potrzebę strojenia domów na zbliżające się Boże Narodzenie?

Przebiegam wzrokiem po balustradzie, jedynie w trzech miejscach zionie ciemnością, przy pozostałych lokalach migocą kolorowe lampki. Do świąt jeszcze dwa tygodnie, więc możliwe, że i tam pojawi się oświetlenie. Zastanawiam się, które z tych ciemnych miejsc należy do anonimowego tchórza. Pewnie przy jego mieszkaniu nie zawisną żadne lampki. Znów przychodzi mi do głowy, że mogłabym kupić światełka i po prostu rozwiesić je tam, gdzie ich brakuje. Nie tylko zaspokoilibym swoje fantazje, ale także w pewien sposób utarła nosa gagatkowi, który z taką łatwością obrzucił mnie obelgami.

Kiedy Kuba wyłania się z mieszkania, mówię mu o swoim pomysśle, ani przez chwilę się nie zastanawiając, że mogę brzmieć jak maniaczka.

– Aż tak bardzo ci zależy? – Reaguje niewymuszoną wesołością.

- Wyobraź sobie, jak by tu było pięknie – mówię.
- To prawda – przytakuje. – Jako dziecko mieszkałem w domu jednorodzinnym. Ani dom, ani podwórko nie były duże, ale rok w rok rodzice dokupowali jakieś lampki na Boże Narodzenie. Teraz mama już tego nie robi, ale nazbierało się tego już całkiem sporo. Czasem Marcela jeszcze coś dorzuca.
- Ale cudnie – komentuję. – Mój tata robił dokładnie to samo!
- Robił? – dopytuje, kiedy ruszamy przed siebie.
- Tak, kiedyś. Teraz mieszka tutaj, w Anglii.
- O, to bardzo fajnie, że masz w pobliżu kogoś z rodziny.
- Nie jest aż tak blisko. Kilka miesięcy temu przeprowadził się do Liverpoolu.
- To i tak bliżej niż Polska.
- Prawda – przytakuję i muszę przyznać, że z rozrzewnieniem wspominam czasy, kiedy tata mieszkał ze mną w Londynie. – Jakiś czas temu związał się z kobietą, poznali się tutaj, w Londynie, długo pracowali w jednej firmie. Ale Alice dostała propozycję objęcia dobrego stanowiska właśnie w Liverpoolu, no i razem się tam przenieśli – wyznaję.
- Dobrze jest mieć rodzinę na miejscu – komentuje Kuba.
- Tak, cieszę się, że mam tu tatę – mówię, obawiając się, że Kuba zapyta mnie zaraz o mamę. Aby nie dać mu tej szansy, wracam do tematu światełek: – A więc wygląda na to, że oboje jesteśmy fanami świątecznego oświetlenia. Nie wyobrażam sobie, aby któregoś roku tego zabrakło, to niezastąpiony element świąt.
- Rozumiem, że widziałas, jak jest oświetlone centrum?
- Podziwiam je co roku i za każdym razem jestem nim tak samo urzeczona.
- A pierniczki? – zagaja. – To też coś, bez czego nie wyobrażasz sobie świąt?
- Tak. Właściwie tak. – Śmieję się, choć tak naprawdę robi mi się smutno w sercu, że przez ostatnie kilka lat nie celebrowałam Bożego Narodzenia.

– Te wczorajsze wyglądały naprawdę dobrze... – Kuba zerka na mnie kątem oka, bez uśmiechu, chyba powiedział to nieintencjonalnie.

Wątpię, aby celowo chciał wracać do wczorajszego wieczoru. Ja nie mam na to ochoty, ale milczenie też nie wydaje się dobrym pomysłem. Nie chcę wyjść na obrażalską i co gorsza, małostkową.

– W końcu mi wyszły – oświadczam, starając się nie roztrząsać na nowo tamtego zdarzenia. – Ale muszę popracować jeszcze nad dekoracją.

– Mam nadzieję, że w końcu będzie mi dane ich spróbować. – Kuba znów na mnie spogląda, tym razem z typowym dla siebie uśmiechem.

Kiedy zatrzymuje na mnie wzrok dłużej, niż wymagałaby tego sytuacja, robi mi się cieplej. Chyba jednak te nauszniki i rękawiczki, pomimo zaledwie dwóch stopni powyżej zera, nie będą mi potrzebne...

– W takim razie dostarczę ci finalną wersję – obiecuję.

– Przyjmę każdą ilość. A właściwie przyjmiemy. Paweł może na takiego nie wygląda, ale przepada za słodyczami. Skubany ma dobrą przemianę materii. Gdybym wsuwał tyle cukru co on, to chyba bym się już toczył.

Śmieję się w głos, mając nadzieję, że Kuba nie wyłapie delikatnego napięcia, jakie pojawiło się we mnie na wspomnienie Pawła. Aby przypadkiem rozmowa nie pobiegła w kierunku jego kolegi, pospiesznie zmieniam temat.

– A gdzie zwykle spędzasz święta? Tutaj czy wracasz do kraju?

– Wracam. Tak naprawdę to nigdy nie byłem tutaj w Boże Narodzenie. Zawsze *I'm driving home for Christmas*^[2]. – Kuba zaczyna śpiewać. – *Oh, I can't wait to see those faces...*

Jestem zaskoczona, nie tym, że sąsiad potrafi śpiewać, jest przecież muzykiem, ale czystością jego głosu. Kiedy mówi, zdaje się lekko zachrypnięty, teraz to wrażenie zupełnie zniknęło.

– *I'm driving home for Christmas, yea.*

– W tym roku też wybierasz się do Polski? – dopytuję.

– Tak. – Kiwa przy tym głową. – Jak co roku jedziemy samochodem. Na dwa auta. W jednym ja, Paweł i jeszcze kolega z wytwórni na dokładkę, a w drugim moja siostra z mężem.

- Skąd pochodzisz? – drązę.
- Z okolic Krakowa.
- Naprawdę? Skąd dokładnie?
- Z Wieliczki.
- Niewiarygodne! – wykrzykuję. – Ja z Bochni.
- Rzut beretem – komentuje Kuba, obdarzając mnie pogodnym uśmiechem.
- Tak, naprawdę blisko.
- Sąsiad znów się uśmiecha. Zapatruję się w te uniesione kąciki ust, podobają mi się.
- Kiedy wyjeżdżacie? – rzucam, gdy orientuję się, że przypatruję mu się zdecydowanie za długo.
- Dwudziestego drugiego grudnia, tak, żeby na Wigilię być w domu – wyjaśnia, a potem znów zaczyna śpiewać: – *I'm driving home for Christmas, yea.*
- Proponuję, aby twój głos zagościł w utworach, które tworzysz, gdy już zdecydujesz się dodać do nich wokal.
- Raczej zostawię to komuś bardziej utalentowanemu. Zaśpiewaj coś – prosi. – Może tym talentem będziesz właśnie ty?
- Wybucham jeszcze głośniejszym śmiechem niż chwilę temu.
- Wysokie dźwięki – komentuje Kuba. – Zapowiada się nieźle. Zaśpiewaj coś. – Ponawia prośbę.
- Nie, nie ma mowy!
- Dlaczego? Nie lubisz śpiewać? To chyba niemożliwe, każdy lubi czasem sobie coś nucić, choćby pod nosem.
- Może po kilku głębszych. – Rechoczę, orientując się, że właśnie dotarliśmy do stacji overgroundu. Czas minął mi błyskawicznie, a co więcej, ledwo pamiętam przebytą drogę.
- Proszę, zaśpiewaj coś. – Nie odpuszcza.
- Oszczędzę sobie tej zenującej sytuacji – mówię. – A twoje uszy, a także uszy pozostałych pasażerów – przerywam i robię zamach ręką, jakbym

chciała nią objąć całą przestrzeń wokół siebie – będą mi za to wdzięczne. Uwierz mi.

- Nie może być aż tak źle.
- Może.
- Masz ładny głos.
- Nie kiedy śpiewam. Albo raczej, kiedy próbuję śpiewać.
- Hm... – Kuba mruczy, dalej nieprzekonany. – Kiedyś mi zaśpiewasz.

Na te słowa obracam twarz w jego kierunku. Zabrzmiały jak obietnica przyszłości. Wspólnej przyszłości. Nie chcę się do tych słów za bardzo przywiązywać, ale dźwięczą mi w uszach. Jeśli szukałam sygnału ze strony Kuby, to chyba właśnie go dostałam.

Docieramy na peron i czekamy na przyjazd pociągu. Przyglądamy się sobie, tym razem nic nie mówiąc. Nie wyczerpały nam się tematy do rozmowy, ta cisza jest naturalna i całkowicie niewymuszona. Miodowe tęczówki Kuby zdają się jaśniejsze niż zwykle, mam wrażenie, że tańczą w nich rozżarzone iskry. Wyglądają jak przyprószone brokatem. Spoglądam na jego usta, trzyma je lekko rozchylone, są blade od zimna. Rodzi się we mnie pragnienie, aby ogrzać je własnymi. Dać im trochę swojego ciepła. Jestem bliska, aby to zrobić, jednak wtedy pociąg ze świstem wtacza się na peron i chwila umyka.

– To nasz – mówi Kuba, obracając głowę w stronę zatrzymującego się składu.

Wsiadamy do pociągu. Nie ma wolnych miejsc, zaczęły się popołudniowe godziny szczytu. Nie jedziemy jednak daleko, na następnej stacji czeka nas przesiadka na metro, a zaraz potem na inną linię. Kiedy wsiadamy w Central Line, sytuacja wygląda tak samo – wszystkie miejsca siedzące są zajęte. Przystajemy więc przy pionowej rurce, chwytamy się jej dla lepszego utrzymania równowagi. Nasze dłonie są blisko siebie, odnoszę nieodparte wrażenie, że oboje stale przysuwamy je bliżej, jakby nasze ciała coś do siebie przyciągało. Znowu rozmawiamy. Kuba porusza temat, którego na tę chwilę wolałabym uniknąć. Moja obecna sytuacja rodzinna jest

skomplikowana i nie wydaje się najlepszym zagadnieniem do omawiania na pierwszej... randce.

Opowiadam mu więc o swoim dzieciństwie. Wydaje się to idealnym rozwiązaniem, nie zbywam Kubę, a przecież moje wspomnienia z tamtego okresu są bardzo dobre.

– Szczególnie ciepło wspominam to, jak mama czytała mi przed snem – mówię, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Wracanie pamięcią do tamtych wieczorów zawsze sprawia, że spływa na mnie błogość. Jakbym znów była małą dziewczynką i pogrążała się we śnie przy dźwiękach pogodnego głosu mamy. – Wiersze... Czytała mi głównie wiersze dla dzieci, zdarzały się bajki i baśnie, ale jednak wiersze stawiała ponad wszystko. Uwielbiałam to, bo świetnie je interpretowała, zdarzało się, że nawet modulowała głos.

– *Położył się Dyzio na łące*^[3] – zaczyna Kuba, a ja spoglądam na niego z uwagą. – *Przygląda się niebu błękitnemu. I marzy: Jaka szkoda, że te obłoczki płynące... Nie są z waniliowego kremu... A te różowe...*

– *Że to nie lody malinowe...* – Dołączam się i dalej recytujemy już razem. – *A te złociste, pierzaste... Że to nie stosy ciastek... I szkoda, że całe niebo... Nie jest z tortu czekoladowego... Jaki piękny byłby wtedy świat!*

– Nie pamiętam, co było dalej. – Kuba się śmieje.

– *Leżałbym sobie, jak leżę.* – Ja za to pamiętam bardzo dobrze. – *Na tej murawie świeżej, Wyciągnąłbym tylko rękę. I jadł... i jadł... i jadł...*

Oboje zanosimy się śmiechem.

– Skąd to znasz? – pytam. – Ze szkoły?

– Mama też czytała mi Tuwima przed snem. Czasem wybierała dla odmiany Brzechwę i Konopnicką.

– *Hu! Hu! Ha! Nasza zima zła!*^[4] – Jak na zawołanie przypomina mi się wiersz poetki. – *Szczypie w nosy, szczypie w uszy. Mroźnym śniegiem w oczy prószy. Wichrem w polu gna! Nasza zima zła!* Nie wierzę, że też zasypiałeś przy Tuwimie i Konopnickiej!

– Jak wiesz, w domu się nam nie przelewało, ale mama robiła wszystko, aby zapewnić nam jak najlepsze warunki. Nie stać nas było na kupowanie książek i tomików wierszy, ale za to często chodziliśmy do biblioteki.

Kiwam głową z uznaniem. Podczas wywiadu Kuba wspomniał o nieciekawej sytuacji finansowej w domu rodzinnym i o tym, że mimo wszystko rodzice posłali go do szkoły muzycznej, bo widzieli, że ma do tego smykałkę. Nie chcieli, aby zmarnował swój talent.

– Mama bardzo lubiła poezję – dodaje Kuba. – To znaczy dalej lubi, ale teraz czyta nieco poważniejsze utwory. – Chichocze.

– Moja nawet chciała zostać poetką.

– Naprawdę? Nie powinna z tego rezygnować, jeszcze może zacząć pisać. Na takie rzeczy nigdy nie jest za późno.

Kiwam głową, nie chcę brnąć w rodzinne sprawy.

– Spędzisz z nią święta? – pyta Kuba.

– Nie. – Kręcę zapalczywie głową. – W tym roku święta spędzam z tatą i z... A-Alice. – Zaczynam się na imieniu drugiej żony taty, bo uderza mnie myśl, że niejako weszła ona na miejsce mamy. Zastąpiła ją. W życiu ojca na pewno. A w moim?

– Jesteś bardzo zżyta z tatą – stwierdza Kuba, a ja korzystam z danej mi furtki i zaczynam opowiadać o tym, że już jako nastolatka przeniosłam się do Londynu. – Ale z ciebie indywidualistka! – komentuje mój towarzysz. – Szybko wzięłaś byka za rogi.

– Prawda – przytakuję, bo nie da się ukryć, że rzeczywiście wcześniej zaczęłam o sobie decydować.

Z perspektywy czasu widzę, że był to swoisty rodzaj buntu, przez który przechodzi każdy nastolatek, tyle że w moim przypadku ten sprzeciw uaktywnił się wyjątkowo mocno. Ale dzięki rodzicom, którzy zamiast kategorycznie mi czegoś zabronić, wsparli mnie, nie skończyło się to katastrofą. Pozwolili mi realizować moje szalone pomysły, dbając przy tym o moje bezpieczeństwo.

– A ty? Myślałaś kiedyś o poezji? Jako o zajęciu?

– E, coś ty!

– Jesteś dziennikarką, obcujesz z językiem cały czas, zarabiasz przecież na życie pisaniem.

– Ale w moim wykonaniu tylko proza wchodzi w grę. – Śmieję się.

– Jesteś pewna? – draży Kuba. – A nuż masz talent, którego nie jesteś świadoma. Tym bardziej że mama karmiła cię wierszami, gdy byłaś dzieckiem.

– Coś za bardzo wiercisz dziurę w brzuchu – stwierdzam, przyglądając mu się spod zmrużonych powiek.

– Wiesz... – podejmuje, delikatnie się uśmiechając. – Utwory liryczne bardzo często świetnie sprawdzają się jako teksty piosenek. Kiedy pisane są przez wrażliwe i utalentowane osoby, stają się hitami.

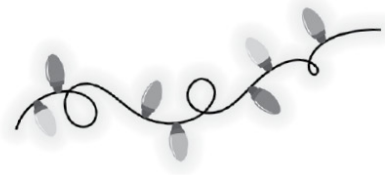
Kuba milknie, a nasze spojrzenia ponownie się spotykają. Wrażliwość świetnie opisuje moją mamę, niekończące się pokłady empatii to coś, co zawsze ją charakteryzowało.

Zasycha mi w ustach, kiedy Kuba dłużej nie odrywa ode mnie wzroku. Znów czuję to, co wtedy, gdy staliśmy na peronie. Jestem przekonana, że tym razem któreś z nas pokona dzielący nas dystans. Przestrzeń między nami przesiąknięta jest napięciem. Ale ta kolejna szansa na krok do przodu w naszej raczkującej relacji pryska, kiedy pociąg gwałtownie hamuje. Odsuwamy się od siebie, skład staje, drzwi się otwierają. To nasz przystanek docelowy. Wysiadamy.

[2] Ch. Rea, *Driving Home for Christmas* (sł. Ch. Rea). Kolejne fragmenty pochodzą z tej samej piosenki.

[3] J. Tuwim, *Dyzio Marzyciel* [w:] www.poezja.org [dostęp: 2.03. 2022]. Kolejne fragmenty pochodzą z tego samego wiersza.

[4] M. Konopnicka, *Zła zima* [w:] literat.org.edu.pl [dostęp: 2.03.2022]. Kolejne fragmenty pochodzą z tego samego wiersza.



16.

Ze stacji metra do Winter Wonderland jest niedaleko. Docieramy tam niespiesznym krokiem w zaledwie kilka minut. Mimo że jest środek tygodnia, przed wejściem do miasteczka ustawiła się kolejka. Nie jakoś przerażająco długa, ale na jej podstawie łatwo sobie wyobrazić, co dzieje się tutaj w weekendy. Posuwamy się powoli do przodu, po dziesięciu minutach przestępuję z nogi na nogę, chłód zaczyna dawać mi się we znaki. Owijam ciaśniej szalik wokół szyi.

– Zimno – mówi Kuba, pocierając dłonie. – Dobrze, że przypominałaś mi o zabraniu rękawiczek.

– Mówiłam, że z jakiegoś powodu jest tutaj pioruńsko zimno. – Uśmiecham się.

Po kolejnych kilkunastu minutach wreszcie zostajemy wpuszczeni na teren miasteczka. Choć zapadł już zmrok, wcale nie jest tutaj tak ciemno. Kolorowe kramy z jedzeniem i słodyczami są dobrze oświetlone. Dookoła roi się od karuzel i atrakcji rodem z wesołego miasteczka, pośrodku pyszni się diabelski płyn. Wszystko podświetlone, nie brakuje świątecznych lampek. Jest gwarno. Różne melodie mieszają się ze sobą, raz jedną słysząc głośniej, za chwilę inną. Harmider potęgują śmiechy i okrzyki, które dolatują nas niemal z każdej strony.

– Raj dla dzieciaków – komentuje Kuba, kiedy przechadzamy się po miasteczku.

– Masz ochotę wskoczyć na którąś karuzelę? – pytam.

– Nie, nie, to nie dla mnie. – Śmieję się, gestykulując przy tym rękami, jakbym miała zaraz na siłę wsadzić go w jakiś wagonik.

Rozbawia mnie to, jak bardzo się wzbrania, najwyraźniej nie przepada za tego typu rozrywkami. I dobrze, bo sama też nie jestem fanką wesołego miasteczka, choć muszę przyznać, że jako dziecko je uwielbiałam. Rodzice zabrali nas kiedyś do parku rozrywki, daleko mu było do tego, co teraz oferują takie miejsca, ale bawiliśmy się przednio. Do dziś pamiętam uśmiechy wymalowane na dziecięcych twarzach Agaty i Arka, kiedy razem wirowaliśmy na karuzeli. Ich podekscytowany pisk niemal dźwięczy mi w uszach. To był cudowny czas. Czas, kiedy mogliśmy być razem, nic nas nie dzieliło.

Mijamy szereg karuzel, przyglądając się rozradowanym dzieciom. Zauważam, że nie brakuje też amatorów tych atrakcji wśród dorosłych. Stoją w kolejkach ze swoimi pociechami i czasem wyglądają na bardziej rozemocjonowanych niż one same.

Jest mi coraz chłodniej, ale nie mam zamiaru narzekać, przecież jesteśmy w zimowym miasteczku. Kiedy jednak przebiega obok nas dwóch chłopców dzierżących w dłoniach rożki z lodami, wzdrygam się. Chyba bym zamarzła, gdybym jeszcze na dokładkę zdecydowała się na taki deser. Za to maluchy sprawiają wrażenie, że zimno ich nie dotyczy. Liżą lody z zadowoleniem, mając w nosie, że poluzowały się im szaliki.

– Nie mogę na to patrzeć – stwierdzam na głos, wtulając mocniej twarz w kołnierz płaszcza.

– Taki z ciebie zmarzluch? – śmieje się Kuba, po czym ujmuje w palce owinięty wokół mojej szyi szalik i zaciąga mi go aż po nos.

Nasze spojrzenia się krzyżują, sąsiad nie odrywa dłoni, przeciwnie, poprawia szalik, jakby chciał mieć pewność, że szczelnie okrywa on moją zmarzniętą twarz. Robi mi się cieplej, niemożliwe, że od tej cienkiej warstwy materiału, ale tak sobie tłumaczę gorąc, który nagle mnie oblewa.

Nie możemy dłużej tak stać, blokujemy przejście, ciągle ktoś nas szturcha, biegające dzieci wręcz popychają.

Kuba odsuwa się nieznacznie ode mnie i ruszamy dalej. Kiedy tracę jego bezpośrednią bliskość, od razu robi mi się chłodniej. Mam ochotę chwycić go pod rękę, ale czuję, że to za dużo. Na takie gesty muszę jeszcze trochę poczekać.

W końcu zauważam, że dotarliśmy do Real Ice Slide. Tor saneczkowy oferuje kilka śnieżnych linii, po których można ślizgać się na dmuchanych kołach przypominających małe pontony. To jedna z najfajniejszych atrakcji, jakie miasteczko ma do zaproponowania. I przede wszystkim typowo zimowa. Na tej liście znajduje się także lodowisko, ale jednak ślizgawka – co tu dużo mówić – jest mniej banalna.

– To jest czad – wyrokuje.

– A tu się zgodzę. – Kuba się uśmiecha.

Przystajemy i przez chwilę obserwujemy, jak mali i duzi zjeżdżają na pompowanych kołach. Ich piskliwe śmiechy niosą się głośno.

Przechodzimy dalej i znów się na moment zatrzymujemy. Tym razem spoglądamy na zatłoczone lodowisko. Gdyby nie było tak oblegane, upierałabym się, abyśmy pojeździli na łyżwach, ale widok tłumu mnie zniechęca. W końcu docieramy do nieco spokojniejszej części miasteczka, znajduje się tu szereg barów.

– Usiądziemy gdzieś? – proponuje Kuba.

– Nawet wiem gdzie – oświadczam.

Kluczymy, aż znajduję THOR'S Tipi Bar. Bije z niego ciepłe żółte światło, w wystroju dominuje jasne drewno. Sprawia wrażenie przytulnego i przede wszystkim ciepłego, choć tak jak pozostałe knajpki jest lokalem na świeżym powietrzu.

– Bar jest inspirowany Lapończykami i ich kulturą – mówię, kiedy udaje nam się zająć z trudem wypatrzone wolne miejsce. – Mają tutaj świetne grzane wino i przepyszną gorącą czekoladę. Jest też zwykłe piwo i prosecco.

Decydujemy się na słodko-kwaśnego grzańca, głównie dlatego, że chcemy się ogrzać. Wybór jest bardzo trafny. Napój mi smakuje i już po kilku łykach robi mi się cieplej. Rozmawiamy i siedzimy tuż obok siebie, niemal stykamy się kolanami. Bliskość Kuby nie jest bez znaczenia, z minuty na minutę rozgrzewam się coraz bardziej. Pogawędka się klei, wina ubywa, a ja z każdym łykiem grzańca mam coraz większą ochotę przełamać ten niewielki dystans, który ciągle jeszcze nas dzieli.

Zamawiamy drugą kolejkę grzańca, wybieramy jednak inny smak. Wino jest bardziej cierpkie, ale też wpasowuje się w mój gust. Już dawno poluzowałam szalik, teraz jeszcze zdejmuję nauszники. Po chłodzie ze spaceru nie ma nawet śladu. Moje odczucia nie są odosobnione, bo Kuba nawet rozpiął kurtkę. Zastanawiam się, czy grzaniec tak świetnie spełnił swoje zadanie, czy mojego towarzysza, podobnie jak mnie samą, rozgrzewa coś więcej niż tylko ciepły alkohol. Kilkukrotnie zmieniam zdanie na ten temat. Raz czy dwa wydaje mi się, że Kuba zamierzał mnie pocałować. Pochylił się i zaglądał mi w oczy, ale na tym się skończyło. Nie mam pojęcia, co go powstrzymuje, ale staje się to nieznośne. Mam ochotę wziąć sprawy w swoje ręce, zrobić ten krok, wykazać się inicjatywą.

Może jest zbyt nieśmiały?, przychodzi mi na myśl. Albo to dżentelmen, jakich teraz ze świecą szukać. Nie jest pewny moich odczuć i boi się zrobić coś, co okaże się niewłaściwe. Byłoby to absolutnie urocze, nie ma nic piękniejszego niż sytuacja, kiedy mężczyzna liczy się z pragnieniami kobiety.

Czas płynie bardzo przyjemnie, ale między nami nic się nie zmienia. W końcu muszę iść do toalety. Kolejka jest bardzo długa, nie mam jednak innego wyjścia, jak odstać swoje.

– To chyba na razie wystarczy nam tego wina – odzywa się Kuba, kiedy wreszcie wracam do stolika. – Bo spędzimy resztę wieczoru, stojąc w kolejkach do toalety.

– Prawda.

Zbieramy się i na nowo zaczynamy spacerować po miasteczku. Ruch i gwar nie maleją, docieramy znów do Real Ice Slide. Piski śmiazków

ślizgających się po torze saneczkowym z łoskotem atakują nasze uszy.

– Zjedziemy? – rzuca nieoczekiwanie Kuba.

– Tym czymś? – Wskazuję na koło przypominające ponton.

Sąsiad kiwa głową.

– No dobra! – zgadzam się.

Ustawiamy się w ogonku oczekujących na skorzystanie z atrakcji. Nie jest mi zimno, wciąż grzeje mnie wypite wino. Albo czas spędzony z Kubą. Albo jedno i drugie.

Kiedy przychodzi nasza kolej, mężczyzna przy wejściu, nie pytając nas o zdanie, jak chcemy zjechać – razem czy oddzielnie – przygotowuje dla nas jedno napompowane koło. Jest nieco większe niż to, które udało mi się do tej pory zaobserwować, wygląda na dwuosobowe.

Kuba wskakuje pierwszy i zachęca mnie, abym do niego dołączyła. Bez zbędnego gadania siadam z przodu. Jesteśmy bliżej siebie niż do tej pory, zalewa mnie jeszcze większe ciepło. Czuję je na całym ciele. Nie zaprzęgam sobie jednak tym głowy zbyt długo, bo ponton rusza. Wydaję z siebie przeciągły pisk, nie byłam na to gotowa, poza tym zaskakuje mnie szybkość, z jaką wystartowaliśmy.

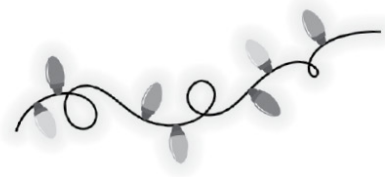
Ślizgamy się po lodzie, szybko nabieramy większej prędkości, już nawet nie zwracam uwagi na to, że cały czas piszczę. Drobne kryształki lodu wzbijają się w powietrze, po czym opadają mi na twarz. Słyszę śmiech Kuby. Jest głośny i wesoły, wyłapuję też w nim trochę strachu. Mam tak samo, zjazd sprawia mi frajdę, ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że ani trochę się nie boję. Z boku ślizgawka nie wygląda tak groźnie, wydawała się znacznie łagodniejsza.

Kiedy wchodzimy w zakręt, piszczę jeszcze głośniejsze i łapię za uchwyty przy kole. Mam wrażenie, że zaraz wypadnę z pontonu, jednak po chwili czuję, jak ręka Kuby oplata się wokół mojego pasa. Jedną ręką trzyma się uchwytu, drugą mocno mnie obejmuje. Dodaje mi to pewności i kiedy pędzimy dalej, śmiejemy się na pełne gardło.

– Ale obłęd! – sapię z ekscytacji, kiedy docieramy do końca toru.

– Rewelacja! – Kuba wydaje się nie mniej zadowolony.

Wygrzebujemy się z koła, uśmiechy nie schodzą nam z ust. Kurtki mamy oprószone lodem, rękawiczki mokre. Ciała rozgrzane, oczy iskrzą się blaskiem, którego nie sposób nie zauważyć. Nasze twarze są blisko, wystarczy, bym stanęła na palcach, a dosięgnę ust Kuby. Albo żeby on się pochylił, tylko trochę, wręcz odrobinę.



17.

S późniam się do redakcji. Nic wielkiego się jednak nie dzieje, naczelna pozwala nam na pewną dozę niezależności.

Zajmuję swoje miejsce przy komputerze, duchem ciągle jestem w miasteczku Winter Wonderland. To był naprawdę przyjemny wieczór. Zimowy, ale pełen emocji, które rozgrzały mnie bardziej niż niejeden upalny dzień.

Po ślizgawce, która – nie będę udawać – dostarczyła mi mnóstwa frajdy i wydaje mi się, że Kubie również, zjedliśmy hot dogi z cebulką. Może mało romantyczna kolacja, ale mam wrażenie, że w towarzystwie Kuby każdy posiłek smakowałby mi tak samo. To przede wszystkim na lokatorze zza ściany koncentruje się moje ciało, ma w nosie tak trywialną czynność jak jedzenie.

Zrobiło się późno, więc przyszła pora, aby wrócić do domu. Chwilę jeszcze rozmawialiśmy pod drzwiami mojego mieszkania.

Nie pocałowaliśmy się. Ani wtedy, ani po zabawie na torze saneczkowym. W metrze, w drodze do i z miasteczka też nie. I choć w głębi duszy bardzo tego chciałam, nie czuję się zawiedziona. Koniec końców zbliżyliśmy się do siebie. Poznaliśmy się lepiej, odkryliśmy, że dobrze nam się spędza razem czas. Nie ma sensu niczego przyspieszać, niech ta

znajomość rozwija się w swoim naturalnym tempie. Wiem, że tak będzie najlepiej i nie ma potrzeby ulegać chwilowym pragnieniom.



- Hej, *baby!* – Leo zwała się na wolny fotel obok mojego stanowiska.
- Cześć! – odpowiadam, a na moim biurku ląduje papierowy kubek z Costy. Dziś znów mam pingwinka z czerwonym szalikiem.
- Skinny cappuccino – informuje przyjaciel.
- Super, dzięki! – Upijam łyk gorącej kawy. – Jak leci?
- A dobrze. Bez szaleństw, ale czasem trochę spokoju nawet mi się przyda. – Śmieje się wesoło.
- Przyniosłam pierniczki. – Wskazuję na aneks kuchenny na końcu pomieszczenia. – Są na blacie.
- I dopiero teraz mi o tym mówisz? – Leo podrywa się z miejsca. Za moment wraca z garścią ciasteczek.
- Napiekłam ich jak wariatka – oznajmiam.
- Bardzo dobre – stwierdza przyjaciel, pakując do ust kolejny kawałek. – Serio, bardzo dobre.
- Dzięki.
- Moja babcia piekła podobne. Nie wiem, czy ci mówiłem, ale gdy jeszcze żyła, to jeździliśmy co drugi rok na święta do Polski – oświadczam.
- Tak, tak, wspominałeś wiele razy.
- I piekła bardzo podobne – powtarza z pełną buzią. – Przypomniałaś mi dzieciństwo, mmm. – Na jego twarzy maluje się błogi wyraz zadowolenia.
- Jeszcze na Wigilię robiła taką kaszę ze śliwkami na słodko, ale to akurat było obrzydliwe.
- Och, za tą kaszą też nie przepadam. Mama kilka razy zrobiła, ale nikt nie chciał tego jeść, więc dała sobie spokój.
- Fuj, straszne. – Leo udaje, że się wzdryga, a potem zjada następnego pierniczka. Popija go kawą, po czym pyta: – A jak tam twoi cieplutcy sąsiedzi?

– Przestań. – Śmieję się głośno. Określenie, jakiego użył, nie sieje we mnie zgorzienia. W ustach każdej innej osoby pewnie zabrzmiałoby źle, ale nie w jego. W jego tylko mnie rozbawia, bo wiem, że nie ma tu grama pogardy, jest jedynie stonowana autoironia. Jak zwykle w takich chwilach podziwiam dystans przyjaciela do samego siebie. Teraz coraz mniej jest ludzi, który potrafią spojrzeć na siebie z przymrużeniem oka. – Paweł i Kuba nie są gejami – zapewniam.

– Pytałaś ich o to?

– Nie – mówię przeciągle, a Leo unosi wysoko brwi. – Ale wczoraj byłam z Kubą na...

Przyjaciel nadstawia uważniej uszu.

– Randce – kończę.

Brwi fotografa unoszą się jeszcze wyżej.

– Na randce? – powtarza, jakby nie był pewny, czy dobrze usłyszał.

Nie od razu wiem, co odpowiedzieć, ale czym innym było wczorajsze spotkanie, jak nie, do cholery, randką!?

– Tak – rzucam krótko.

– Gdzie?

– W Winter Wonderland.

– I jak?

– Co to? Przesłuchanie?

– Tak jakby. – Leo kładzie łokieć na sąsiednim biurku i podpira głowę na dłoni. Przygląda mi się badawczo.

– Daj już sobie spokój – proszę. – Tym razem się pomyliłeś.

– Niemożliwe. – Kręci głową, a ja pry cham pod nosem z rozbawieniem.

– Pomyliłeś się, Leo. – Rozkładałam bezradnie ręce. – Czasem tak bywa, to naprawdę żadna ujma na honorze.

– Umówiliście się na kolejną randkę? – drąży.

– Jeszcze nie.

– Jeszcze? – Przyjaciel znów unosi wysoko brwi.

– Mieszkamy obok siebie, możemy widywać się codziennie.

– Jakoś do tej pory tak nie było.

– Chcesz mnie zniechęcić? – Zaczynam się wreszcie złościć. – Czy jaki masz cel w tych wszystkich pytaniach?

– Oj, nie, skąd, po prostu rozmawiamy. A ja uważam, że to geje. I w dodatku para.

Wypuszczam głośno powietrze z płuc. Nie zgadzam się z Leo, ale przecież faktem jest, że wczoraj nie zrobiliśmy z Kubą tego wyraźnego kroku w przód.

– Spałaś z nim? – rzuca przyjaciel.

– Ciszej, Leo – karcę go.

Cała redakcja nie musi słyszeć naszej rozmowy.

Fotograf unosi dłonie w przeproszającym geście, a zaraz potem przysuwa się bliżej mnie. Nadstawia uszu, wyraźnie wyczekując, że zaspokoję jego ciekawość.

– Przecież to była nasza pierwsza randka – mówię.

Nie żebym była pruderyjna, ale rozwiązłość seksualna też nie leży w mojej naturze. Po prostu uważam, że pewne rzeczy przychodzą same, dzieją się niewymuszenie, raz wcześniej, raz później, i to jest – według mnie – najbardziej w porządku.

– I co z tego? – Leo nie odpuszcza. – Przecież jesteście dorośli, a dorośli ludzie uprawiają seks.

– Niekoniecznie na pierwszej randce.

– Ale się zdarza.

– No to się nie zdarzyło – ucinam.

– A całowaliście się? – docieka dalej.

– Tak. – Tym razem fałszuję rzeczywistość, aby wreszcie ukrócić irytujące spekulacje przyjaciela co do orientacji seksualnej moich sąsiadów. Zaczynają mnie coraz bardziej drażnić.

– O-o-o. – Leo wydaje z siebie przeciągły okrzyk zdziwienia. – Tego się nie spodziewałem.

– Mówiłam ci, że to nie są geje.

Przyjaciel bębni palcami w blat stołu, nie przestając mi się przyglądać. Udaję, że tego nie widzę. Wlepiam wzrok w ekran swojego komputera.

– No dobra, może faktycznie się pomyliłem – przyznaje w końcu, a mi spada kamień z serca. Już myślałam, że nie da mi spokoju z tymi swoimi teoriami.

– Nic się nie dzieje, mój drogi, zdarza się nawet najlepszym. – Puszczam przyjacielowi oko. Leo reaguje uśmiechem, a potem pyta:

– Podoba ci się?

Odpowiadam kolejnym mrugnięciem i znów obracam się w stronę komputera.

– No i super! Wreszcie jakiś facet w twoim życiu. Brawo! – Klaszcze w dłonie przesadnie głośno. A potem ponownie nachyla się ku mnie, kładzie dłoń na moim przedramieniu i ściska je w przyjacielskim geście. – Cieszę się z tego.

– Ja też – odpowiadam, myśląc o tym, jakie to szczęście mieć obok siebie człowieka, który raduje się twoim powodzeniem.

– To rozumiem, że zabierasz go na *Christmas party*? – Leo prostuje się w fotelu i sięga po kubek z kawą.

O, ja! W ferworze świątecznych przygotowań redakcyjna impreza przedświąteczna zupełnie wyleciała mi z głowy. Naczelną zarezerwowała miejsce w oldschoolowym pubie nieopodal biura, wychodzimy do niego co roku. Panuje kompletna dowolność, można przyjść samemu, ale osoby towarzyszące też są mile widziane.

– Sama nie wiem – mówię.

– Jak to nie wiesz? – prycha Leo. – Facet ci się podoba i masz wątpliwości, czy go zaprosić?

– Na to wygląda – mrużę pod nosem.

– Dziewczyno, jak to się mówi, czekaj... – Fotograf przez chwilę się zastanawia, po czym rzuca: – Kuj żelazo, póki gorące!

Śmieję się. To takie typowe dla Leo, czerpanie z życia pełnymi garściami. Przyjaciel nie przepuszcza żadnej okazji, woli żałować, że coś zrobił, niż żałować, że czegoś nie spróbował zrobić.

– Zobaczymy – kwituję.

– Zaproś go, nawet się nie zastanawiaj – rzuca kumpel, po czym podnosi się z fotela. – Te pierniczki to naprawdę wyszły ci pyszne. Wezmę sobie jeszcze kilka – oświadcza.

– Często się do woli – bąkam, powoli wsiąkając w obowiązki.

Pracuję bardzo wydajnie, robota niemal pali mi się w dłoniach. Jeden wpis za drugim, dłuższy artykuł, przerwa na szybki lunch, podczas którego towarzyszy mi Leo. Znow wierce mi dziurę w brzuchu o Kubę. Opowiadam mu nieco o nim, o tym, jaki jest, że wydaje się ciepłym i wrażliwym człowiekiem, a przy tym opiekuńczym i godnym zaufania. Przyjaciel domaga się rzeczowych dowodów na wygłaszane przeze mnie twierdzenia. Oczywiście takowych nie mam, znam sąsiada zbyt krótko, aby mieć pewność, jaką w rzeczywistości jest osobą. Ostatecznie muszę przyznać, że wszystko, co mówię, to jedynie efekt wrażenia, jakie sąsiad na mnie zrobił. Potem jeszcze chwilę dyskutujemy o singlu Kuby, który już niebawem ma się pojawić. Oboje kwitujemy rozmowę tym, że podbija on serca krytyków. Nasze podbił bezapelacyjnie. Przychodzi mi do głowy, że chciałabym wybrać się z Kubą na taką wyprawę, podczas której zbierałby potrzebne mu do tworzenia materiały. Wyobrażam sobie, że pojechalibyśmy do lasu, może nawet byśmy spędzili noc pod namiotem. Po zmroku w leśnej gęstwinie z pewnością rozbrzmiewają inne dźwięki niż za dnia. Albo wyjechalibyśmy w góry. Znow się zapędzam, dzieje się to, ilekroć myślę o sąsiedzie, i trudno mi to opanować.

Po przerwie przeglądam kolejne materiały, wszystko bardzo sprawnie układa mi się w zgrabną całość, o piętnastej jestem wyrobiona z zadaniami. Naczelną zwalnia mnie wcześniej do domu, nie ma sensu, abym siedziała przy biurku, skoro cała robota została wykonana. Docieram do mieszkania przed szesnastą. Witają mnie trzy pełne talerze pierniczków, które czekają na udekorowanie. Postanawiam zająć się nimi dzisiaj.

Ale najpierw robię sobie herbatę, na zewnątrz wciąż jest bardzo zimno, podróż do domu mnie wychłodziła. Decyduję się na napój bez żadnych dodatków, tym razem mam ochotę na mocną porcję goryczki.

Wreszcie zabieram się do ubijania białek na lukier. Pamiętam, aby przygotować gęstszy niż ten, który robiłam ostatnio. Wychodzi mi gładki i błyszczący. Przekładam gotową masę do rękawa cukierniczego. Siadam ze wszystkim przy stole. Gdy tylko biorę pierniczka w dłoń, przed oczami staje mi Agata, jeszcze jako mała dziewczynka. Siostra przygryza zabawnie język i lukruje upieczone przez mamę ciasteczka. Naprawdę ładnie jej to wychodzi. Arek paprze cukrową masą wszystko dookoła. Mama się nam przygląda i błogo przy tym uśmiecha.

Odkładam pierniczka na stertę pozostałych, czując, że już dłużej nie mogę zwlekać. Obiecałam sobie przecież, że spróbuję. Muszę w końcu to zrobić.

Sięgam po komórkę, trochę apatycznie, chyba nawet z przestachem, jakbym się obawiała, że jej obudowa jest skażona czymś, co mogłoby mi zaszkodzić. Oczywiście to tylko moja wyobraźnia, ale mimo wszystko komórka wydaje się cięższa niż zwykle. Ważę ją przez moment w dłoni, w końcu zaczynam przeglądać listę kontaktów. Szukam numeru telefonu do siostry, nie ma go w ostatnio wybieranych, nie dzwoniłam do niej całe miesiące. Zrobiły się już z tego nawet lata.

Wreszcie znajduję numer. Przyglądam mu się, jakby mi nie pasował. Zdążyłam zapomnieć ciąg cyfr, zresztą dość łatwo o to w obliczu wszechobecnej cyfryzacji. Ale wiem, że się zgadza, nie ma powodów, aby było inaczej. Wzdycham, bo myśląc o tym wszystkim, tylko odwlekam w czasie moment kliknięcia na zieloną słuchawkę. Nie da się zaprzeczyć, że zwyczajnie się denerwuję. Nie pomaga mi wspomnienie naszych ostatnich rozmów, nie były niczym innym niż kłótniami. To prawda, ona głównie mnie atakowała, ale nie pozostawałam jej dłużna. W tej chwili jak nigdy wcześniej żałuję wyrzuconych w złości słów, padło ich zbyt wiele i przede wszystkim były niepotrzebne. Wiem, że ją zabolaly, zraniły tak jak te wykrzyczane przez nią w moją stronę.

Wybieram w końcu numer siostry, odnoszę wrażenie, że jakąś nadprzyrodzoną mocą, bo wciąż mam mnóstwo obaw, które dosłownie mnie paraliżują. Czekam na połączenie z ciężko bijącym sercem. Kiedy pojawia się pierwszy sygnał, zaczynam głębiej oddychać, powietrze

z głośnym świstem wydostaje się z moich płuc. Słyszę kolejny sygnał i następny, ale nikt się nie zgłasza. Posapuję coraz ciężiej. Mam ten sam numer telefonu od lat, Agata musi wiedzieć, że dzwonię właśnie ja. Przychodzi mi na myśl, że może siostra zmieniła swój i ten, pod który się teraz dobijam, należy już do kogoś innego.

Kolejne sygnały wybrzmiewają i nic więcej się nie dzieje. Nie wiem, czy powinnam uparcie czekać, czy już wystarczy, zrobiłam swoje, wypełniłam daną sobie obietnicę i mogę zrezygnować. Szalę przeważa myśl, że Agata może się wahać, czy odebrać, tak jak ja chwilę temu wahałam się, czy do niej zadzwonić. Choć boję się tej rozmowy, to w gruncie rzeczy nie chcę zaprzepaścić szansy, jeśli takowa istnieje. Pragnę ją nam podarować.


Niestety nie udaje się. Siostra nie odbiera, połączenie samoistnie wygasa. Może nie słyszała telefonu albo nie mogła po niego sięgnąć. Może oddzwoni, gdy będzie wolna?

Przypominają mi się te wszystkie razy, kiedy nie odebrała. Po pewnym czasie się poddałam, bezowocne próby kontaktu z Agatą stały się dla mnie nie tylko męczące, ale też zwyczajnie frustrujące. W końcu zrobiłam to, czego ewidentnie pragnęła – przestałam się z nią kontaktować. A ona nigdy nie zadzwoniła.


Z żalem odkładam telefon. Najwyraźniej nic się nie zmieniło, siostra nadal nie chce ze mną rozmawiać. Nie łudzę się, że oddzwoni, skoro nie zrobiła tego nigdy wcześniej. Zaczynam nawet wątpić, że sytuacja kiedykolwiek się zmieni i Agata znów zechce się ze mną komunikować.

Wzdycham. Przynajmniej spróbowałam, mogę mieć czyste sumienie.

Włączam radio, oczywiście rozgłoszę Magic. Nie mam zamiaru psuć sobie świątecznego nastroju z powodu siostry. Już wystarczająco długo, między innymi przez jej zachowanie, unikałam tego, co zawsze w grudniu sprawiało mi mnóstwo radości. Zaczynam nucić pod nosem pogodne świąteczne melodie i biorę się do lukrowania pierników. W domu słuchaliśmy też kolęd, ale z wiadomych względów takowe nie lecą za często w angielskim radiu. Przemyka mi przez myśl, by odpalić laptopa i puścić jedną czy dwie. Zamiast tego piszę SMS-a do taty:

 Zadzwoiłam do Agaty. Nie odebrała...

Odpowiedź przychodzi chwilę później.


 Córeczko, bardzo mi przykro. Ale pamiętaj, że często nie mamy żadnego wpływu na decyzje innych.

Kiwam głową po przeczytaniu wiadomości, bo tata ma rację, tak właśnie wygląda nasze życie. I może tak jest lepiej. Nie wiemy, co jest dobre dla drugiego człowieka, czasem zwyczajnie się mylimy. Może Agata właśnie tego potrzebuje – odizolowania się? Może tylko tak potrafi funkcjonować.

Wracam do lukrowania ciasteczek. Po chwili znów przychodzi SMS. Sięgam po telefon przekonana, że to kolejna wiadomość od taty, ale zostaję mile zaskoczona. Kuba sobie o mnie przypomniał.

 Cześć, jak Ci minął dzień?


Wiadomość nie należy do długich ani wylewnych, ale jest. Sąsiad o mnie myśli. Odpisuję.

 Cześć, dzięki, że pytasz. Całkiem w porządku, choć jak zwykle w redakcji było co robić.
Dekoruję pierniki :)

Odpowiedź przychodzi, zanim zabieram się do lukrowania kolejnego ciasteczka.

 Te dla mnie? :)

Uśmiecham się i znów do niego piszę.

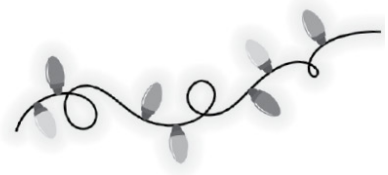
 Między innymi :)

Przez chwilę panuje cisza, sięgam po kolejnego pierniczka. Muszę przyznać, że każdy następny wychodzi ładniejszy. Wreszcie dostaję nową wiadomość od Kuby.

 Zacieram ręce :)

Wymieniam z sąsiadem jeszcze kilka SMS-ów. Nie pada propozycja spotkania, ale nieważne. To zapewne kwestia czasu. Poza tym ma mnie za ścianą, więc w każdej chwili możemy się umówić.

Z tym pozytywnym nastawieniem siedzę przy stole do późnego wieczora, aż wszystkie pierniki zostają udekorowane.



18.

Do świąt coraz bliżej, pora zrealizować listę zakupów, którą przygotowałam kilka dni temu. Wiele produktów śmiało mogę już kupić. Zamawiam je online z dostawą do domu, całość jest zbyt ciężka, abym sama je przyniosła. Z ubera też nie uśmiecha mi się korzystać, kiedy będę obładowana siatkami.

Pozostaje mi odwiedzić polski sklep. Angielskie supermarkety oferują bogaty asortyment „naszego” jedzenia: wędlin, nabiału, a także suchych produktów, ale muszę zamówić pierogi. Ustaliłam przecież, że nie będę się podejmować ich własnoręcznego przygotowania.

Polskich sklepów w Londynie jest na pęczki. Były obawy, że po brexicie znaczna ich część upadnie, ale tak się nie stało. Wciąż dobrze prosperują, jedynie ceny nieco wzrosły. Najbliższy znajduje się na Dalston, to całkiem niedaleko od dzielnicy, w której mieszkam. Postanawiam więc wybrać się do niego zaraz po pracy.

Dziś jestem redaktorem wydania, więc mam sporo na głowie. Przed szesnastą i tak raczej nie skończę pracy, zatem przerwę na lunch wykorzystuję na rozprostowanie kości i krótki spacer. Wkładam płaszcz i wychodzę z redakcji. Naprzeciwko biurowca, w którym mamy siedzibę, znajduje się kilka fajnych lokali z jedzeniem na wynos. Decyduję się na japońskie Wasabi Sushi & Bento i biorę kubek ryżu z kurczakiem

teriyaki. Kiedy wracam do biura, okazuje się, że naczelna ma interesanta. Świadczą o tym zamknięte drzwi do jej pokoju, które zwykle stoją otworem, ale także przebijający się przez nie odgłos rozmowy.

Siadam przy swoim stanowisku i zabieram się do lunchu, ale dolatujący mnie męski głos z gabinetu Oliwii sprawia, że jedzenie staje mi w gardle. Jest irytująco znajomy. Nie, tylko mi się wydaje, mówię sobie w duchu, i usiłuję się skupić na jedzeniu. Jednak z każdym kęsem jestem coraz bardziej pewna, kto odwiedził szefową. Grzebię w kubelku pałeczkami. Doskonale wiem, pod jakim pretekstem się tutaj zjawiał. Zawsze jest taki sam. Próbuję też sobie przypomnieć, kiedy ostatnio zawitał w redakcji. Chyba minęło już kilka miesięcy. Pierwszy raz zjawiał się tu dosłownie kilka dni po przeprowadzce, potem już w odstępach nieco dłuższych, kilkutygodniowych. Ostatnia przerwa była na tyle długa, że wydawało mi się, iż dał sobie wreszcie spokój.

Podnoszę się z miejsca. Najlepiej będzie, jeśli zniknę z redakcji, zanim Andrej opuści pokój naczelnej.

– Zaraz wrócę – zwracam się do Kamili, która siedzi obok mojego biurka. Jako redaktor wydania mam sporo obowiązków i moja nieobecność może zaniepokoić nawet tak wyrozumiałą szefową jak nasza przełożona. – Gdyby Oliwia pytała, jestem niedaleko.

– Jasne – odpowiada krótko dziewczyna.

Wychodzę pospiesznie z redakcji. W biurowcu nie ma zbyt wiele miejsc, w których mogłabym usiąść i poczekać, aż Andrej sobie pójdzie, ale na parterze jest wnęka, która już kilka razy ratowała mnie z opresji. Jest ciasna, ale na uboczu, i co najważniejsze, widać z niej wejście do budynku. Zaszywam się w niej i czekam.

Moi współpracownicy nie mają pojęcia, że byliśmy z Andrejem parą, wtedy jeszcze skład redakcji Londyn PL wyglądał zupełnie inaczej. Naczelna z kolei jest zbyt pochłonięta pracą, aby zwracać sobie głowę takimi sprawami jak intymne związki swoich podwładnych. Nawet teraz jest przekonana, że Andrej pojawia się u niej jedynie po to, aby wymienić informacje. Nasze redakcje od dawna są ze sobą zaprzyjaźnione. Ale ja

wiem, że to tylko część prawdy. Zresztą sam Andrej wyznał mi kiedyś, że za mną tęskni i czasem po prostu musi przyjść i mnie zobaczyć.

Stoję we wnęce długo, za długo. Powinnam już wrócić do pracy, ale naprawdę nie chcę się z nim spotkać. Ze wszystkim zdążę, uspokajam samą siebie, najwyżej zostanę po godzinach, to żaden problem. Mimo to zaczynam niecierpliwie chodzić od ściany do ściany, mam do dyspozycji zaledwie dwa metry kwadratowe. Non stop zerkam na wyjście z budynku, Andreja jak nie było, tak nie ma. Kręcę się jeszcze niespokojnie, bo czas nieubłaganie mija, a robota stoi w miejscu. Wreszcie z transu wyrывa mnie wibrująca komórka. Zerkam na wyświetlacz, dzwoni Oliwia.

– Zuza, gdzie ty jesteś? – pyta bez wstępu, kiedy odbieram.

– W toalecie, zaraz wracam – mówię, ostrożnie wychylając się zza winkła, bo skoro naczelna do mnie telefonuje, musiała już zakończyć spotkanie z Andrejem.

– A dobrze, okej, myślałam, że jeszcze z lunchu nie wróciłaś, a trzeba zaakceptować kolejne materiały na stronę.

– Tak, tak, wiem, zaraz będę, już właściwie wracam do biura – zapewniam i wtedy słyszę ciężkie kroki. To Andrej.

Kończę połączenie i chowam się we wnęce, aby mnie przypadkiem nie dostrzegł. Obserwuję, jak wychodzi z budynku. Odnoszę wrażenie, że ma zgarbione ramiona. Robi mi się go żal. Zawód to paskudne uczucie, wiem o tym aż za dobrze, a musiał go doświadczyć, skoro nie udało mu się mnie spotkać. Wzdycham, bo pamięć mimowolnie podsyła mi dobre wspomnienia, przypomina mi chwile, które spędziłam z Andrejem. Byłam z nim szczęśliwa, nie mogę zaprzeczyć. Właściwie dopóki nie przyłapałam go na zdradzie, układało się między nami wręcz idealnie. Chłopak zapewniał mnie, że był to jednorazowy wyskok, którego żałuje jak niczego w swoim życiu. Wzdycham jeszcze raz, bo choć minęło wiele lat i bardzo mnie wtedy zranił, wciąż ciepło go wspominam. Zrywam się z miejsca, kiedy przyłapuję się na tym, że znów o tym myślę – o tym, że może powinnam była dać mu szansę, kiedy o nią prosił. Pędzę do biura, starając się zagłuszyć głos w mojej głowie. Podszeptuje mi on, że nadal mogę to

jeszcze zrobić, że ciągle nie jest za późno. Dzisiejsze pojawienia się Andreja w redakcji tylko to potwierdza. Dopiero kiedy zatapiam się w obowiązkach, udaje mi się przestać o tym myśleć.

Mimo opóźnienia ostatecznie kończę pracę o czasie. Postanawiam więc zgodnie z porannym planem udać się jeszcze przed powrotem do domu do polskiego sklepu. Rzadko w nim bywam, ale dobrze pamiętam drogę. Zamawiam pierogi i skuszona zapachem mieszanki suszonych wędzonych owoców, postanawiam je kupić. Kompletnie zapomniałam o wigilijnym suszu uwielbianym przez tatę. Mama zawsze pilnowała, aby przed gotowaniem sparzyć wrzątkiem suszone owoce. Później przez dwie godziny moczyła je w wodzie. Dopiero wtedy dodawała laskę cynamonu, kilka goździków, plaster pomarańczy i trochę soku z cytryny. A, i jeszcze dorzucała świeże jabłko pokrojone w cząstki. Kiedy kompot wystygł, dosładzała go brązowym cukrem. W domu cudnie pachniało napojem i choć niespecjalnie za nim przepadałam, pozostał moim wigilijnym smakiem z dzieciństwa.

Wracam do mieszkania już po zmroku. Na chodniku wcale nie jest jednak tak ciemno, bo dookoła migocą świąteczne dekoracje. Idę, przyglądając się im z uśmiechem na twarzy. Niektóre posesje są bogato przystrojone, można byłoby pomyśleć, że mieszkają w nich wariaci, ale wtedy sama musiałabym tak o sobie powiedzieć, bo przecież gdybym miała własny dom, najpewniej też nie szczędziłabym mu świątecznych ozdób.

Kiedy jestem w pobliżu mojego bloku, po drugiej stronie ulicy zatrzymuje się samochód. Zwracam na niego uwagę, bo to czarny hackney carriage, brytyjska licencjonowana taksówka, będąca jedną z najbardziej rozpoznawalnych wizytówek Londynu. Kątem oka notuję, że wsiada do niej kobieta. Nic nadzwyczajnego się nie dzieje, aż do chwili, kiedy zdaję sobie sprawę, że pasażerka ma rude włosy. Obracam gwałtownie głowę w tamtym kierunku, serce zaczyna mi szybciej bić. Wyteżam wzrok, aby lepiej przyjrzeć się dziewczynie. Drzwi się jednak zatrząskują, a panujący w samochodzie mrok uniemożliwia mi dojrzenie czegokolwiek. Przechodzę

szybko na drugą stronę ulicy, ale auto rusza. Patrzę za nim, zastanawiając się, czy to była ona.

Sara nie jest przecież jedyną rudowłosą dziewczyną w mieście, a ja nie potrafię stwierdzić, czy kobieta wsiadająca do taksówki faktycznie miała rude kosmyki. Ale nawet gdyby rzeczywiście była to przełożona moich sąsiadów, czy to coś oznacza? Tak. Że znów się tutaj pojawiła. Odwiedziła chłopaków? Którego konkretnie? Ponownie Kubę?

Bardzo chcę wyrzucić z głowy myśli o tej kobiecie, ale przychodzi mi to z niemałym trudem.

Jestem już na balkoniku, kiedy instynktownie spoglądam w dół. Zauważam Kubę i uśmiech samoistnie pojawia się na mojej twarzy. Ulatują też myśli o Sarze.

Zwalniam nieco kroku, aby sąsiad mógł mnie dogonić. Podejmuję też decyzję – zaproszę go na firmowe *Christmas party*!

Przystaję przy drzwiach do mojego mieszkania i szperam w torebce, jakbym nie mogła znaleźć kluczy. W końcu pojawia się Kuba.

– Cześć! – witam się pogodnym tonem.

– Hej – odpowiada, w najmniejszym stopniu nie dzieląc mojej wesołości. Rozgląda się dookoła, sprawia wrażenie roztargnionego i chyba trochę podenerwowanego.

– Ciężki dzień w pracy? – zagaduję.

– Bardzo – wzdycha.

– Jeszcze kilka dni i odsapniemy. – Nie wiem, dlaczego używam liczby mnogiej, zupełnie jakbyśmy mieli spędzić razem święta.

– Prawda, nie mogę się doczekać urlopu – przytakuje Kuba i wsuwa klucz do zamka.

Przyglądam się z rosnącym zawodem, jak go obraca. Liczyłam, że pogawędzimy chwilę dłużej, chciałam go przecież nawet zaprosić na imprezę.

– Czeka na mnie jeszcze trochę roboty na dziś – oznajmia. – Przed świętami zawsze wyskakuje milion rzeczy do dokończenia.


– To prawda. – Kiwam głową, bo faktycznie tak jest. U mnie w pracy na pewno, podejrzewam, że w większości miejsc także. – To cóż, miłego wieczoru! – mówię, rezygnując ze swoich planów.

– Dobrego wieczoru, Zuza – rzuca Kuba i na tym koniec. Znika w swoim mieszkaniu.

Cholera, klnę bezgłośnie, bo naprawdę nie tego się spodziewałam. Zwłaszcza po wczorajszym wieczorze. Wygląda na to, że nasza relacja ciągle nie weszła na kolejny poziom, być może zbyt wiele sobie obiecywałam.

Wchodzę do mieszkania przygaszona. Jak zwykle wita mnie tylko Nika. Niby nic nowego, bo Marta ciągle pracuje, ale dziś wyjątkowo mocno odczuwam tę pustkę. Kiedy przechodzę do kuchni, spoglądam na udekorowane pierniki. Chodziło mi po głowie, aby wybrać te najładniejsze i podarować je dziś Kubie. Chciałam go też zaprosić na *Christmas party*, i kłapa. Ani jedno, ani drugie nie wydaje mi się teraz dobrym pomysłem. Na domiar złego w głowie pojawia mi się myśl, że gdybym zaprosiła na redakcyjne przyjęcie Andreja, chłopak bardzo by się ucieszył. Matko jedyna, czy ja naprawdę o tym myślę?!, gromię się w duchu.

Do samego wieczora mam pochmurny nastrój. Pomógłby mi telefon do Leo, ale w tym przypadku skutek może być całkowicie odwrotny. Okłamałam go przecież co do faktycznego stanu mojej relacji z sąsiadem. Postanawiam więc zadzwonić do taty, rozmowa z nim też zawsze podnosi mnie na duchu. Nie inaczej jest tym razem. A potem przyjeżdżają zakupy z marketu i biorę się do ich rozpakowywania. Moją głowę znów wypełniają plany świątecznych przygotowań. Kiedy kupione przeze mnie produkty lądują w szafkach, przychodzi SMS.


 Mam nadzieję, że się na mnie nie pogniewałaś. Miałam naprawdę kiepski dzień w pracy i trochę roboty na wieczór.

Wczytuję się w wiadomość, analizując ją dokładnie. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że szukam dziury w całym. Kuba wcale nie musiał do


mnie pisać, a jednak to zrobił. Odpisuję.

 Jasne, że nie.

Nie bardzo wiem, co jeszcze mogłabym dodać. Wysyłam tylko tyle. Odpowiedź przychodzi natychmiast.

 Ufff, ulżyło mi :) A jak Twój dzień?

Uśmiecham się, bo zapowiada się na dłuższą konwersację. Odpowiadam.


 Po pracy robiłam jeszcze zakupy. Przedświąteczne, więc właściwie całkiem przyjemnie. W pracy też wszystko w porządku. A propos pracy... Szykuje się nam coroczne *Christmas party*, może masz ochotę ze mną pójść?

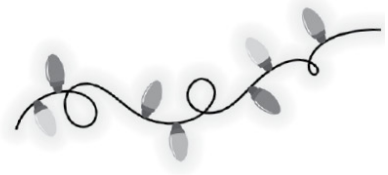
Spodziewam się, że będę musiała poczekać dłużej na wiadomość zwrotną, ale znów przychodzi niemal od razu.

 Pewnie! Z przyjemnością :) Kiedy?

Wytrzeszczam oczy, jakbym nie dowierzała temu, co widzę. I chyba faktycznie wątpię w to, że chłopak tak chętnie się zgodził. Po chwili chce mi się śmiać z mojego niedowiarstwa. Przecież od pierwszej naszej rozmowy czuję, że nas do siebie ciągnie. Może Kuba nie okazuje tego w jakiś przesadnie spektakularny sposób, ale widocznie taki jest. Już dawno zwróciłam uwagę na jego naturalną skromność. Pokazał ją choćby podczas wywiadu, niewykluczone, że jest również nieśmiały. Urocze.

Piszę SMS-a z informacją, kiedy i gdzie ma się odbyć impreza. Odpowiedź ponownie przychodzi bardzo szybko.

 Jesteśmy więc umówieni na piątek! :)



19.

Dziś jadę przeprowadzić wywiad z polską pisarką mieszkającą w Londynie. Towarzyszy mi Leo, chcę do artykułu dodać kilka fajnych fotek.

Spotykamy się w przytulnej kawiarni w centrum miasta. Kobieta okazuje się sympatyczna i otwarta, dobrze nam się rozmawia. Będzie z tego wartościowy materiał. Na koniec zostaję obdarowana egzemplrzem jej najnowszej książki. To powieść przygodowa z elementami fantastyki, nie jestem fanką ani jednego, ani drugiego gatunku, ale nie mogę odmówić sobie poproszenia o autograf. Przychodzi mi na myśl, że kupię drugi egzemplarz dla siebie, a ten podaruję Marcie w prezencie gwiazdkowym. Współlokatorka czyta dosłownie wszystko, a jako rasowa książkoholniczka z pewnością bardzo ucieszy się z egzemplarza podpisanego przez samą autorkę.

– Zaprosiłam Kubę na *Christmas party* – mówię do Leo, kiedy wracamy do redakcji.

– Zuch dziewczyna! – chwali mnie teatralnie protekcjonalnym tonem, za co posyłam mu mocnego kuksańca w bok. – Au! – jęczy przesadnie głośno, a potem oświadcza: – Fajnie, będę mógł mu się lepiej przyjrzeć.

Przewracam oczami, myślałam, że dał sobie już spokój ze swoimi teoriami.

- Wiesz, że nie znam żadnego faceta, z którym byłaś? – rzuca przyjaciel.
- Bo od czasów Andreja nie miałam żadnego – odpowiadam. – A wtedy jeszcze się tak dobrze nie znaliśmy.
- Wow, faktycznie. Tyle lat bez pieprzenia, niesamowite!
Posyłam mu zimne spojrzenie.
- Ja bym nie dał rady – zapewnia poważnym tonem.
- Wiem, Leo, wiem. – Tym razem to przyjaciel szturcha mnie w ramię. –
A ty zabierasz kogoś?
- Nie, w tym roku nie. W tym roku będę przyglądał się tobie, *baby*.
- Jesteś niemożliwy. – Kręcę głową z rozbawieniem.

Reszta czasu w pracy mija mi bardzo szybko, co innego wieczór – wyjątkowo mi się dłuży. Łapię się na tym, że czekam na SMS-a od Kuby. Pojawia się niewygodna myśl, że być może właśnie z tego powodu wieczorne minuty tak wolno mi upływają. Niestety nie dostaję żadnej wiadomości od sąsiada. Kładę się spać z poczuciem pewnego rozczarowania.

Piątkowy ranek jest słoneczny, ale też bardzo zimny. Na niebie nie ma ani jednej chmurki. To miła odmiana po ostatnich ponurych dniach. Nauczyłam się, że na Wyspach trzeba korzystać z aury, bo ta zmienia się niewiarygodnie szybko. Niewykluczone, że już po południu nadciągną opady. Odsuwam zasłony maksymalnie, aby do mieszkania wpadło jak najwięcej światła.

Kiedy ubieram się do pracy, myślę o tym, że wieczorem zobaczę się z Kubą. Humor jeszcze bardziej mi się poprawia. Wskakuję w sukienkę i wysokie botki, bo nie będę miała czasu wrócić z redakcji do domu, aby zmienić garderobę. Robię też nieco mocniejszy makijaż niż zwykle.

Leo nie ma dziś w biurze i bardzo dobrze, bo najpewniej nie opędziłabym się od jego docinków. Przekomarzanie się jest stałym elementem naszej przyjaźni.

Mam na czym się skupić, ale czas i tak mi się dłuży, co chwilę zerkam na komórkę, aby sprawdzić godzinę. Wreszcie przychodzi moment, kiedy wszyscy, jak jeden mąż, wyłączamy komputery i wychodzimy z redakcji.

Jest nas dziesięcioro. Zmierzając do pobliskiego pubu, robimy spore zamieszanie, ale i tak nie stanowimy najgłośniejszej ekipy. Mija nas grupka młodych ludzi w strojach świętego mikołaja. Mogą mieć góra dwadzieścia lat. Dziewczyny włożyły skąpe płaszczyki i równie kuse czerwone spódniczki, mają gołe nogi. Chłopcy nie są wcale cieplej odziani, noszą czerwone koszulki z krótkimi rękawami, do tego sztuczne długie białe brody. Od razu widać, że świetnie się bawią. Spoglądam na nich z sympatią, jeden kolega z redakcji przybija z nimi piątki.

Docieramy do pubu i zajmujemy zarezerwowaną przez naczelną lożę. Nim zdążymy zdjąć z siebie kurtki, dołącza do nas Leo. Wita się ze wszystkimi radośnie, jest w szampańskim nastroju. Następnie z płóciennej torby wyjmuje czerwone czapki mikołaja i sztuczne białe brody.

– Dla pań czapeczki! – Ogłasza krzykliwym tonem, po czym zaczyna obchodzić lożę i nakładać dziewczynom czapki na głowy. Jest przy tym dużo śmiechu, ale żadna z koleżanek się nie wzbrania.

Kiedy przyjaciel podchodzi do mnie, przypomina mi się grupka nastolatków, którą spotkaliśmy w drodze do pubu. Zastanawiam się, czy to oni byli dla Leo impulsem do działania. Może także ich spotkał i tak spodobał mu się ich wygląd, że postanowił zadbać o przebrania dla swoich redakcyjnych kolegów. To byłoby bardzo w stylu Leo, ale myślę, że jednak nie miałby na to czasu, w końcu wszedł do pubu dosłownie kilka minut po nas. Musiał to wcześniej zaplanować. Uśmiecham się radośnie. Pomysły przyjaciela bywają szalone, czasem niemądre, ten jest po prostu zabawny.

– A dla panów brody! – rzuca Leo i podaje każdemu koledze biały puch na gumce. Chłopcy chętnie je naciągają, pokrzykując przy tym beztrąsko. Przełożona poprawia czapkę na głowie, po czym zbiera zamówienia na drinki. Leo, wyraźnie zadowolony z tego, jak prezentujemy się w przyniesionych przez niego akcesoriach, oferuje Oliwii swoją pomoc. Po chwili przyjaciel przynosi kolejne koktajle dla każdego z nas.

Upiłam łyk margarity, na którą się zdecydowałam. W tym czasie dołączają do nas kolejne osoby – mąż jednej z koleżanek, dziewczyna kolegi, czyjś współlokator. Zaczynam się denerwować, nigdy nikogo nie

przyprowadziłam na firmową imprezę i nie wiem, czego się spodziewać. Moi współpracownicy są w porządku, ale jednak odczuwam lekki stres przed przedstawieniem im... Chciałoby się powiedzieć „mojego chłopaka”, ale przecież mojej relacji z sąsiadem daleko jeszcze to takiej zażyłości.

Nasze grono po kilku minutach jeszcze bardziej się powiększa, dochodzą kolejne osoby. Okazuje się, że w tym roku większość moich redakcyjnych kolegów postanowiła kogoś ze sobą zabrać. Przy naszej łoży robi się jeszcze głośniejsze i weselej, śmiech niesie się po całym pubie.

Zerkam na komórkę, jest kwadrans po szóstej, a Kuba nadal się nie pojawił. Nie mam też od niego żadnej wiadomości.

– Zdrówko, *darling!* – Leo siada obok mnie.

– Zdrówko! – Stukamy się szklankami i upijamy po łyku drinka. Widzę, że przyjaciel też sączy margaritę. W kwestii alkoholu mamy podobny gust.

Kuby wciąż nie ma, do mojego podenerwowania nową sytuacją dochodzi także nuta zniecierpliwienia. Lada chwila Leo zacznie mnie wypytywać, co się dzieje, a ja nie mam bladego pojęcia, co jest właściwie grane.


Po kolejnych dziesięciu minutach denerwuję się już na całego. Jestem bliska stwierdzenia, że sąsiad zwyczajnie mnie wystawił.

– Wyluzuj, może coś mu wypadło albo utknął w metrze – szepcze mi do ucha Leo.

– Są godziny szczytu – mruczę pod nosem, wdzięczna przyjacielowi za wsparcie.

– Pewnie zaraz przyjdzie. – Szturcha mnie łokciem.

Wreszcie moja komórka wibruje. Drgam niespokojnie, pewna, że to wiadomość od Kuby. Nie myślę się.

 Przepraszam, zepsuł się autobus. Będę za 5 minut!

Czytam wiadomość jeszcze raz, spodziewałam się zupełnie innej.

– I co? – dopytuje Leo.

– Zaraz będzie – oznajmiam z ulgą.

Przyjaciel puszcza do mnie oko i wraca do rozmowy z zebranymi, tymczasem ja upijam łyk drinka i wstaję z miejsca. Decyduję, że poczekam na Kubę przed wejściem do pubu. Zrzucam płaszcz na ramiona i wychodzę na zewnątrz. Ciemność wieczoru zdaje się potęgować chłód. Zerkam na aplikację z pogodą. Są minus dwa stopnie, więc mam prawo szczekać zębami.

– Cześć!

Kiedy unoszę głowę, Kuba stoi przede mną.

– Hej! – witam się z nim.

– Przepraszam. Szedłem na piechotę, bo długo nie przyjeżdżał drugi autobus.

– W porządku. – Posyłam mu uśmiech. Naprawdę się cieszę, że przyszedł.

– Superczapeczka. – Wskazuje na moją głowę. Dopiero teraz przypominam sobie, że kiedy wstałam od stolika, nie zdjęłam jej. – Bardzo ci w niej do twarzy.

– Dziękuję. – Odwdzięczam się uśmiechem za komplement.

– Wejdzmy do środka, bo zmarzniesz – rzuca i nieoczekiwanie chwyta mnie pod ramię. Przechodzą mnie dreszcze, jest mi zimno i ciepło jednocześnie. Idę na miękkich nogach, Kuba puszcza moją rękę, dopiero kiedy jesteśmy w środku. – Nigdy tutaj nie byłem – oznajmia.

– Naczelną co roku bukuje tutaj lożę na przedświąteczną imprezę.

– Fajny wystrój – komentuje, rozglądając się dookoła.

W pubie panuje staroangielski klimat. Podłoga wyłożona jest ciemnymi deskami, które skrzypią niemal przy każdym kroku. Muszą być wiekowe. Podobne są na ścianach. Bar wydaje się odnowiony, ale zachowano jego dawny styl. W powietrzu unosi się woń drewna i piwa. Przytłumione żółtopomarańczowe oświetlenie ciepło rozświetla mroczne wnętrze.

Kierujemy się w stronę stolika, przy którym moi redakcyjni koledzy bawią się w najlepsze. Muszę przyznać, że inicjatywa Leo okazała się bardzo trafiona. W mikołajowych czapkach i brodach prezentujemy się naprawdę dobrze. Od razu widać, z jakiego powodu się tutaj pojawiliśmy

i że tworzymy zgrany zespół. Zauważam też, że właśnie rozpoczyna się druga kolejka drinków. Moi współpracownicy zwykle są gadatliwi i roześmiani, ale alkohol dodatkowo rozwiązał im języki, przez co stali się wręcz hałaśliwi.

Docieramy do łoży, więc wszystkim obecnym przedstawiam Kubę. Koledzy witają go radośnie, a Leo natychmiast wręcza mu sztuczną białą brodę, którą ten bez oporów zakłada. A potem się zaczyna. Najpierw są gwizdy i padają pierwsze docinki. Nie są szczególnie złośliwe. Spodziewałam się ich, w końcu nigdy nikogo nie zabrałam na żadną firmową imprezę, ale i tak sprawiają, że się czerwienię. Przygaszone światło w pubie działa na moją korzyść, kiedy współpracownicy nie chcą przestać.

– Jato się nawet zastanawiałam, czy przypadkiem nie jesteś lesbijką – bełkocze Kamila, która zdążyła się już wstawić. – Jeszcze tak się kumplujecie z Leo. Wybacz, Leo... – Przenosi wzrok na fotografa. – Nie mam nic do twojej orientacji seksualnej.

– Zdrowie, Kama! – Przyjaciel unosi w jej kierunku drinka.

Dziewczyna stuka się z nim szkłem i pociąga łyk wściekle czerwonego koktajlu.

Zerkam ukradkiem na Kubę, śmieje się, nie wydaje się ani zażenowany sytuacją, ani nią zniesmaczony. Przynajmniej tyle...

– No co ty – odzywa się jeden z kolegów, kiedy myślę, że już mi odpuścili. – Ja tam bardziej myślałem, że Zuzę interesują tylko faceci na jedną noc...

– Skakanie z kwiatka na kwiatek to twoja domena, Wituś – odgryzam się, mając tych dywagacji powyżej uszu. Mogliby wykazać się choć odrobiną taktu i już sobie darować. Ale nie, brnięcie w temat sprawia im wyraźną frajdę.

– Ja z kolei sądziłam, że Zuza ma faceta w Polsce – mówi ktoś, już nawet nie zwracam uwagi kto, bo Leo przesuwa się, abyśmy mogli z Kubą zająć miejsce obok niego.

Łoża okazuje się odrobinę dla nas wszystkich za mała, ale nie narzekam, bo zmusza mnie to do siedzenia nogę w nogę z moim towarzyszem.

– Taaa, może od razu męża i dzieci – rechocze znów ktoś.

– Dobra, zejźcie już z Zuzy – rzuca naczelna. – W oczy was kłuje, że przyprowadziła ciacho. – Puszczą oko do Kuby, uśmiecha się do mnie, a potem pyta: – Co pijecie, kochaniutcy?

Koledzy wreszcie tracą zainteresowanie moim życiem osobistym, już myślałam, że się tego nie doczekam. Proszę o drugą margaritę, mój towarzysz decyduje się na guinnessa. Po chwili mamy nasze napoje. Kuba trąca kuflem brzeg mojej szklanki i posyła mi dyskretny uśmiech. Od tego z pozoru niewinnego gestu robi mi się cieplej na całym ciele.

Harmider przy łoży nie słabnie, mam wrażenie, że z każdą minutą wręcz narasta. Sąsiad gładko wsiąka w rozmowę, sporo też dyskutuje z Leo. Bardzo mnie to cieszy, obawiałam się, jak będzie się czuł w towarzystwie zupełnie nieznanym sobie osób. Kuba nie wydaje się jednak spięty, a przez to moje założenie, że jest nieśmiały, nieco się rozmywa. Może tylko sprawia takie wrażenie albo błędnie odczytałam jego opanowany sposób bycia?

Przy trzeciej kolejce pasuję, czuję, że powinnam zwolnić tempo. Idę do toalety, a wracając, zahaczam o bar i przynoszę dla siebie wodę mineralną. Zwracam uwagę, że przed Kubą stoi nowy kufel czarnego piwa, a naczelna przesiadła się bliżej i jest pochłonięta rozmową z nim. Dosiadam się, starając się dołączyć do konwersacji. W tej samej chwili Oliwia proponuje Kubie kolejny artykuł w naszym czasopiśmie.

– Może po Nowym Roku, jak już wyjdzie twój debiutancki singiel? – pyta go.

– Jasne, czemu nie. – Kuba wydaje się uradowany.

– Przejmę ten materiał, Zuza – zwraca się do mnie szefowa.

Kiwam głową, ale nie mogę powiedzieć, że jestem z tego zadowolona. Przecież to ja odkryłam Kubę i to oczywiste, że chciałabym pociągnąć ten temat w naszej gazecie. Ale niepokoi mnie coś jeszcze. Nie podoba mi się to, w jaki sposób Oliwia spogląda na mojego sąsiada...

Potrząsam niezauważalnie głową, aby pozbyć się nieoczekiwanego uczucia zazdrości, jakie mnie ogarnia. Nie powinno się pojawić, to niedorzeczne.

A jednak nie opuszcza mnie ono ani na chwilę. Może dlatego, że naczelna nie chce odzepić się od Kuby, ciągle go o coś zagaduje. Nie znałam się z tej strony, uczucie zazdrości było mi dotąd obce. Próbuję sobie przypomnieć, czy miałam podobnie, kiedy zaczynałam spotykać się z Andrejem. Nie jestem pewna, pamiętam tylko, że szybko się dogadaliśmy i fajnie razem spędzało nam się czas. Kiedy okazało się, że sypia na boku z koleżanką z pracy, też nie zapalałam jakąś wielką zazdrością, czułam się przede wszystkim oszukana, ale jednocześnie nie było mi przesadnie żal naszego związku. Fakt, że nigdy nie dałam Andrejowi drugiej szansy, choć wiele razy o nią prosił, jest chyba na to najlepszym dowodem. Nie zależało mi na nim jakoś szczególnie i dobrze, bo przecież ja też nie byłam dla niego kimś wyjątkowym, skoro dopuścił się zdrady.

Zerkam na Kubę, który nadal dyskutuje z moją szefową. To atrakcyjny facet, może nie w taki oczywisty sposób, jak jego współlokator, ale ma w zanadrzu prawdziwego asa w rękawie – artystyczną duszę, która działa, jak się właśnie przekonuję, nie tylko na mnie.

– Nie obraż się, ale będę się zbierać – zwracam się do Kuby, kiedy robi się już dość późno, a Oliwia nie chce się od niego odzepić. – Czuję się zmęczona, poza tym wypiałam już dosyć. – Na potwierdzenie swoich słów pokazuję mu pustą szklanekę po kolejnej margaricie.

– Jasne! – Kuba natychmiast zaczyna podnosić się z miejsca.

– Nie widzę przeszkód, abyś został, jeśli masz ochotę – mówię, dokładając starań, aby uśmiechnąć się przy tym jak najbardziej naturalnie.

– Też już mam dosyć – rzuca w odpowiedzi.

Spogląda mi przy tym w oczy, dzięki czemu nabieram przekonania, że wcale nie będzie mu żal opuszczać towarzystwa.

Żegnamy się i wychodzimy z pubu jako pierwsi z zebranych. Pewnie znów staniemy się pożywką do żartów dla podpitego towarzystwa, ale teraz mam to już w nosie.

– Fajni ludzie – stwierdza Kuba, kiedy idziemy w stronę stacji metra. – Otwarci, bezpośredni, musicie mieć wesołość w redakcji.

– Czasem tylko stają się istnym wrzodem na tyłku – komentuję.

Kuba się uśmiecha, mam wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale milczy. Nie mówię nic więcej, idziemy w ciszy.

Zaczynam się zastanawiać, jak sąsiad zinterpretował docinki moich współpracowników z początku imprezy. W końcu jednoznacznie wyszło, że zabrałam go na imprezę firmową, a nigdy wcześniej nikogo nie przyprowadziłam. To przecież dopiero początek naszej znajomości. Co, jeśli pomyśli, że traktuję go bardzo poważnie? Zbyt poważnie? Zapraszając go, nie wzięłam pod uwagę, jak to może zostać odebrane.

Przychodzi mi na myśl, aby się wytłumaczyć, ale tak naprawdę nie mam ochoty opowiadać o Andreju. Tym bardziej że Kuba nie ciągnie mnie za język. Nie oznacza to jednak, że przestało mi się wydawać, iż chce mnie o coś zapytać. Jakieś niedopowiedzenie wisi między nami, jest jak mgła, która nas spowija. Nie mam pojęcia, co zamyka mu usta. Musi mieć swoje powody, to jasne. Podobnie jak oczywiste staje się dla mnie to, że moja przeszłość w sferze uczuciowej musiała go zainteresować. Pojawiło się dziś zbyt wiele insynuacji, aby zupełnie go to nie obeszło.

– Myślisz, że spadnie trochę śniegu w tym roku? – zagaduję po prostu, aby coś powiedzieć.

– Chciałbym – odpowiada Kuba, przenosząc na mnie spojrzenie. – W Polsce podobno mają być białe święta.

Ach, niemal zapomniałam, że Kuba nie będzie za ścianą w Boże Narodzenie. Szkoda, tylko tyle przychodzi mi na myśl, kiedy przypominam sobie o jego wyjeździe.

Pomimo późnej pory w metrze wcale nie jest pusto, weekend rządzi się swoimi prawami, a centrum Londynu nigdy nie śpi. Zaczynamy rozmawiać o neutralnych sprawach, po pewnym czasie Kuba podejmuje temat naczelnej. Od razu mam przed oczami obraz, jak Oliwia zalotnie na niego spogląda, i znów budzi się we mnie zazdrość. Sąsiad określa moją

przełożoną jako energiczną i otwartą kobietę, co bardzo pasuje do mojej szefowej, ale z rozmysłem mówię o niej jak najmniej.

Później idziemy niespiesznie do bloku, poruszamy się spacerowym tempem. Cały czas mam na głowie czapkę mikołaja, a Kuba sztuczną białą brodę. Osiedle zamilkło, większość mieszkańców położyła się już pewnie do swoich łóżek, nie jeździ zbyt wiele aut.

– Słyszysz? – zagaduje Kuba. – Nocą o wiele wyraźniej docierają do nas dźwięki natury. Wydaje się, że jest ich mniej, ale to nieprawda. Milkną ludzie, miasto, ale nie przyroda.

– Słyszę wiatr – mówię.

– Wsłuchaj się w niego.

Stosuję się do polecenia i po chwili faktycznie, wicher wydaje mi się znacznie bardziej interesujący niż wcześniej. Powiewa nieregularnie. Gdy odbija się od ścian budynków, wydaje z siebie przeciągłe dudnienie. Kiedy natrafia na drzewa i wprawia ich konary w ruch, rozlega się miarowe skrzypienie.

– Wykorzystałeś kiedyś odgłos wiatru w swoich utworach? – pytam.

– Nie, jeszcze nie – odpowiada. – Ale chodzi mi to po głowie. Tyle że wybrałbym się gdzieś za miasto, żeby uchwycić jego jak najbardziej naturalny dźwięk.

– Cudnie – komentuję krótko, na nowo będąc zachwycona wrażliwością sąsiada.

Znów idziemy w ciszy, jednak tym razem zwracam uwagę na dźwięki dookoła nas. Na odgłos naszych kroków, szum przydługiej trawy, która nawet w grudniu na Wyspach potrafi bujnie rosnąć, na szczekanie psa, a nawet na niemożliwe do zidentyfikowania szuranie tuż za nami.

– Dzięki, że mnie zaprosiłaś – odzywa się Kuba, gdy docieramy do metalowych schodów naszego bloku. – Dobrze się bawiłem.

– Ja też – odpowiadam. Zerkamy na siebie przelotnie.

Po chwili jesteśmy już pod naszymi mieszkaniami. Przystajemy przy moich drzwiach, robi się nieco niezręcznie, wyraźnie wyczuwam kłębiące

się między nami niezdecydowanie. Mam mętlik w głowie, nie wiem, czy powinnam to wahanie przełamać, czy poczekać, aż zrobi to Kuba.

– Musimy częściej gdzieś razem wychodzić – oświadcza sąsiad.

– Zdecydowanie – zgadzam się i wciąż czuję to nieznośne zawieszenie pomiędzy nami. Jestem gotowa obrócić je w konkretne działanie, kiedy nieoczekiwanie drzwi mojego mieszkania się uchylają.

– Ach, to ty. – W progu pojawia się Marta, na jej twarzy maluje się wyraz ulgi. – Myślałam, że ktoś czai się przy oknie. Jestem ewidentnie przepracowana – stwierdza przeproszającym tonem.

Przedstawiam Kubie moją współlokatorkę. Jak się okazuje, nie mieli jeszcze okazji się poznać. Nic dziwnego, skoro Marta ciągle jest w szpitalu. Chwilę później wracam do mieszkania wraz z koleżanką.

– *Sorry*, chyba coś popsułam – mówi, kiedy zamykam za nami drzwi.

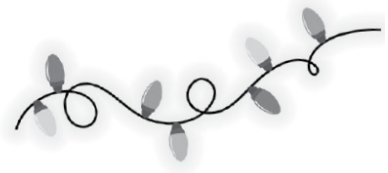
– Nie, nie, coś ty.

– Chyba jednak. – Znow uśmiecha się przeproszająco. – Nie wiedziałam, że kręcisz z sąsiadem za ściany. – Unosi wysoko brwi.

– Zaprosiłam go na redakcyjne *Christmas party* – wyjaśniam. – To wszystko.

– Fajnie – stwierdza dziewczyna i kieruje się w stronę swojego pokoju. – Kładę się, bo jestem wyczerpana. Dobrej nocy!

– Dobranoc – odpowiadam, zastanawiając się, jak by się skończył dzisiejszy wieczór, gdyby Marta nie wyjrzała na zewnątrz.



20.

Sobotnie przedpołudnie spędzam w redakcji, mam dziś dyżur. Lwią część obowiązków chcę wykonać z biura, lepiej się tutaj koncentruję. Wrzuceniem postów o odpowiedniej godzinie mogę zająć się z dowolnego miejsca.

Oprócz mnie przychodzą jeszcze dwie osoby, wygląda na to, że wczoraj niektórzy byli tak podekscytowani wyjściem do pubu, że nie zdążyli uwinąć się ze wszystkimi obowiązkami. Dowiaduję się przy okazji, że wczorajsza impreza przeciągnęła się do późna. Nie żałuję, że nie zostałam do końca, nie lubię zarywać nocek.

W drodze do domu zahaczam o Oxford Street, jedną z głównych ulic handlowych w mieście. Szereg sklepów z przeróżnym asortymentem ciągnie się od stacji metra Tottenham Court Road aż po Marble Arch i można tutaj dostać dosłownie wszystko.

Nie zapadł jeszcze zmrok, więc nici z podziwiania rozwieszonych nad ulicą świetlnych instalacji. W dodatku panuje uciążliwy tłok. Szał zakupów przedświątecznych trwa w najlepsze. Potrzebuję prezentu dla taty i Alice. Już na początku swojej wyprawy zaczynam się denerwować. Ludzie przemierzają się po ulicach jak w amoku. Kiedy spoglądam na ich wypchane reklamówki z logo przeróżnych sklepów, dochodzę do wniosku, że specjaliści od zachowań społecznych mają rację – kupujemy za dużo

i najczęściej większości z tych rzeczy wcale nie potrzebujemy. W okresie przedświątecznym dzieje się to na jeszcze potężniejszą skalę, mam na to naoczny dowód. Na szczęście nie będę musiała zbyt długo przebywać w tym mrowiu rozgorączkowanych ludzi. Wiem, co konkretnie chcę kupić.

Dla Alice wybieram jedwabną markową apaszkę, a dla taty skórzany pasek. Klasyka i prostota zwykle najlepiej się sprawdzają. Cieszę się, że już po niespełna godzinie wracam do metra.

Kiedy dojeżdżam na swoje osiedle, panuje półmrok, nadciągnęły chmury, które skutecznie potęgują ciemność. Znow wzmógł się wiatr, mam nadzieję, że nie zacznie padać, zanim dotrę do mieszkania.

W domu jest przyjemnie ciepło, pachnie żywicą i piernikami. Spoglądam przez chwilę na ciasteczka, po czym odkładam zakupy na bok. Miałam zamiar od razu ładnie zapakować podarki dla taty i Alice, aby móc już teraz położyć je pod choinką, ale zamiast tego wyjmuję z szafki mały talerzyk. Przekładam na niego kilka pierniczków, wybieram te najbardziej udane. Zaniosę je Kubie, właśnie teraz. Obiecałam przecież, że to robię, tłumaczę się sama przed sobą. Nawet się o nie upominał, a wczoraj spędziliśmy kolejny fajny wieczór w swoim towarzystwie.

Podchodzę do drzwi sąsiadów ostrożnie, pali mnie nieprzyjemne uczucie *déjà vu*. Ostatnio staranowała mnie rudowłosa szefowa chłopaków i na samą myśl, że mogłabym znow ją spotkać, przechodzi mnie dreszcz niepokoju. Ta dziewczyna wywołuje we mnie nieprzyjemne uczucia, choć tak naprawdę nie potrafię ich precyzyjnie nazwać. Wiem tylko, że mnie uwierają i że nie chcę więcej spotkać tej kobiety na swojej drodze.

Na szczęście dziś drzwi sąsiadów nie otwierają się, zanim zdążę do nich zapukać.

- O, Zuza, cześć! – Za progiem pojawia się... Paweł.
- Cześć! – witam się, usiłując ukryć swój zawód.
- Jakie ładne, u-la-la. – Sąsiad gapi się na talerzyk.
- Jest Kuba? – pytam, odsuwając się nieznacznie, na wypadek gdyby Paweł znow chciał porwać ciasteczka.

– W łazience. Kąpie się – oznajmia sąsiad, a ja klnę w duchu. Czy ja zawsze muszę przyjść w niewłaściwym momencie? – Te są dla Kuby – mówię, odsuwając się z ciastkami jeszcze bardziej.

– Dużo ładniejsze niż te, które ja dostałem – rzuca chłopak, a potem pyta: – Wejdiesz?

– Y-y-y. – Czuję, że się rumienię.

Paweł też wygląda, jakby niedawno wyszedł z kąpieli. Z wnętrza mieszkania dolatuje mnie intensywny zapach męskiego żelu pod prysznic. Mimowolnie wyobrażam sobie, że Kuba właśnie stoi pod strumieniem ciepłej wody, łapię się na tym, że usiłuję wyobrazić sobie, jak wygląda bez koszulki... Z jednej strony chcę skorzystać z zaproszenia Pawła i zaczekać, aż jego współlokator wyjdzie z łazienki, z drugiej wolę się nie narzucać.

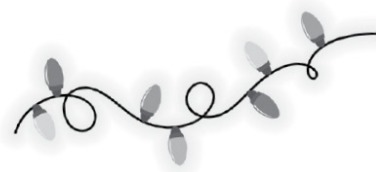
– Kuba zwykle nie kąpie się długo – dodaje sąsiad, jakby chciał mi pomóc w podjęciu decyzji.

– A jest szansa, że przekażesz mu te pierniki, a nie pożresz ich, zanim wyjdzie z łazienki?

Paweł głośno się śmieje, a potem wyciąga rękę po talerzyk.

– Ma się rozumieć. – Przejmuje go ode mnie. – Pewnie masz kolejną blachę w piekarniku, więc nie martw się, leć do nich, a ja dam ciastka Kubie. – Puszczą mi zawadiacko oko.

– Dzięki – mruczę pod nosem i niezadowolona, że tak się to potoczyło, zaczynam wycofywać się pod swoje drzwi. – Na razie. Pa!



21.

Myślę o tym, co powiedziałam niedawno Leo. Że możemy widywać się z Kubą codziennie, bo przecież mieszkamy po sąsiedzku. W praktyce wcale tak to nie wygląda. Wciąż ubolewam, że znów wybrałam zły moment. Ciekawi mnie, jak skończyłby się ten wieczór, gdyby drzwi zamiast Pawła otworzył mi Kuba.

Krzątam się po mieszkaniu, zajęta drobnymi porządkami. W końcu zabieram się do pakowania prezentów dla taty i Alice, owijam je w ładny błyszczący papier. Przypominam sobie jeszcze o książce z autografem, którą mam dla Marty. Kładę podarki pod choinką, a gdy przychodzi wieczór, kompletnie nie wiem, co ze sobą zrobić. Czytać książkę, obejrzeć coś w telewizji czy może odpalić jakiś nowy serial na Netflixie?

Wreszcie układam się wygodnie na kanapie z książką w ręku. To jedna z lektur, którą obdarowała mnie Marta, kryminał retro. Współlokatorka zapewniła, że przyjemnie spędzę przy nim czas.

Ledwo otwieram książkę, ktoś puka do drzwi. Odruchowo sprawdzam godzinę, już po siódmej, właściwie dochodzi wpół do ósmej, więc to zdecydowanie za późno na listonosza. Kurier też raczej nie wchodzi w grę. Zresztą niczego ostatnio nie zamawiałam. Może Marta zapomniała kluczy do mieszkania? Chyba że... Kuba przyszedł podziękować za pierniczki...?

Wstaję z kanapy i idę otworzyć. Rzeczywiście za progiem stoi sąsiad. Usta wyginają mi się w uśmiech, mam ochotę chwycić go za rękę i wciągnąć do mieszkania, aby mieć pewność, że ten wieczór także spędzimy w swoim towarzystwie.

Lokator zza ściany przygląda mi się, także się uśmiecha, ale nic nie mówi. Nie wiem dlaczego, ale wcale mi to nie przeszkadza. Przyjemnie mi się na niego patrzy, nawet kiedy nie rozmawiamy.

– Masz jakieś plany na wieczór? – odzywa się wreszcie.

– Na dziś? – dopytuję zaskoczona, jakby pytanie było niewystarczająco jasne.

– Tak, na dzisiejszy wieczór.

– Nie – rzucam, a zaraz potem się poprawiam, aby nie wyjść na nudziarę:

– To znaczy zaczęłam czytać książkę z polecenia mojej współlokatorki, kryminał retro, dzieje się w Warszawie w latach dwudziestych... A ty czytasz?

– Tak, zdarza mi się od czasu do czasu coś przeczytać – mówi Kuba, jakby na odczepnego. – Zaraz wychodzimy z Pawłem do klubu. Kumpel ma urodziny. Niedaleko stąd, dziesięć minut uberem. Wskoczysz z nami?

Wytrzeszczam oczy, nie do końca ufając swoim uszom.

– Jak ci się nie spodoba albo będziesz się nudzić, to w każdej chwili możesz wrócić do mieszkania. To tylko dziesięć minut stąd, uberem – powtarza.

Spuszczam głowę i lustruję, jak jestem ubrana.

– Muszę się przebrać – bąkam.

– W piętnaście minut się wyrobisz? Jesteśmy umówieni na ósmą.

Mimowolnie się krzywię.

– Dwadzieścia? – proponuje Kuba.

– No dobra, widzimy się za dwadzieścia minut.

– Super!

Zamykam drzwi oszołomiona. Chwilę stoję w bezruchu, aż wreszcie dociera to do mnie – on znów mnie gdzieś zaprosił! Tym razem to impreza w gronie jego znajomych i chce mnie na nią zabrać.

Zrywam się z miejsca i gnam do pokoju. Szybko zrzucam z siebie ubranie, wciągam na nogi rajstopy i wybieram sukienkę. Potem gonię do łazienki. Włosy są w porządku, robię błyskawiczny makijaż. Nika kręci mi się pod nogami, wyczuwa moje poruszenie i nie podoba jej się moja biegania po mieszkaniu.

– Wybacz, malutka, ale mam tylko chwilę, by zrobić się na bóstwo.

Kotka odpowiada mi miauknięciem i znika w salonie. Robię ostatnie poprawki makijażu, pryskam się perfumami. Jeszcze tylko buty. Decyduję się na botki na grubym słupku. Płaszczyk, szalik i jestem gotowa do wyjścia. Zanim wrzucam telefon do małej torebki, którą przewiesiłam sobie przez ramię, sprawdzam godzinę. Wyrobiłam się dwie minuty przed czasem. Nieźle! Wychodzę z domu i pukam do sąsiadów.

– Punktualnie, brawo! – Jak zwykle drzwi otwiera Paweł. Odpowiadam mu uśmiechem. Za jego plecami niemal natychmiast pojawia się Kuba.

– Uber już czeka – mówi, wymijając kolegę. Owiewa mnie zapach jego perfum, mocne korzenno-ziemiste nuty wdzierają mi się w nozdrza. Spoglądam na pokrytą czarną szczecina szczękę Kubę i o mało nie mdleję od tego widoku połączonego z atakującą mnie wonią. Czuję się jak odurzona, podświadomie wiem, że dziś będzie ten przełomowy wieczór.

– No chodźcie, chodźcie – pogania nas Paweł. – Bo i tak jesteśmy już trochę spóźnieni.

Idziemy szybko wzdłuż balkoniku, potem niemal zbiegamy po schodach. Zapominam, że mam buty na obcasie, i na jednym stopniu się potykam. Kuba w porę łapie mnie pod ramię i ratuje przed upadkiem.

– Dzięki – mamrocę, błagając go w myślach, aby już mnie nie puszczał.

Po chwili wsiadamy do taksówki. Paweł zajmuje miejsce obok kierowcy, ja i Kuba siadamy z tyłu.

– Dzięki za pierniczki – mówi ten ostatni przyciszonym tonem, kiedy ruszamy. – Bardzo dobre, chyba lepszych nie jadłem.

– Cieszę się, że ci smakowały. – Uśmiecham się, kątem oka zauważając, że Paweł na nas zerka. Krępuje mnie jego spojrzenie, z mojej perspektywy sytuacja jest odrobinę niezręczna. Nie pomyślałam o tym, kiedy Kuba

zapropował mi wspólne wyjście, choć od razu wspomniał, że Paweł będzie nam towarzyszył.

Resztę drogi pokonujemy w milczeniu. Do klubu, w którym ma się odbyć spotkanie, jest nawet mniej niż dziesięć minut, po zaledwie kilku jesteśmy na miejscu. Poznaje okolice, rzut kamieniem od naszej dzielnicy. Spokojnie można było przejść się pieszo, ale cieszę się, że chłopcy zamówili ubera, bo w tych butach trochę bym się umęczyła.

Lokal przypomina dyskotekę. Spodziewałam się raczej typowo angielskiego pubu, jakich w Londynie jest na pęczki. Gra elektroniczna muzyka, jak na mój gust odrobinę za głośno. Światło jest przytłumione, niebieskie i zielone. Bar jaskrawo podświetlony, podobnie jak niewielki podest, na którym rozgrzewa się didżej.

Kuba przedstawia mnie znajomym. Większość z nich to mężczyźni, Anglicy. Oprócz mnie jest jeszcze tylko jedna kobieta. Wszyscy wydają się sympatyczni, po chwili okazuje się, że towarzystwo zna się z wytwórni płytowej Beggars Banquet. Zajmują różne stanowiska, ale po tym, jak ze sobą rozmawiają, łatwo wywnioskować, że każdy z nich pasjonuje się muzyką. Niemal wszyscy tworzą też własne utwory, nikt jednak nie robi tego w taki sposób jak Kuba. Nikt tak jak on nie czuje potencjału przyrody, który można wykorzystać do komponowania. Szybko orientuję się również, że mamy w towarzystwie parę homoseksualistów. Jackson i Alex obejmują się bez skrępowania i robią do siebie maślane oczy. Zupełnie mi to nie przeszkadza, mój najlepszy przyjaciel jest przecież gejem, przywykłam też do widoku par jednopłciowych okazujących sobie uczucia.

Świętujemy urodziny Neila, czarnoskórego osiłka o dziecięcym uśmiechu. Jest dźwiękowcem, jak zapewniają mnie jednym głosem jego koledzy, wyjątkowo utalentowanym. Podobno świetnie też rapuje. Jak to bywa na typowych angielskich imprezach tego rodzaju, solenizant funduje gościom pierwszą kolejkę, a potem każdy już dba sam o siebie. O mnie troszczy się Kuba. Siedzi tuż obok, rozmawiamy głównie ze sobą i po polsku. Od czasu do czasu włączymy się do ogólnej dyskusji i wtedy

przechodzimy na angielski, ale szybko tracimy zainteresowanie zebranymi i wracamy do gawędzenia ze sobą.

Wypijam dwa kolorowe drinki, zaczyna mi od nich szumieć w głowie, robi mi się też cieplej. Ciało próbuje mnie zawodzić, bez namysłu przesuwa się bliżej Kuby, domaga się jego bliskości. Chłopak się nie odsuwa, ale też nie wykonuje żadnego kroku w moją stronę.

Zaczynam się niecierpliwić. Mam ochotę przestać się kontrolować i po prostu pocałować faceta, który zawrócił mi w głowie. Może po latach samotności jestem tak spragniona mężczyzny, że zwyczajnie moje żeńskie hormony przejmują nade mną stery, a może ta sprawa nie ma tutaj nic do rzeczy, ale jedno jest pewne – Kuba przyciąga mnie do siebie jak magnes. I nie wiem, jak długo będę jeszcze w stanie opierać się temu uczuciu.

Powstrzymuję się resztkami woli. Nawet wtedy, kiedy wydaje mi się, że mój towarzysz też ma dość czekania na odpowiedni moment i pochyła się ku mnie. Wstawiony Neil trąca go wtedy w plecy, po czym przeciska się na drugą stronę stolika, aby postawić nowe drinki na wolnym kawałku blatu. Klnę w myślach. Niestety kolejna taka chwila się nie powtarza.

Wreszcie zaczynają się tańce. Na niewielkim parkiecie tuż przed podestem, na którym w najlepsze rozkręcił się didżej dbający o dzisiejszą imprezę, pojawiają się pierwsi śmiałkowie. Szybko dołączają do nich kolejni.

– Wybacz, ale nie tańczę – mówi mi do ucha Kuba. Jego ciepły oddech owiewa mi kark i przyprawia mnie o dreszcze.

– Nie szkodzi – odkrzykuję.

Inaczej się nie da, bo didżej, widząc rosnące zainteresowanie płasami na parkiecie, jeszcze podkręcił głośność. Teraz w lokalu jest już wręcz hałaśliwie.

– Komponuję, gram, śpiewam, ale w tańcu jestem pokraka. – Kuba się śmieje. – A ty tańczysz?

– Baletnicą nie jestem, ale lubię od czasu do czasu poruszać się do muzyki. – Kiedy to mówię, zauważam Pawła. Wkracza na parkiet śmiałym

tanecznym krokiem. Wygląda, jakby zmierzał w konkretnym kierunku. Zaciekawiona podążam za nim wzrokiem.

Za moment otwieram szerzej oczy, kompletnie nie dowierzając temu, co widzę. Paweł podchodzi do wysokiego mężczyzny o skandynawskich rysach twarzy, który także zjawił się w lokalu na przyjęciu urodzinowym Neila, i... obejmuje go. Nie potrafię przypomnieć sobie, jak ma na imię blondyn, bo cała moja uwaga skupiona jest na tym, że chłopcy zaczynają się całować. Nikt się na nich nie ogląda, przytulają się, nie wzbudzając żadnej sensacji. W innych okolicznościach ten widok także nie byłby dla mnie niczym poruszającym, ale w zaistniałych...

Leo miał rację, cholera, Leo miał rację. Powtarzam to sobie w myślach jeszcze kilkakrotnie, zanim udaje mi się oderwać wzrok od Pawła i zerknąć na Kubę. Popija drinka i z pogodnym wyrazem twarzy obserwuje bawiących się gości klubu. Zaczynam wszystko rozumieć. To, dlaczego nie wykonał żadnego wyraźnego kroku w moją stronę, dlaczego mnie jeszcze do tej pory nie pocałował. Było tyle okazji. Myślałam, że jest nieśmiały albo nie chce się spieszyć, urzekło mnie to, ale tak naprawdę rzeczywistość wygląda zgoła odmiennie.

Mam ochotę zapaść się pod ziemię, zniknąć w jednej chwili albo przynajmniej natychmiast znaleźć się w swoim mieszkaniu, bo przypominam sobie te wszystkie razy, kiedy byłam o włos od pocałowania go. Cholera, wyglupiłabym się na całego.

Jeszcze raz kątem oka zerkam na Kubę. Podoba mi się, jest idealny w swoim braku doskonałości. I nadajemy na tych samych falach, potrafimy się dogadać, dobrze czuję się w jego towarzystwie, nad wyraz swobodnie. Czyli dokładnie tak samo jak przy... Leo. Klnę siarczyście pod nosem.

– Zuza, coś się stało? – Dolatuje mnie głos Kuby.

– Nie, skąd – kłamię, wciąż oszołomiona tym, że nie połapałam się w sytuacji, choć przyjaciel zwracał mi na to uwagę. Jestem też coraz bardziej wściekła na samą siebie, na to, że bezinteresowną sąsiadzką pomoc zinterpretowałam zupełnie na opak. Podobnie jak serdeczny sposób bycia sąsiadów.

Kuba i Paweł dzielą mieszkanie, ale najwyraźniej nie są razem. Może więc tylko jeden z nich jest gejem? Może tak być. Ale jestem też coraz bardziej przekonana, że obaj są homoseksualistami. I chcą się po prostu zaprzyjaźnić. Zwłaszcza że przecież żyjemy na obczyźnie. To naturalne, że szukamy kontaktu z rodakami, podświadomie chcemy trzymać się razem.

– Chyba za dużo wypiłam – bąkam, podnosząc się z miejsca. Mimo wszystko wolę nie ryzykować. To, co ujrzałam, skutecznie wytrąciło mnie z równowagi. Przeczucia Leo też nie są tutaj bez znaczenia. – Wrócę już do domu.

– Jasne, nie ma sprawy. – Kuba także wstaje.

– Spokojnie, dam sobie radę.

– No coś ty – rzuca sąsiad, ruszając za mną. Przeciskamy się między bawiącymi się w klubie ludźmi. – Na pewno wszystko dobrze? – pyta, kiedy docieramy do wyjścia.

Spoglądam na Kubę, ten przygląda mi się z niesłabnącą uwagą. Jeszcze wczoraj odczytałabym to spojrzenie jako pożądanie, dziś sama nie wiem, co w nim widzę. Jest niby takie samo, a jednak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że myślę namiętność z troską. Z przyjacielską opiekuńczością, tak podobną do tej, którą często obserwuję u Leo, kiedy gdzieś razem wychodzimy.

– Upiłam się, przepraszam – mówię, po czym wychodzę z klubu. Kuba idzie za mną.

Nieoczekiwanie w progu mijam się z... Sarą. Jestem jednak tak przejęta tym, co się przed chwilą wydarzyło, że gdyby nie burza rudych loków na jej głowie, najpewniej nawet bym jej nie zauważyła. Dziewczyna przystaje i posyła mi ostre, nieprzychylne spojrzenie. Przed chwilą przekonałam się, że pracownicy wytwórni płytowej mają ze sobą dobre relacje, więc na imprezie urodzinowej jednego z nich nie mogło zabraknąć szefowej.

Nie zawracam sobie głowy Sarą, wypadam z lokalu w pośpiechu. Wygrzebuję przy tym komórkę z torebki, aby zamówić ubera.

– Ja zamówię taksówkę – stwierdza Kuba.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Pewnie, że jest. Zaprosiłem cię tutaj.

– Oj, to bez znaczenia.

– Co masz na myśli? – Kuba wyłapuje moje spojrzenie, marszcząc przy tym brwi.

Nie mam bladego pojęcia, co mam mu teraz powiedzieć.

– Cieszę się, że o mnie pomyślałeś i było fajnie, ale jestem już zmęczona i chcę wrócić do domu – wyduszam z siebie w końcu.

– W porządku, rozumiem to – zapewnia.

– A ty powinienesz zostać i bawić się dalej. To urodziny twojego kumpla. Może poczuć się urażony, jeśli odkryje, że zmyłeś się w środku imprezy.

Kuba przygląda mi się w jeszcze większym skupieniu, tym razem już nic nie mówiąc.

– Naprawdę potrafię sama wrócić do domu, zresztą to niedaleko stąd – dodaję kąśliwym tonem.

– Nie chcesz, abym wracał z tobą?

Mam ochotę wykrzyknąć mu w twarz, że nie, bo się w nim zakochałam, a on najprawdopodobniej woli chłopców. Mogłabym go teraz zapytać o to wprost, ale zwyczajnie się boję! Prawdy. I nadciągającego wraz z nią rozczarowania. W tej chwili wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli oszczędzę sobie podobnej kompromitacji. Zaciskam więc wargi, aby żadne tego typu pytanie nie wymknęło mi się z ust.

– W porządku – bąka w końcu Kuba i chowa swój telefon do kieszeni. Ja tymczasem zamawiam ubera. Do przyjazdu kierowcy mam trzy minuty. Stoimy na chodniku przed klubem w milczeniu. Poganiam w myślach taksówkarza, na szczęście zjawia się po niespełna dwóch minutach. Od razu podchodzę do wozu i chwytam za klamkę.

– Dzięki za imprezkę – rzucam, zanim zamykam za sobą drzwi samochodu. – Baw się dobrze! Dobrej nocy!

Trzask drzwi odcina mnie od chłodu i przenikliwego wzroku Kuby. Potwierdzam kierowcy swoje imię i adres. Ruszamy. Przymykam powieki, pod którymi zebrały mi się łzy rozzalenia. Czy musiał mi wpaść w oko facet, którego akurat nie interesują kobiety? Czy naprawdę musiało mnie to

spotkać? Przez tyle czasu pozostawałam zamknięta na relacje damsko-męskie, a kiedy się otworzyłam, wydarza się coś takiego!

Otwieram oczy i sięgam po telefon. Pospiesznie wybieram numer Leo.

– Hej, *darling* – słyszę po chwili jego głos.

– Miałeś, cholera, pieprzoną rację – mówię bez wstępu. – Kuba i Paweł to geje.

– Skąd wiesz?

Opowiadam przyjacielowi o ostatnich godzinach w klubie, o tym, co się wydarzyło i co ujrzałam.

– Och, fatalnie. Wiesz co? Biorę wino i jestem za pół godziny u ciebie!

– Dzięki, Leo.

Przyjaciel zjawia się w moim mieszkaniu odrobinę później, niż zapowiedział, ale nie ma to znaczenia. Z uczuciem wdzięczności pozwalam mu się zamknąć w swoich ramionach i mocno przytulić. Dopiero później siadamy na kanapie w salonie i rozlewamy białe musujące wino do lampek. Stukamy się szkłem i upijamy po łyku.

– Ale nie widziałaś, żeby Kuba się z kimś obściskiwał? – podejmuje Leo.

– No nie – odpowiadam, sącząc wino łyk po łyku.

– I mówiłaś, że cię pocałował, wtedy, w Winter Wonderland.

– Kłamałam. – Tym razem wypijam zawartość lampki do dna, aby zabić ogarniającą mnie falę wstydu.

Leo wydaje z siebie przeciągły jęk.

– Kłamałaś? Dlaczego? Zuza!

– Tak się upierałeś, że są gejami, a ja nie chciałam w to wierzyć. Poza tym wydawało mi się kwestią czasu, kiedy rzeczywiście się to stanie. – Prycham pod nosem, zażenowana własną naiwnością. – Byłam przekonana, że jesteśmy o krok, ale zawsze coś nam przeszkadzało: pociąg wjeżdżający na peron, nagły śmiech przechodnia, szturchnięcie łokciem. – Wzdycham. – A wygląda na to, że Kuba nigdy nie zamierzał mnie pocałować, tylko ja... – Zniżam głos do szeptu: – Bardzo tego chciałam.

– Och, *darling*. Ale przecież ciągle nie masz pewności, że Kuba też jest homoseksualistą.

Niby nie, myślę, pociągając nosem.

– Może powinnaś go była po prostu o to zapytać? – sugeruje Leo.

Choć sama o tym pomyślałam w klubie, teraz wydaje mi się to pozbawione sensu. Mam zbyt wiele przesłanek jasno sugerujących, że jednak rzeczywistość nie wygląda tak, jak bym sobie tego życzyła.

– Miał tyle okazji, żeby mnie pocałować ... – Wybucham płaczem, a przyjaciel znów bierze mnie w swoje ramiona. – To nie było nasze pierwsze wspólne wyjście. Jak sam niedawno zauważyłeś, jesteśmy dorośli, niektórzy się nawet bzykają na pierwszej randce, a tu... – Głos mi się łamie, nie mogę nic więcej powiedzieć. Chlipię, a Leo przez cały ten czas przytula mnie do siebie.

– Jak mawiała moja babcia, tego kwiatu jest pół świata – stwierdza w końcu.

– Wiem – mówię, odrywając głowę od jego piersi. – Ale mnie się podoba właśnie Kuba.

– Ech, serce nie sługa: – wzdycha mój towarzysz niedoli i napełnia nasze lampki winem.

– A tobie się podoba? – pytam. Leo przenosi na mnie spojrzenie, podając mi alkohol. – Paweł albo Kuba? Skoro obaj są ciepłutcy...

Chichoczemy. Długo nie możemy przestać.

– Naprawdę mi przykro, że to tak wyszło – mówi przyjaciel, kiedy się uspokajamy.

– Życie. – Upijam łyk wina, wracając myślami do Andreja.

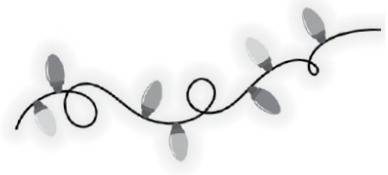
W tej chwili nie potrafię inaczej, jak zastanawiać się, czy na pewno nie wyrzuciłam ze swojego życia drugiej połówki. Owszem, Andrej nie przyprawiał mnie o takie drzenie, jakiego ostatnio miałam okazję doświadczyć w towarzystwie Kuby, i jeszcze na końcu mnie zdradził z inną, ale któż z nas nie popełnia błędów? Długo się kajał, zarzekał się, że był to jednorazowy wyskok i że bardzo mnie kocha.

Wypowiadam swoje myśli głośno.

– Przestań – karci mnie Leo. – Nie ma czegoś takiego jak przypadkowy skok w bok. Albo się kogoś kocha i jest się wobec niego lojalnym, albo nie.

I tyle.

Kiwam głową, bo przyjaciel ma rację. A potem znów napełniamy nasze lampki winem.



22.

To, co się dzieje za oknem, dosłownie mnie przeraża. Wieje jak wściekłe, nad Wyspy nadciąga kolejna tej zimy wichura. Ma być zdecydowanie silniejsza niż poprzednie i według synoptyków może potrwać znacznie dłużej. Do tego wszystkiego zaczął prószyć... śnieg. Stęskniłam się za widokiem białych płatków, ale w połączeniu z szalejącą wichurą wcale nie stanowi to przyjemnego obrazu. Kiedy tylko wyglądam przez okno, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nadciągnął jakiś cholerny koniec świata. Oczywiście przesadzam, ale pogoda jest tak zła, że w mieście stanęła komunikacja publiczna. Metro nie jeździ, część autobusów też. Na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia to istna katastrofa, chyba nie trzeba nikogo o tym przekonywać.

Spoglądam na swoją choinkę, jak dobrze, że zdecydowałam się ją ubrać wcześniej. I że kupiłam prezenty dla taty i Alice. Czasem naprawdę nie warto czekać do ostatniej chwili.

Wracam do kuchni i siadam przy stole. Rozkładałam się z laptopem, będę pracować dziś w domu. Sądząc po tym, co dzieje się na zewnątrz, pewnie przez kolejne dni także. Wieczorem czeka mnie jednak wyjście. Foreign Office, będące odpowiednikiem ministerstwa spraw zagranicznych, organizuje bankiet dla Eastern European Media. Media polonijne, jedne z najszerzej rozbudowanych na Wyspach, zawsze są zapraszane na tego

typu imprezy. Zwykle pojawia się na nich naczelną, ale czasem zabiera ze sobą kogoś jeszcze. Jako że mam najdłuższy staż pracy w redakcji, często jestem to ja. Miałam okazję być już na podobnym bankiecie wiosną, wtedy zaproszono nas na taras brytyjskiego parlamentu. Rozpościerający się stamtąd widok na Tamizę wywarł na mnie duże wrażenie, chyba na zawsze zostanie w mojej pamięci. Z racji zimowej aury dziś mamy się spotkać w budynku przedstawicielstwa Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej. Nie byłam jeszcze w Europe House, ale Oliwia zapewniała mnie, że to fajne miejsce, a pracujący tam ludzie są przesympatyczni. Budynek znajduje się niedaleko parlamentu i jeśli komunikacja publiczna do wieczora nie zostanie unieruchomiona, żeby tam dotrzeć, będę musiała wziąć taksówkę.

Ale na razie powinnam się skoncentrować na pracy. Mam sporo do nadrobienia. Wczorajszy dzień nie był zbyt produktywny, wypity wieczorem dwa dni temu alkohol, najpierw w klubie, a później butelka wina z Leo, zrobiły swoje. Ból głowy i mdłości nie opuściły mnie na krok do samego wieczora. Dlatego dziś muszę, po prostu muszę, się spać i zrobić to, co do mnie należy. Nie mogę przecież pozwolić na to, żebym przez jakiegoś faceta opuściła się w pracy. Nawet jeśli zadurzyłam się w nim po uszy.

Nie widziałam Kuby, odkąd wsiadałam do taksówki pod klubem. I nie zapowiada się, abym miała go szybko zobaczyć. O ile nie pomyliłam dat, już jutro wyjeżdża do Polski. Nie wiem, kiedy wróci, nie zapytałam go o to, ale w mojej sytuacji najlepiej, aby nie wracał wcale. Brzmi to nieco, jakbym mu złorzeczyła, ale to nie tak. Wciąż nie mam pewności, jak naprawdę wygląda sytuacja. Jasne, powinnam go o to zapytać, ale perspektywa nieodwracalnej klęski mnie blokuje. Podobnie jak przecucie, że rzeczywistość nie okaże się dla mnie łaskawa. A ja po prostu nie wyobrażam sobie nadal go widywać, gdyby faktycznie był gejem. Rozmawiać z nim. Utrzymywać sąsiedzkie relacje. Może nawet przyjacielskie, bo teraz, z perspektywy minionych dni, mogę śmiało powiedzieć, że właśnie na tym mu zależało. Jemu i Pawłowi. Gdyby nie to,

że się zakochałam, nie miałabym nic przeciwko temu. Obaj są naprawdę bardzo sympatyczni i myślę, że to by zagrało. Gdyby... Wzdycham ciężko.

Parzę sobie kawę, w nadziei, że dawka kofeiny pomoże mi się zmobilizować do pracy. Wypijam ją i nie czuję żadnego efektu, pisanie nadal idzie mi jak krew z nosa. Zamykam laptopa ze złością. Dlaczego zawsze trafiam na nieodpowiednich facetów? To takie... niesprawiedliwe. Zdaję sobie sprawę, że brzmię melodramatycznie, ale Kuba naprawdę poruszył we mnie to coś, co sprawia, że nie możesz przestać myśleć o drugim człowieku.

Zerkam przez okno. Choć pogoda niewiele się poprawiła, wydaje mi się, że jednak odrobinę mniej wieje. Postanawiam wykorzystać ten moment nieco spokojniejszej aury na wyjście do sklepu. Wczoraj w ogóle nie opuściłam swojego mieszkania i zaczyna mi brakować kilku podstawowych produktów. Do jutra bym wytrzymała, ale nie mam żadnej gwarancji, co się wydarzy. Według prognoz ma być tylko gorzej.

Ubieram się ciepło, ciesząc się w duchu, że zakupy świąteczne mam już za sobą. Zrobiłam je online i od kilku dni leżą w moich szafkach. Nawet jeśli nie uda mi się wyskoczyć do większego marketu przed świętami, to będę w stanie przygotować z nich kolację wigilijną i świąteczny obiad. Nie przejmowałabym się tym aż tak bardzo, gdybym nie spodziewała się gości. Wtem zastygam w bezruchu – a co, jeśli pogoda tak się pogorszy, że tata i Alice nie dadzą rady przyjechać? Z Liverpoolu nie jest aż tak daleko, ale to jednak kilkugodzinna podróż. Pociągi mogą zostać unieruchomione, ale drogi powinny być przejezdne, tłumaczę sama sobie.

Kiedy maszeruję do osiedlowego sklepu, nieco się uspokajam. Opady śniegu są w rzeczywistości niewielkie, prószy delikatnie, to jedynie wiatr wzmacnia wrażenie zamieci śnieżnej. Na ulicy zalega jedynie cienka warstwa białego puchu, samochody w wielu miejscach zdążyły go już rozjeździć. Wyobrażam sobie, że taki stan rzeczy może być problemem dla nieprzystosowanych do podobnych warunków trakcji kolejowych i metra, ale autostradom nie powinien on specjalnie zagrozić.

Kupuję francuską bagietkę, świeże mleko i trochę owoców. Niczego więcej nie potrzebuję. Wracam z zakupami, znów bacznie przyglądając się warstwie śniegu. Mam wrażenie, że mimo wszystko jest go coraz więcej. Chodniki i deptaki pokryte są białym puchem, to wciąż zaledwie centymetrowa warstwa, ale nie topnieje. Słyszę śmiechy dzieci, które, zafascynowane tym rzadkim na Wyspach zjawiskiem pogodowym, bawią się w najlepsze. Sama ulepiłabym chociaż małą śnieżną kulkę, ale w obecnej sytuacji widok, za którym tak tęskniłam, wywołuje u mnie strach. Jeśli tata i Alice utkną w Liverpoolu, nie mam pojęcia, jak przeżyję te święta. Bez bliskich i na dodatek ze świeżo złamanym sercem. Kompletnie sama. Nie zniosę tego.

Nagła salwa piskliwego śmiechu sprawia, że obracam głowę. Dwóch chłopców rzuca się śnieżkami i ma z tego świetną zabawę. Nie może być inaczej, przypomina mi się, jak obrzucaliśmy się śniegiem z Agatą i Arkiem. Naprawdę to uwielbialiśmy, niestraszne nam były zimno i wilgoć.

Moje wspomnienia szybko się jednak rozmywają, bo po drugiej stronie ulicy zauważam... Pawła. Natychmiast odwracam głowę, mając nadzieję, że sąsiad mnie nie dostrzegł, i przyspieszam kroku.

– Cześć... – słyszę przeciągłe powitanie tuż za sobą, kiedy jestem już przy klatce schodowej.

A jednak, zobaczył mnie...

– Uciekasz przede mną czy mi się wydaje? – rzuca.

Nie mam innego wyjścia, jak przystanąć i odwrócić się w jego kierunku.

– Nie, skąd – odpowiadam. – Nie zauważyłam cię. A poza tym po prostu się spieszę.

– Aha. – Paweł świdruje mnie wzrokiem. – A mnie się jednak wydaje, że chciałaś uciec. Czy to dlatego, że jestem gejem?

Robi mi się potwornie głupio. Nie pomyślałam, jak to wygląda. Skoncentrowana na swoim rozczarowaniu, przegapiłam, że moje zachowanie może zostać opacznie odebrane. Nie chcę, aby postrzegano mnie jako osobę ksenofobiczną, bo taka nie jestem. Akceptuję inność, różny kolor skóry, odmienną orientację seksualną czy nawet dziwaczne

upodobania. Nie chcę, aby Paweł miał o mnie błędne wyobrażenie. Kuba także.

– Przepraszam, może tak to wyglądało – odzywam się. – Nie mam nic przeciwko homoseksualistom. Leo, fotograf, który był ze mną na festynie na Ilford, też jest gejem, a przyjaźnimy się już od lat.

– Aha. To mi ulżyło. – Paweł posyła mi uśmiech. – Tak nagle zwinęłaś się z imprezy, że różnie można było sobie pomyśleć. Pewnie powinienem cię uprzedzić...

– Nie, to naprawdę nie o to chodzi – zapewniam, przypominając sobie wszystko, co się wtedy działo.

– A o co? – dopytuje sąsiad. Wiatr się wzmaga, jeden z podmuchów o mało mnie nie przewraca. – Coś się tam wtedy stało? – docieka. – Naprawdę szybko uciekłaś.

Owijam się ciasniej szalikiem, bo robi mi się coraz zimniej. Nie chcę odpowiadać na pytanie, ale Paweł zagroził mi wejście na schodki i jestem w potrzasku. W głowie kłębią mi się wspomnienia z klubu. Kuba nie obściskiwał się z żadnym facetem, ale w całym towarzystwie było sporo osób nieheteroseksualnych, a mieszka przecież z Pawłem...

– Kuba też jest gejem? – wyrzucam z siebie, chcąc wreszcie usłyszeć prawdę i definitywnie pozbyć się nadziei, która wciąż nieśmiało błąka się gdzieś z tyłu mojej głowy.

Paweł przygląda mi się w milczeniu. Nie wiem, dlaczego nic nie mówi. Wygląda, jakby się zastanawiał, może nawet z czymś gryzł.

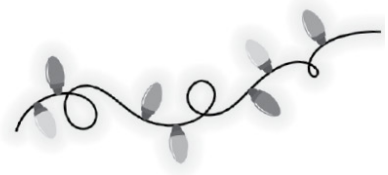
– Spodobał ci się? – Chyba bardziej stwierdza, niż pyta.

Spuszczam wzrok. Nie chcę się do tego przyznawać, ale moje milczenie jest aż nadto wymowne. Paweł też wybiera ciszę.

– Przykro mi, Zuza – słyszę w końcu i resztki nadziei, jakie się we mnie tliły, te szepczące, że może jednak źle zinterpretowałam rzeczywistość, rozpadają się w drobny mak.

– Wybacz, tak jak mówiłam, spieszę się. – Przciskam się obok Pawła i truchtem pokonuję schodki. Nie przejmuję się, że od padającego śniegu są

mokre i łatwo można na nich wywinąć orła. Chcę jak najszybciej znaleźć się w swoim mieszkaniu.



23.

Europe House faktycznie okazuje się sympatycznym miejscem. Zostajemy bardzo miło przywitane przez organizatorów. Oliwia ma na sobie czerwoną połyskującą suknię, która idealnie pasuje do jej osobowości. Sama wybrałam mniej rzucającą się w oczy czerń. Moja sukienka jest dopasowana i kończy się tuż przed kolaniem. Z lampkami wypełnionymi szampanem przechadzamy się po przestronnej sali, w której zgromadzili się niemal wszyscy przedstawiciele wschodnioeuropejskich mediów działających na terenie Wielkiej Brytanii. Polskich redaktorów jest zdecydowanie najwięcej, w końcu Polonia stanowi sporą mniejszość narodową na Wyspach. Są media bułgarskie i rumuńskie. Przez brytyjskie Biuro Spraw Zagranicznych jesteśmy wrzucani wszyscy do jednego worka.

Rozglądam się po sali, widzę kilka znajomych twarzy. Rozpoznaję dziennikarzy z innych polskich portali. Oliwia wita się z każdą osobą, która już kiedyś została jej przedstawiona. Wymienia uprzejmości, dyskutuje. Robię to samo, miło jest zobaczyć osoby, z którymi jeszcze jakiś czas temu widywałam się codziennie. Po przeniesieniu siedziby portalu ten kontakt się urwał albo ograniczył do wiadomości mailowych.

– Pierogi, pierogi? – słyszę nagle słowa po polsku wypowiedane z mocnym brytyjskim akcentem. Obracamy się wraz w Oliwią w stronę, skąd padają. Okazuje się, że przed nami stoi sam sekretarz do spraw

zagranicznych, szef Foreign Office. – Witam, pięknie panie! – mówi już po angielsku.

Oliwia, choć spotyka się z nim nie pierwszy raz, musi mu przypomnieć, z którego portalu jesteście. Wtedy polityk zaczyna zachwalać naszą działalność, jakby co najmniej regularnie śledził wpisy w internecie i czytał nasze czasopismo. Nie potrafi też powstrzymać się od komplementów pod adresem polskich kobiet, niemal natarczywie chwali naszą wrodzoną urodę. Słyszałam, że sekretarz to rasowy *ladies' man*, ale nie sądziłam, że bez najmniejszego skrępowania się z tym obnosi.

Dyskutujemy przez chwilę, właściwie do momentu, kiedy na horyzoncie pojawia się Zbyszek Walczyk, redaktor naczelny polonijnego portalu konkurującego z Londyn PL. Wtedy sekretarz traci nami zainteresowanie i wdaje się w rozmowę z dziennikarzem. Oliwia prychnie wściekle pod nosem. Przenoszę na nią spojrzenie.

– Polityka to wciąż *men's world* – cedzi przez zęby. – I niestety dziennikarstwo też.

Unoszę wysoko brwi ze zdumienia. Naczelną to najbardziej przebojową kobietą, jaką znam, i wydawało mi się, że kto jak kto, ale akurat ona ma w nosie takie niesnaski.

– Tak niestety jest, Zuza. – Wzdycha, kiedy się jej dłużej przyglądam. – Powiem ci tak... – podejmuje, zapewne widząc konsternację na mojej twarzy. – Jestem pewna, że gdybym miała na imię Oliwier, a nie Oliwia, zarabiałabym więcej. A i sekretarz nie odszedłby tak szybko do innego dziennikarza.

Unoszę brwi jeszcze wyżej, bo miałam nadzieję, że nierówności w płacy ze względu na płeć nie dotyczą kraju, w którym obecnie żyję, ale najwyraźniej ta powszechna niesprawiedliwość wciąż pojawia się wszędzie.

– Ale to nic... – Szefowa upija łyk alkoholu. – I tak uczynię Londyn PL portalem o największym zasięgu.

– Już to zrobiłaś – przypominam jej, a ona cmoka głośno.

– I tak pozostanie – mówi.

Podchodzi do nas Georgi Petrov, naczelny bułgarskiego portalu internetowego. Oliwia zaczyna z nim rozmawiać, a ja rozglądam się dookoła. Wtedy uświadamiam sobie, że przełożona ma rację, to jest *men's world*. Wśród zaproszonych gości dominują mężczyźni, w redakcjach przeróżnych mediów też częściej zasiadają właśnie oni. Londyn PL jest wyjątkiem na tym polu, mamy w swoim zespole zdecydowanie więcej kobiet, ale teraz już wiem, że to zasługa samej Oliwii. Nigdy nie poczułam się w tym kraju dyskryminowana ze względu na płeć, ale nie jest tajemnicą, że wybicie się w zawodach uznawanych za typowo męskie stanowi wyzwanie. Choć ludzka cywilizacja dojrzała do dwudziestego pierwszego wieku, to wciąż jest to problem na skalę globalną.

– Cześć, Zuza – rozlega się nagle za moim plecami. W jednej chwili oblewa mnie fala ciepła. Nie spodziewałam się, że Andrej tutaj będzie.

Obracam się w jego stronę. Jest elegancko ubrany, ma na sobie starannie uprasowane spodnie i koszulę z mankietami na spinki. Jest ogolony na gładko i ładnie pachnie. Tylko włosy zdają się nie pasować do całości. Tak jak na co dzień, tak i teraz jego jasne, trochę jak zawsze przydługie kosmyki sterczą mu na wszystkie strony. Byłabym niesprawiedliwa, gdybym nie przyznała, że dodaje mu to chłopięcego uroku. To między innymi on sprawił, że moje serce zabiło dla niego mocniej.

– Cześć, Andrej – odpowiadam. Uśmiecha się do mnie, przygląda mi się przy tym badawczo. – Nie sądziłam, że tutaj będziesz – mówię.

– Naczelny się rozchorował. Zostałem oddelegowany.

Spoglądam na niego, zastanawiając się, czy rzeczywiście tak wygląda prawda. Trudno mi uwierzyć w ten przypadek.

– Jak się bawisz? – pyta mnie. Mówi po polsku, właściwie płynnie. Tylko czasem zdarza mu się potykać albo nieprawidłowo odmienić czasownik.

– Dobrze zorganizowany bankiet – oceniam. – Można poznać wielu wpływowych ludzi, poszerzyć kontakty.

– To ważne w naszej branży – komentuje, nie przestając mi się przyglądać. Słowo „naszej” dźwięczy mi w uszach. Od dawna nie ma nic, co mogłabym określać w ten sposób. Nawet wspomnienia są przecież

„moje”, a nie „nasze”. W tej chwili zaczynam się zastanawiać, czy na pewno. Przecież to, co było, jest „nasze”, nie da się wymazać łączącej nas przeszłości.

Spoglądam na Andreja i widzę go inaczej niż przez te ostatnie lata po rozstaniu. To dobry człowiek, popełnił błąd, ale to naprawdę dobry człowiek. Chwilę z nim byłam i zdążyłam się o tym przekonać. Mogliśmy zbudować razem coś dobrego, wspólną radosną przyszłość. Znam powiedzenie, że drugi raz nie wchodzi się do tej samej rzeki, ale przecież nie ma też ludzi nieomylnych. Andrej się pogubił i zrobił coś, czego do tej pory żałuję, a ja może się pomyliłam, nie dając mu szansy się zrehabilitować? A chyba nie jest bez znaczenia to, że ciągle pojawia się w moim życiu. Nagle wpada mi do głowy myśl, która jest jak natrętna mucha. Czyżby uczucie, które nas wtedy połączyło, wcale nie wygasło? Może cały czas gdzieś między nami majaczyło, mam wrażenie, że właśnie wypełzło z kryjówki.

– Wiesz, Zuza... – podejmuje Andrej, kiedy tak się sobie wzajemnie przyglądamy. – Może to niewłaściwy czas ani tym bardziej miejsce, ale... ja wciąż chcę, byś była w moim życiu.

Wytrzeszczam oczy ze zdumienia, jestem tak oszołomiona jego wyznaniem, że kompletnie nie wiem, co powiedzieć. Nie mam pojęcia, czy nosił się z podobnym zamiarem już od dawna, czy w jakiś nadprzyrodzony sposób przejrzał moje myśli sprzed chwili, ale jego słowa uświadamiają mi, że byłam dla niego kimś ważnym, choć ciągle wmawiałam sobie, że wcale nie, skoro mnie zdradził. Co więcej, to, co mówi, uzmysławia mi, że on także był dla mnie ważną osobą. A może nadal jest?

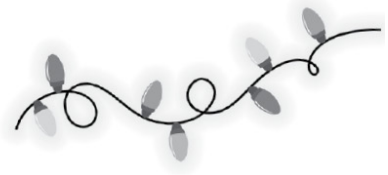
– Wiem, trochę nie pora na takie rzeczy – mówi. – Ale nie mogę przestać o tobie myśleć. Próbowałem i nie potrafię bez ciebie żyć.

Przełykam ślinę przez gardło ściśnięte przeróżnymi emocjami. Czuję wszystko naraz: zaskoczenie, tęsknotę, iskrę radości, chyba pomieszaną z jakąś dziwną satysfakcją, i strach. A także niepewność. Nie wiem, co w tej chwili powinnam zrobić.

– Będę na ciebie czekał tak długo, jak będzie trzeba – dodaje.

– Skąd pewność, że się doczekasz? – wymyka mi się z ust zupełnie niekontrolowanie.

– To nie pewność, Zuza, to nadzieja.



24.

– Co tym razem pichcisz?

Marta wchodzi do kuchni, strzepując z włosów płatki śniegu, które nie zdążyły się roztopić, odkąd pojawiła się w mieszkaniu. Wygląda na przemarzną. To utwierdza mnie w przekonaniu, że na zewnątrz nic się od wczoraj nie zmieniło. Nadal jest paskudnie, wietrznie i potwornie zimno.

– Christmas pudding – odpowiadam. – Tak, jak ci już wspomniałam, chcę wprowadzić trochę angielskich akcentów w te święta. Ze względu na Alice.

– To naprawdę miłe z twojej strony – stwierdza współlokatorka. – Kiedy tata przyjeżdża?

– Jutro. – Uśmiecham się.

Ogromnie się cieszę, że niedługo się zobaczymy. Po wydarzeniach ostatnich dni wręcz nie mogę się doczekać jego przyjazdu. Towarzystwo bliskiej osoby, na którą zawsze mogę liczyć, jest mi teraz wyjątkowo potrzebne. Nie dość, że sprawa z sąsiadem potoczyła się dla mnie w najgorszym możliwym kierunku, to jeszcze wczoraj podsyciłam nadzieję Andreja. Nie może być inaczej, skoro po tym, co mi wyznał, spędziłam z nim właściwie resztę bankietu. Do niczego poważnego nie doszło, tylko rozmawialiśmy i od czasu do czasu na siebie spoglądaliśmy, jednak to i tak wiele, zważywszy na nasze ostatnie kontakty. Poczęstunek i przemowy polityków zeszły na zupełnie dalszy plan, bo w głowie huczało mi jedno

zdanie: „Chcę, byś była w moim życiu”. Piękne słowa, które trafiły do mnie głęboko, ale jednak mam wrażenie, że nie mogą znaleźć sobie we mnie wygodnego miejsca. Jakby były mi bezwzględnie potrzebne, ale nie do końca pasowały do tego, co czuję, do tego, czego pragnę.

– Ja od jutra zaczynam świąteczne dyżury, więc właściwie będziesz miała wolną chatę – oświadcza Marta.

– Żeby ci czasem nie przyszło do głowy nie wracać do mieszkania, by nam nie przeszkadzać, czy coś w tym stylu – strofuję ją.

– Nie, spokojnie. Ale... – Koleżanka nagle milknie. Zerkam na nią kątem oka. Sprawia wrażenie niezdecydowanej, jakby chciała coś powiedzieć, ale potrzebowała do tego zachęty.

– Ale co? – dopytuję więc.

– Możliwe, że nie wrócę na jedną czy dwie noce.

– Bo? – Zostawiam masę z bakaliami i zaciekawiona obracam się w kierunku współlokatorki.

– Od kilku tygodni spotykam się z takim jednym... Jest fizjoterapeutą. No i chyba w czasie świąt pogłębimy naszą relację. – Chichocze podekscytowana.

– Świetnie! Co za superwiadomość, naprawdę! Dlaczego nic wcześniej nie mówiłaś?

– Nie chciałam zapeszać. Wiesz, jak jest...

Wiem. I to aż za dobrze.

– Cieszę się – dodaję jeszcze, rzeczywiście tak czując, ale jednocześnie nie mogąc pozbyć się drobnego ukłucia zazdrości. – I mam nadzieję, że wszystko ułoży się wam tak, jak tego chcecie.

– Dzięki, Zuza. – Marta nie może przestać się uśmiechać.

Wracam do mojego Christmas pudding, myśląc tylko o tym, że ja też bym tak chciała. Aby się udało. Aby mi się w końcu w życiu poukładało.

Wzdycham bezgłośnie, bo na zbyt wiele spraw nie mam wpływu. Marta idzie do swojego pokoju, a ja postanawiam skoncentrować się na tym, nad czym mam jeszcze kontrolę. Skupiam się na świątecznych przygotowaniach. Przekładam gotową masę na Christmas pudding do

naczynia żaroodpornego z okrągłym dnem. Przykrywam pergaminem, obwiązuję sznurkiem, aby się nie zsunął, po czym zawijam w ścierkę. Wstawiam naczynie do dużego garnka z wodą. Ustawiam mały ogień. Teraz powinien się gotować pod przykryciem kilka godzin. Muszę pamiętać o stałym uzupełnianiu wody – ma sięgać do połowy naczynia. Sprawdzam, czy wszystko dobrze zrobiłam. Wygląda na to, że o niczym nie zapomniałam. Wtedy odzywa się mój telefon. Wycieram dłonie i sprawdzam, kto dzwoni. Na wyświetlaczu pojawia się zdjęcie taty.

– Hej – odbieram.

– Cześć, Zuza.

Zuza? Nie córcia, córeczko czy skarbie? Do tego nie podoba mi się ten ton. Jest... poważny. Zbyt poważny.

– Co tam, tato? – pytam. – Jak pakowanie?

– Aaa, wiesz, idzie jakoś tak... Znaczy. – Bierze wdech. – Zuza, posłuchaj...

Spinam się, całe moje ciało jakby szykowało się na jakiś zmasowany atak.

– Bardzo mi przykro i bardzo cię przepraszam. Nie wiem, jak ci to wynagrodzę, ale mam nadzieję, że zdołam i że zrozumiesz.

– Ale co? – dukam nerwowo.

– Nie damy rady przyjechać.

– Co?

– Przepraszam, córeczko...

– A-ale jak to? Jak to nie dacie rady przyjechać? Co znaczy, że nie dacie rady? – Wciąż sędzę, że coś źle zrozumiałam.

– Muszę iść do pracy w Wigilię. Nagła sprawa, nie mogłem odmówić.

Milczę, zastanawiając się, na ile coś takiego jest prawdopodobne. Tata pracuje w firmie obsługującej budynki, dba o ich stan i organizuje konieczne naprawy i wszelkie remonty. Czy jest możliwe, aby musiał pracować w święta?

– Nie możesz znaleźć kogoś na swoje miejsce? – pytam.

– Nie, córeczko, naprawdę nie mogę...

Czuję się jak balon, z którego właśnie uszło powietrze. Nie mam nawet siły stać. Opadam na krzesło przy stole, garbiąc ramiona.

– Możesz do nas przyjechać. – Głos taty słyszę jak przez mgłę. Rozgrywa się scenariusz z moich koszmarów. Będę sama w te święta. – Jutro już Wigilia, ale może jakieś bilety będą jeszcze dostępne. Sprawdzę i ci kupię.

– Stać mnie na bilet, tato – mamroczę, otumaniona sytuacją.

– Tak, wiem, wiem. Nie o to mi przecież chodziło. Nie denerwuj się, córeczko. Sprawdzałem, wczoraj ruch kolejowy był wstrzymany, ale dziś już wszystko jeździ. Może będą jeszcze bilety na jutro... – powtarza.

Milczymy chwilę. Właściwie nie mam nic do powiedzenia, brakuje mi słów, aby wyrazić to, co czuję.


– Przyjedziesz? – odzywa się tata z nadzieją w głosie.

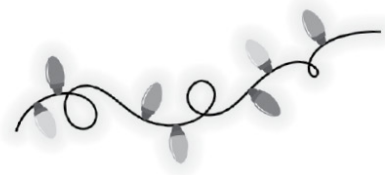
– Zastanowię się i dam znać. – Bez pożegnania kończę połączenie. Siedzę z komórką w dłoni, zastanawiając się, czy nie występuję przypadkiem w jakimś kabarecie. Tyle że nic, co się dookoła mnie dzieje, nie jest zabawne. To prędzej senny koszmar. Dolatuje mnie zapach Christmas pudding, jest tak autentyczny, że możliwość snu też odpada.

Odkładam telefon i ukrywam twarz w dłoniach. Chce mi się płakać i wrzeszczeć jednocześnie, kłębi się we mnie tyle frustracji, że moje ciało aż drży. Musi iść do pracy? Czy jednak chce spędzić święta tylko z Alice? A może to ona go do tego zmusiła?! Mam ochotę chwycić za telefon i zadzwonić do niej, zapytać wprost, czy to jej sprawka. Powstrzymuję się jednak, bo nie chcę robić głupot, których bym później bardzo żałowała. Żona ojca nie wydaje się ani wredna, ani zaborcza, może więc tata naprawdę musi iść do pracy?

Unoszę głowę i rozglądam się po kuchni. Lukrowane pierniki, które piekłam z taką zaciętością, zdają się ze mnie śmiać. I na co to wszystko? Mam ochotę wstać i wyrzucić te przekłete ciastka przez okno, ale nim ta furia dochodzi do głosu, przychodzi SMS. Zerkam na komórkę, przekonana, że to tata. Pewnie teraz będzie mnie przekonywał, abym przyjechała do Liverpoolu.

Mylę się jednak, wiadomość nie przychodzi od taty. Jest za to tak krótka, że nie muszę nawet w nią klikać, aby móc poznać jej treść.

 Cześć, co u Ciebie?



25.

Jak się sypie, to się sypie wszystko. Przekonałam się o tym już kilkakrotnie, ale życie mi o tym przypomina, jakby ciągle było mi mało.

Gapię się na SMS-a od Kuby, nie mając pojęcia, co z nim zrobić. Nie mogę mieć mu za złe, że chce się kolegować, to pogodny i kontaktowy człowiek. Ale ja nie dam rady. Nie, kiedy na samo jego wspomnienie moje serce bije mocniej. Zupełnie, jakbym chciała zagłuszyć to uczucie. Myślę o tym, aby napisać do... Andreja. Po wczorajszym bankiecie wiem, że mogę liczyć na wiele z jego strony. Trudno stwierdzić, czy to desperacja, czy wściekłość, ale mam ochotę ponownie otworzyć się na uczucie, którym wciąż mnie darzy. Może tak naprawdę sama czuję dokładnie to samo, tylko ciągle rozpamiętuję tamtą zdradę? I tamten zawód skutecznie przysłania mi obraz własnych pragnień.

Zanim decyduję się, co zrobić, przychodzi nowa wiadomość. Ta jest od taty. Tak, jak się spodziewałam, namawia mnie, żebym przyjechała do Liverpoolu. Nie chce, bym spędziła święta sama. Ja też tego nie chcę, ale inaczej miało to wszystko wyglądać.

Andrej. Wiem, że jest tutaj sam. Jego rodzina mieszka w Czechach i rzadko jeździ do kraju, na święta nigdy. Może się to zmieniło przez ostatnie lata, choć naprawdę w to wątpię. Chłopak odciął się od ojczyzny, po prostu wybrał Wyspy jako swoje miejsce na ziemi i to właśnie z Anglią

zawsze wiązał swoją przyszłość. Mogłabym z nim spędzić święta. Czy to nie byłoby cudowne, gdyby nasze drogi zeszły się właśnie w Boże Narodzenie?

„Chcę, byś była w moim życiu” – wciąż słyszę jego słowa. A gdyby tak im ulec? Znow próbuję je wchłonąć, trafiają we mnie głęboko, ale ponownie uwierają.

Od tego wszystkiego zaczyna łąpać mnie w skroniach. Myślę o tym, aby zadzwonić do Leo. Wiem, że zjawi się tutaj, kiedy tylko powiem, że tego potrzebuję. Ale nie chcę tego – nie chcę odrywać go od rodziny i własnych zajęć. Jutro przecież Wigilia.

Sprawdzam poziom wody w garnku, w którym gotuje się Christmas pudding, choć nie będzie miał go przecież kto zjeść. A potem powłócząc nogami, idę do sypialni. Zagrzebuję się w pościeli. Nika zwija się w kłębek obok mnie. Zасыpiam. Budzę się po jakimś czasie, okazuje się, że spałam prawie cztery godziny. Zmuszam się, aby wstać i zajrzeć do kuchni. Szczęśliwie z garnka ze świątecznym deserem nie wyparowało zbyt wiele wody, wszystko pewnie dzięki pokrywce. Zdejmuję naczynie z gazu i odstawiam deser do wystygnięcia. A potem wracam do łóżka. Chcę znow zasnąć. Przespać cały ten czas. Całe święta. Obudzić się w nowym, lepszym świecie.



Pobudka jest koszmarnie trudna. Przez długi czas otwieram i zamykam oczy, na przemian przysypiam i się budzę. W końcu od zbyt długiego leżenia zaczyna boleć mnie głowa. A może od wczoraj wcale nie przestała?

Wstaje i idę do kuchni po tabletki przeciwbólne. Łykam od razu dwie. Spoglądam na salon, gdzie pyszni się wielka choinka. Przestała mi się podobać, nagle wygląda jak przerośnięty badyl z idiotycznymi dekoracjami.

– Hej, Zuza – słyszę za sobą głos Marty. – Lecę już do pracy. Dziś i jutro raczej na pewno nie wrócę na noc.

Obracam się w stronę współlokatorki, a ona niemal w tym samym momencie mnie obejmuje.

– Dobrych świąt! – mówi.

– Dobrych świąt! – odpowiadam, siląc się na uśmiech. Nie mam zamiaru opowiadać Marcie o tym, co się stało. Jeszcze przyjdzie jej do głowy zmieniać swoje plany, abym nie została sama w święta. – Baw się dobrze z tym swoim fizjoterapeutą. – Staram się brzmieć zawadiacko.

– Oj, dzięki. – Szeroki uśmiech pojawia się na jej rozpromienionej twarzy. Radość dziewczyny kłuje mnie głęboko. Zbyt głęboko. Nawet w obliczu własnych niepowodzeń nie mam prawa zazdrościć szczęścia drugiemu człowiekowi. – Zostawiłam dla ciebie prezent pod choinką – rzuca. – Tylko rozpakuj dopiero po kolacji wigilijnej!

– Jateż! – wykrzykuję, przypominając sobie o książce, którą mam dla Marty. Kompletnie o niej zapomniałam. Przechodzę do salonu i wyjmuję spod choinki właściwy pakunek. Wręczam go koleżance. – Odpakuj dopiero wieczorem, po wigilii!

– Ma się rozumieć! Dzięki! – Współlokatorka jeszcze raz mnie przytula. – To leczę, na razie!

– Cześć! – wołam za dziewczyną, po czym wracam do salonu i znów zapatruję się na choinkę.

Dobrze, stwierdzam po chwili. Nie wyszło, to nie. Może święta nie są dla wszystkich, może nie są dla mnie. Czuję, że przegrałam, ale mimo wszystko nie zostałam pokonana. Mogę wykorzystać ten czas na wiele innych przyjemnych rzeczy. Przeczytam książki, które zalegają mi na półce, nadrobię filmy, których nie miałam czasu obejrzeć. Będzie fajnie!

Kładę prezent od Marty pod choinką, tuż obok podarków dla taty i Alice. Ich widok sprawia, że ściska mnie w dołku. Myśl, że ich nie rozpakują, nieprzyjemnie mnie dławi. Będzie fajnie!, powtarzam sobie.

Ubieram się, czeszę i maluję, a potem siadam w salonie i zabieram się do Netflix'a. Między jednym filmem a drugim zamawiam pizzę. I to jest Wigilia! Cisza i spokój, bez zbędnego zamieszania, krzątania się w kuchni i przejmowania się setką bzdetów bez znaczenia. Chyba to polubię.

Otwieram puszkę sprite'a, z cukrem, pieprzyć kalorie. Za każdym razem, kiedy przechodzę obok drzwi wyjściowych, na podłodze leży kolejna koperta. To kartki z życzeniami świątecznymi od mieszkańców bloku. Angielska tradycja, którą sama zamierzałam kultywować w tym roku. Wypisane koperty czekają, aż je dostarczę do okolicznych domów. Niedoczekanie! Przy Marcie zachowałam pozory, teraz nie muszę tego robić. Wyrzucam do kosza kartki, które przygotowałam dla sąsiadów, i każdą kolejną, którą dostaję.

Trwam w takim nastroju do popołudnia. Kilka minut po czternastej mam dość, rozklejam się. Wcale nie jest mi dobrze, nic nie wygląda tak, jak chciałabym, by wyglądało. Zwijam się w kłębek na łóżku i płaczę, chyba jednak zostałam pokonana. Przez życie. Za dużo ode mnie wymaga, wystawiło mnie na zbyt wiele prób.


Nika wskakuje na łóżko, zaczyna się łąsić i głośno mruzczyć.

– Chodź tu – mówię, zagarniając kotkę bliżej siebie. Wtulam się w jej mięciutkie futerko. – Tylko ty mi pozostałaś – szepczę. – Tylko ty.

Chwilę później dociera do mnie, że gadam, jakby przez świat przeszła apokalipsa, a ja okazałam się jedynym ocalałym człowiekiem. Nawet jeśli będę bardzo się upierać, wciąż są ludzie, którym na mnie zależy. Tata. Nie ma znaczenia, czy musiał faktycznie iść do pracy, czy po prostu inaczej wyobrażał sobie te święta. Wiem, że mnie kocha. Mam Leo, niezastąpionego przyjaciela. Martę... Może nie łączy nas nie wiadomo co, ale nie jest mi zupełnie obojętna i pewnie ja jej też. No i Andrej. On zawsze przywita mnie z otwartymi ramionami. Jest jeszcze Agata... Nie rozmawiamy, ale jesteśmy siostrami i kiedyś byliśmy ze sobą naprawdę blisko.

To, co robię, jest do bólu żałosne. Bezczyenne uzalanie się nad sobą jest najgorszym rozwiązaniem każdego problemu. Podnoszę się z łóżka i rozglądam po pokoju, jakbym szukała utraconej energii. Musi gdzieś tutaj być, nie mogę tak spędzić świąt. W końcu odzywa się moja komórka. Dzwoni Leo. Cała gama emocji ściska mnie za gardło, dławię się nią.

Połączenie wygasa, a ja gapię się na telefon aż do chwili, kiedy przychodzi SMS.

 *Merry Christmas, baby!* Zuza, dzwoniłem, pewnie jesteś już zajęta tatą i Alice, nie będę Ci za bardzo zawracał głowy, chcę Ci tylko życzyć cudownych świąt! :) Ciesz się bliskimi! Pozdrów ode mnie swojego tatę!

Gdy tylko kończę czytać wiadomość, zrywam się z miejsca. SMS od Leo przeważa szalę. Szukam w popłochu walizki, wrzucam do niej trochę ubrań i bieliznę. Potem kosmetyki, kilka tych najbardziej potrzebnych. Sprawdzam, czy w torebce mam dokumenty i portfel, dorzucam do niej telefon. Na koniec idę do kuchni i po brzegi wypełniam jedzeniem miski Niki. Wymieniam wodę na świeżą. Czyszczę kuwetę. Później zadzwonię do Marty i poproszę ją, by zajęła się kotką. Wiem, że nie będzie miała nic przeciwko temu, wiele razy już to robiła. Traktuje Nikę, jakby ta była także jej zwierzakiem. Żegnam się z pupilem i w końcu wychodzę z domu.

Na schodach orientuję się, że nawet się nie upewniłam, czy jeździ metro albo czy działają jakiegokolwiek połączenia międzymiastowe. Trudno, idę na żywioł. Tata wspominał, że pociągi kursują. Jeśli okaże się, że metro jest zamknięte, na dworzec kolejowy dotrę taksówką. Nie będę w te święta sama, bo mam bliskich, których kocham!

– Zuza! – Nieoczekiwanie słyszę swoje imię. Zaskoczona zerkam przez ramię. – Zuza!

Kuba?

Obracam się, marszcząc czoło ze zdziwienia. To naprawdę on. Zbiega ze schodków, truchta w moją stronę.

– A ty dokąd? Coś się stało? – pyta jakby z przejęciem.

Przyglądam mu się podejrzliwie.

– Zauważyłem, że idziesz z walizką. Akurat byłem w kuchni – tłumaczy pospiesznie. – Dokąd jedziesz?

– Do Liverpoolu. Do taty.

– A to tata nie miał przyjechać do ciebie?

– Plany się zmieniły – rzucam szorstko i już mam się odwrócić i pójść w swoją stronę, kiedy orientuję się, że Kuby nie powinno tutaj być. – A ty jeszcze w Londynie? Nie mieliście jechać do Polski przedwczoraj?

– Mieliśmy. Ale się nie da.

Mrużę oczy, nie bardzo rozumiejąc.

– Nie słyszałaś, co się dzieje na wybrzeżu? Uderzył orkan, największy od ponad pięciu lat. Nic nie działa. Eurotunel zamknięty, promy nie kursują, za duża wichura na morzu. Nie wiadomo, ile to potrwa.

Na potwierdzenie złej pogody atakuje nas zimny, porywisty podmuch wiatru. Szczękam zębami. Skoro w Londynie tak wieje, to nie wyobrażam sobie, co musi się dziać na morzu.

– Czyli twoje plany też szlag trafił – konkluduję.

– Marceli udało się kupić bilet na samolot, poleciała wczoraj. Cena kosmiczna, ale mama ma już swoje lata i wiesz, wolimy być z nią w każde święta... Niestety dla mnie już brakło biletów. Kiedy zamknęli przeprawy przez kanał La Manche, ludzie rzucili się na samoloty. I tak cud, że te latają przy tej pogodzie.

– No tak. Przykro m-mi. – Szczękam zębami jeszcze mocniej. Jest pioruńsko zimno. – Tata zadzwonił wczoraj, że nie przyjedzie – mówię, zaskoczona swoją nieoczekiwaną wylewnością. Kuba koncentruje na mnie swoje spojrzenie. – Twierdzi, że wypadła mu praca i nie może się z niej wywinąć, ale mi się wydaje, że... – zacinam się.

– Że co?

– Długa historia. – Zbywam pytanie sąsiada, bo tak naprawdę nie wiem, co się wydarzyło. – Ach-h-h, jestem taka wściekła na niego! – wybucham. – Normalnie aż bym komuś przywaliła!

– No dobra, zgłaszam się na ochotnika. – Kuba szczerzy się w uśmiechu.

Mimowolnie odpowiadam mu tym samym, chłopak jest pogodny i zabawny, i cholera, nic tego nie zmieni.

– Jak mógł mi to zrobić? – mówię nieco spokojniejszym tonem. W tym samym momencie pomyśl, aby jechać do Liverpoolu, wydaje mi się niewart zachodu i zwyczajnie niepoważny. – Wybacz, to wszystko jest takie

pokręcone. Pewnie i tak nie ma już wolnych biletów na pociąg. – Prycham, kopiąc nogą swoją walizkę.

– Widzę, że masz równie parszywy humor jak ja.

– Nie da się ukryć – wzdycham.

Przez chwilę spoglądamy na siebie w milczeniu. Ciśnie mi się na usta, że jednym z powodów tego mojego ponurego nastroju jest właśnie on. Przymykam oczy i biorę głęboki wdech, by nie palnąć żadnej głupoty.

– Mam dość tych świąt – mówię. – Tych wszystkich przygotowań, tak się starałam... Chciałam, żeby było tradycyjnie, po polsku. – Śmiać mi się chce z samej siebie. – A jest Wigilia i jestem sama jak palec z toną pierniczków i nieopanierowanej ryby.

– Wiesz co? – Kuba wyłapuje moje spojrzenie. – A chodź, spędzimy tę Wigilię po angielsku.

– Anglicy właściwie nie obchodzą Wigilii... – przypominam mu podejrzliwym tonem. – Chociaż ładnie nazywają ten wieczór. *Christmas Eve*.

– No właśnie! Chodźmy do pubu, posiedźmy tam, pogadajmy, napijmy się piwa, zjedzmy orzeszki. Bez pośpiechu i spiny.

– No nie wiem... Alkohol w Wigilię?

Kuba zerka na mnie z ukosa.

– Nie jestem przesadnie religijna, ale u mnie w domu nigdy nie piło się alkoholu w Wigilię – wyjaśniam, czując się przedziwnie.

Z jednej strony już widzę się w towarzystwie Kuby w fajnym przytulnym pubie, a z drugiej nie wyobrażam sobie spędzić z nim choćby minuty dłużej. Moje serce kołacze niespokojnie, bije dla niego. A on może mi dać tylko... przyjaźń.

Tylko? Czy można tak w ogóle mówić o przyjaźni? Przecież prawdziwa przyjaźń to skarb, którego nikt z nas nie powinien wypuszczać z rąk.

– Możemy wypić cokolwiek innego, choćby colę. – Kuba się uśmiecha.

Spoglądam na ten uśmiech. Nie, nie dam rady. Za bardzo mi się ten facet podoba.

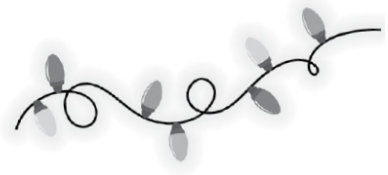
– Chodź! Co ci szkodzi spróbować? – Kładzie dłoń na moim przedramieniu. Od skóry jego palców dzieli mnie gruby materiał płaszcza, ale to i tak zbyt mała bariera, abym nie poczuła dreszczy. – Zostaliśmy sami, to nie fair.

– Sami? A co z Pawłem?

– Kiedy okazało się, że wszystko na kanale La Manche stanęło, pojechał do Reading, takie miasteczko na zachód od Londynu. Ma tam kilkoro dobrych znajomych.

– Aha – bąkam, dochodząc do wniosku, że sąsiedzi nie mogą być tak dobrymi kumplami, jak mi się wydawało, skoro Paweł zostawił współlokatora kompletnie samego na święta.

– Nikt... – podejmuje Kuba – nie powinien być sam w Wigi... – Urywa i się poprawia: – *W Christmas Eve.*



26.

Popijam browar. Wybrałam bezalkoholowy, aby nie robić niczego wbrew sobie. Kuba poszedł w moje ślady, choć sędzę, że jedynie ze względu na mnie. W pubie panuje gwar, miejsce dosłownie pęka w szwach. Każdy stolik jest zajęty, siedzą przy nich roześmiani ludzie, głośno rozmawiają, jeszcze donośniej się śmieją. Panuje atmosfera pełnej beztroski i dobrego nastroju. Jest przystrojona bombkami choinka i rozwieszona przy barze migocące światełka, gra stonowana muzyka, co jakiś czas puszczaają świąteczne kawałki.

– No i fajnie – stwierdza Kuba, kiedy przestajemy lustrować otoczenie.

Mam wrażenie, że oboje czujemy się podobnie. Towarzyszy nam poczucie nierealności, które trudno zdusić jakimikolwiek bodźcami. Nie sądziłam, że kiedykolwiek w taki sposób spędzę Wigilię. Ale też nie mogę powiedzieć, że czuję się źle czy niekomfortowo. Jest po prostu inaczej.

– Wesoło, radośnie, na luzie – komentuję. – Całkiem okej. Można i tak.

– Większość przyszła tutaj z rodziną i znajomymi. – Kuba znów prześlizguje się wzrokiem po gościach pubu. – No i fajnie – powtarza, wracając do mnie spojrzeniem.

– Fajnie. – Upijam łyk piwa, aby nie gapić się za bardzo na swojego kompana.

– No dobrze, to opowiedz, co cię gryzie.

Pozwalam, aby nasze spojrzenia znów się skrzyżowały, ale od razu spuszczam wzrok na swoje dłonie.

– Czasem warto się wygadać – przekonuje.

Upijam browar. Łyk. Dwa. I jeszcze jeden. Potrzebuję rozmowy, ale się waham. Nie wiem, czy Kuba jest odpowiednią osobą do zwierzeń. Ba, na pewno nie jest, poprawiam się w duchu. Wzdycham, bo mimo wszystko nie mam większego wyboru, jedyną alternatywą jest telefon do Leo, ale nie chcę zwracać mu głowy swoimi problemami. Wiem, że gdybym powiedziała mu, jak się sprawy potoczyły, rzuciłby wszystko i się u mnie zjawił. Nie chcę tego.

Wtem przypominam sobie, że do niego nie oddzwoniłam ani nawet nie odpisałam na jego wiadomość. Niezła ze mnie przyjaciółka...

– Przepraszam cię na moment – mówię, sięgając po telefon. – To ważne – dodaję, w pełni świadoma, że to dość niegrzeczne zachowanie z mojej strony. Nie mogę jednak zostawić przyjaciela bez odpowiedzi. – Zapomniałam odpisać na naprawdę ważnego SMS-a, zajmie mi to dosłownie sekundkę.

– W porządku – zapewnia Kuba. – Nic się nie dzieje, mamy czas, cały wieczór przed nami.

Uśmiechem dziękuję chłopakowi za wyrozumiałość i pospiesznie piszę do Leo. Składam mu świąteczne życzenia, na koniec obiecuję, że jutro do niego zadzwonię. Pilnuję się, aby nie wspomnieć nic o tym, że tata i Alice nie przyjechali.

– Już! Załatwione. Przepraszam! – Odkładam telefon na stół.

– Żaden problem. – Kuba się uśmiecha.

Upijamy po łyku browaru, spoglądając na siebie jakby trochę nieufnie.

– No to jak? Opowiesz mi, co się stało? – dopytuje sąsiad.

Ciągle nie wiem, co zrobić. Potrzeba otworzenia się przed kimś jest silna, splot ostatnich wydarzeń nie był dla mnie łaskawy. A Kuba przecież dołożył do niego swoje trzy grosze.

– Cztery lata temu też się tak przygotowywałam na święta – podejmuję, czując, że tej przemożnej potrzeby porozmawiania z drugim człowiekiem

nie uda mi się w sobie zdusić. – Ubrałam choinkę, upiekłam pierniki, miałam w planie ugotować tradycyjne dania na Wigilię i tak dalej. Nawet ulepić pierogi. – Biorę łyk piwa, po czym opowiadam o tym, że tata jest tutaj od lat i że jeszcze jako nastolatka przyjechałam, by z nim zamieszkać, choć przecież wspomniałam już o tym Kubie. – Agata, moja starsza siostra, zawsze miała o to do nas żal. Bezpodstawny, ale jednak. – Teraz z kolei wspominam nieco więcej o swoich bliskich, o tym, jak nam było razem dobrze, pomimo pewnych zgrzytów. One przecież zdarzają się w każdej rodzinie, są czymś zupełnie naturalnym.

Kuba kiwa głową ze zrozumieniem.

– Cztery lata temu wpadłam na pomysł, żebyśmy spędzili święta w Londynie. Zawsze ja i tata jeździliśmy do Polski. Pomyślałam, że fajnie byłoby, gdyby mama, Arek i Agata tym razem pojawili się w Anglii. Wszystkim bardzo spodobał się ten pomysł. Wszystkim, oprócz Agaty.

– Aha – mruczy przeciągle Kuba.

– Arek chciał jeszcze zabrać swoją dziewczynę, Glorię. Mieli przyjechać samochodem, bo brat miał fioła na punkcie prowadzenia auta, a mama chciała zabrać prezenty, jedzenie, które naszykowała, i tak dalej....

Mówię o stanowisku Agaty, o tym, że rzekomo nie mogła zrezygnować z pacjentów, nawet w Wigilię, oraz o tym, że ostatecznie mama dowiedziała się, że tak naprawdę siostra także wybierała się do Londynu. Zaczerpuję głośno tchu, opowiadanie tego wszystkiego zaczyna kosztować mnie coraz więcej emocji. W utrzymaniu ich na wodzy nie pomaga mi grająca w pubie muzyka. Coldplay zaczyna właśnie śpiewać „Christmas Lights”, nuty są wysokie, melodia melancholijna. Bohater tekstu przechadza się po Oxford Street, kluczy pomiędzy migocącymi światłami. Usiłuję zwizualizować sobie tę scenę, aby nieco rozproszyć swoją uwagę i móc dokończyć historię swojej rodziny.

– Rodzice i Arek mieli nosa co do tego, że Agata bierze nas tylko na przetrzymanie. Kupiła bilet lotniczy, ale słowem nikomu o tym nie powiedziała. Nie pytaj mnie, dlaczego tak postąpiła... Po prostu taka była.

Uparta, lubiła postawić na swoim. A także przebiegła. No i miała do nas żal, z jej punktu widzenia była pokrzywdzona.

Popijam piwo, bo dalsza część opowieści więźnie mi w gardle. Coldplay nadal nie pomaga, trzymam się nadziei, że zaraz zmieni się repertuar i będzie mi nieco łatwiej. Ale nic z tego, bo Michael Bublé zaczyna śpiewać „Silent Night”. Wybucham śmiechem, ale łzy napływają mi do oczu wielkim strumieniem.

– Przez cały ten czas nie słuchałam nawet kołęd – mówię płaczącym tonem, śmiejąc się groteskowo. – W domu śpiewaliśmy cały czas: podczas przygotowań do świąt, w Wigilię, w Boże Narodzenie...

Biorę głębszy wdech, aby powstrzymać łzy. Jakimś cudem udaje mi się ich nie uрониć.

– Uważam, że Michael Bublé jest mistrzem świątecznych piosenek – wyznaję.

– Lubisz jazz?

– Nie za bardzo. – Kręcę głową, świadoma, że kanadyjski piosenkarz reprezentuje właśnie ten gatunek. – Ale świąteczne utwory wychodzą mu rewelacyjnie.

– Coś w tym jest. Istnieje wiele wersji piosenki „Santa Claus Is Coming to Town”, a jednak ta w jego wykonaniu jest najlepsza.

– Bezapelacyjnie!

– Jeszcze jedną śpiewa tak fajnie, też jest kilka jej wersji... Kurde, umknął mi tytuł.

– „It’s Beginning to Look a Lot Like Christmas”? – pytam.

– O, właśnie!

– Tak, zgadzam się, jego wykonanie jest najlepsze.

Kwitujemy naszą rozmowę wzajemnym uśmiechem. Jestem wdzięczna Kubie za ten chwilowy przerywnik od głównego wątku. Zdążyłam się rozczulić, a nie chcę się rozsypać do reszty.

– A więc wnioskuję, że twoja rodzina jednak nie przyjechała...? – dopytuje Kuba ostrożnym tonem, jakby nie był pewien, czy powinien ciągnąć temat.

Sama tego nie wiem, ale opowieść została urwana w połowie i skoro zdecydowałam się wciągnąć sąsiada w swoją historię, byłoby nie w porządku jej nie dokończyć.

– No niestety, nie przyjechali... – Upijam duży łyk piwa. – A właściwie to... po prostu nie dojechali.

Kuba zastyga w bezruchu. Miał właśnie pociągnąć haust browaru, ale na dźwięk moich słów rezygnuje. Odkłada kufel z powrotem na blat i spogląda na mnie wyczekująco. Dłoń ma ciasno zaciśniętą na szkle.

– Mieli wypadek – wyduszam z siebie przyciszonym tonem. – Byli już blisko. We Francji. Zginęli na miejscu, wszyscy: mama, Arek i Gloria.

– O, *fuck* – wymyka się Kubie z ust. – Przepraszam, po prostu...

– Spoko, wiem, że to wstrząsające. I pewnie nie tego się spodziewałeś, kiedy zaczynałam opowiadać.

– Bardzo mi przykro. – Widzę, że dłoń Kubie podrywa się, ale zaraz wraca na kufel. Chyba chciał mnie chwycić za rękę. Żałuję, że tego nie zrobił, potrzebuję wsparcia, aby dotrzeć do końca. Nie zostało wiele do opowiedzenia, ale nie jest to wcale mniej bolesna część. Jednak cieszy mnie powściągliwość, na którą się zdecydował. Wiem, że jego dotyk byłby dla mnie rozkosznym doznaniem, a w tej chwili odczuwanie przyjemności wydaje mi się czymś zgoła niestosownym.

W tej chwili i w każdej innej, bo przecież Kuba nigdy nie poczuje do mnie tego, co ja poczułam do niego.

Nieoczekiwanie przypomina mi się jeszcze Andrej i jego wyznanie na bankiecie. W tym momencie staje się dla mnie jasne, że go nie Kocham. Kiedyś owszem, darzyłam go wielkim uczuciem, ale go już nie ma.

– Tata się załamał – podejmuję, aby wreszcie wszystko z siebie wyrzucić.
– W pierwszych dniach był nie do życia. Agata tak samo. Ogarnęłam transport ciał, pogrzeb, nie wiem, jak dałam sobie z tym radę, naprawdę nie wiem. Pamiętam tamten czas jak przez mgłę, wydaje mi się czymś nieprawdziwym, czymś, co nigdy nie miało miejsca, nie zdarzyło się. – Wzdycham. – Ale przecież się wydarzyło, bo mamy i Arka nie ma. Glorii też. Agata... – Chwytam za kufel i piję kilka dużych haustów w nadziei, że

napój pomoże mi opanować łamiący się głos. Nie pomaga, osuszam więc kufel do dna.

– Przynieść jeszcze po jednym? – pyta Kuba. Zauważam, że jego kufel także świeci już pustkami. Kiwam głową potakująco. – Takie samo? Czy tym razem z alko?

– Takie samo – decyduję.

– Zaraz wracam. – Sąsiad wstaje od stolika. Czas, kiedy go nie ma, wykorzystuję na sprawdzenie komórki. Już przestałam się oszukiwać, że nie czekam na kolejną wiadomość od taty. Niestety nie ma żadnej, pewnie jest zajęty celebrowaniem *Christmas Eve* z Alice albo...

– Proszę. – Kuba podsuwa mi kufel piwa pod nos.

– Agata obwinia mnie o to, co się stało – mówię. – Nie utrzymuje ze mną kontaktu.

– Jak to? – Sąsiad wydaje się zdezorientowany.

– To był mój pomysł, aby zrobić inaczej niż zwykle i spędzić święta w Londynie. Gdyby nie wsiedli do auta i nie wybrali się w podróż do Anglii... Nadal by żyli – kończę niemal szeptem.

– Bzdura. – Kuba prychna pod nosem.

– Taka jest prawda.

– Nie, Zuza. To przerzucanie swojego rozgoryczenia i frustracji na kogoś innego.

Spoglądam mu w oczy. Ani na chwilę nie ucieka wzrokiem.

– Nie obchodziliśmy z tatą świąt od tamtego czasu – oznajmiam. – Nie potrafiliśmy.

Kuba nadal tu jest, nie uciekł. Patrzy na mnie. Byłby świetnym przyjacielem, potrafi słuchać i wspierać. Nie boi się trudnych tematów.

– I w tym roku stwierdziłaś, że spróbujesz? Wrócisz do celebrowania Bożego Narodzenia? – domyśla się.

– Lubiliśmy święta. To był dla nas wspaniały czas.

– I tata nie dał rady? – Sąsiad już w pełni łapie, o co w tym wszystkim chodzi.

– Tak sędzę – przytakuję, choć wcześniej za każdym razem, gdy ta myśl pojawiała się w mojej głowie, tłumila ją.

Nie chciałam przyjąć do wiadomości, że tata mógł stchórzyć, że zostawił mnie samą na polu walki. I to do tego stopnia, że wołałam zrzucić wszystko na Alice, wmawiać sobie, że to ona nie chce wspólnych świąt, zupełnie jakby to ta kobieta odpowiadała za rozpad mojej rodziny. Tymczasem ona tak naprawdę uratowała tatę. Nie wiem, czy ojciec poradziłby sobie, gdyby nie jej obecność. To nikt inny jak właśnie Alice dała mu siłę do dźwignięcia się.

– Tata powiedział, że wypadła mu praca, ale myślę, że to wszystko go po prostu przerosło – mówię. – Kochał mamę, nas, swoje dzieci, całą naszą rodzinę. – Pociągam nosem, łzy znów bezlitośnie cisną mi się do oczu. – Powiedziałam ci, że jestem na niego wściekła, ale tak naprawdę wcale nie. Więcej, rozumiem go, naprawdę go rozumiem. – Znów pociągam nosem, bo przecież sama bardzo się bałam tych świąt. Może było jeszcze za wcześnie, by wrócić do celebrowania Bożego Narodzenia, a zrobiłam to zbyt natarczywie. Tata przecież wysyłał mi subtelne ostrzeżenia, sygnalizował swoje obawy. Zignorowałam je.

Kiedy wydaje mi się, że dłużej nie powstrzymam swoich łez, czuję jakiś ciężar na przedramieniu. Spoglądam na nie, to dłoń Kuby. Ścisła mnie delikatnie i z wyczuciem, którego teraz tak bardzo potrzebuję. Mam ochotę rzucić mu się w ramiona i poprosić, aby utulił mnie w nich jak małe przytłoczone smutkiem dziecko. Zamiast tego unoszę głowę i mrugam powiekami, by się nie rozpląkać. Robię, co mogę, by pozostać twardą.

– Ach, ciągle jest to dla mnie trudne – mówię.

– Domyślam się.

– Zastanawiam się, czy to kiedyś przestanie boleć.

– Mój tata nie żyje już osiem lat, a ciągle jest mi przykro, gdy go wspominam.

– Często o nim myślisz? – dopytuję.

– Tak. I stale tęsknię.

Kiwam głową, ciesząc się, że jednak zdecydowałam się otworzyć przed Kubą. Czuję się znacznie lepiej, odkąd wyrzuciłam z siebie to wszystko. Nie opowiadam często o swojej rodzinie, ale dziś bardzo tego potrzebowałam.

– No dobra, a teraz ty powiedz coś o sobie – zarządzam. – Gadam o moich sprawach, odkąd tutaj przyszliśmy.

Kuba nadal ściska mnie za przedramię. Nie wygląda, jakby chciał zmieniać temat, ale naprawdę czuję, że już wystarczy.

– Bez dyskusji, koniec o mnie – oświadczam stanowczym tonem. – Bardzo dużo ci o sobie powiedziałam, teraz twoja kolej.

– Ty już całkiem sporo o mnie wiesz. – Sąsiad cofa dłoń i posyła mi łagodny uśmiech.

– Jakieś same pierdoły. – Śmieję się, czując, że płaczliwość sprzed chwili powoli ustępuje. W jej miejsce pojawia się lekkość, której dawno nie czułam. To prawda, od czasu do czasu trzeba się po prostu wygadać. Tylko tyle i aż tyle. – Wywiad do gazety to wywiad do gazety – stwierdzam. – A ja chciałabym dowiedzieć się o tobie czegoś więcej.

– Okej. – Kuba rozsiada się wygodniej. Unosi kufel, ale zamiast się napić, mówi: – Pytaj mnie zatem, o co tylko chcesz.

– Kiedy to w sobie odkryłeś? – rzucam od razu.

– Co takiego? – dopytuje, przystawiając brzeg kufla do ust.

– Że wolisz facetów.

Sąsiad zaczyna się krztusić napojem, przy okazji trochę piwa ochlapuje jego ubranie. Część zawartości kufla ląduje na stoliku.

– O matko! – Rzucam się na pomoc z chusteczkami. Wspólnie wycieramy blat, potem Kuba ociera usta i podbródek. – Przepraszam, może faktycznie to zbyt osobiste pytanie, zapędziłam się.

– Zuza, ty naprawdę myślisz, że ja jestem gejem? – Nachyla się do mnie przez stolik.

– Y-y-y – jąkam się. – Tak. No tak – potwierdzam. – Ale nie ma się czego wstydzić. No i mi to w ogóle nie przeszkadza, wiesz, że Leo, ten fotograf,

który był ze mną na Ilford, jest moim najlepszym kumplem i jest gejem, serio!

Sąsiad przygląda mi się badawczo, kiedy ja nie mogę powstrzymać słów płynących z moich ust.

– Tu w ogóle nie chodzi o twoją orientację seksualną. To znaczy trochę jednak chodzi, ale nie w takim sensie, jak myślisz. Po prostu... Kuba... – Robię krótką przerwę, by zaczerpnąć głębiej tchu. – Spodobałeś mi się, tak po prostu mi się spodobałeś...

Kuba unosi wysoko brwi, uśmiecha się przy tym półgębkiem. Czuję się głupio, mówiąc mu o tym, ale zaszłam już za daleko, aby się wycofać.

– No tak jakoś wyszło – mamrocze jeszcze, po czym upijam łyk piwa, czując się coraz bardziej zażenowana sytuacją. Nie sądziłam, że zdobędę się na to, aby wyłożyć karty na stół. Wydawało mi się, że nie będę mieć nawet ku temu stosownej okazji. Nie zamierzałam przecież utrzymywać z Kubą relacji, tym bardziej jej pogłębiać. Ale dobrze się stało, teraz przynajmniej wszystko jest między nami jasne. Czyste sytuacje są tym, do czego zawsze powinniśmy dążyć, niedomówienia potrafią wyrządzić wiele szkód.

– A dlaczego uznałaś mnie za geja? – chce wiedzieć Kuba.

– Nie jestem aż tak niedomyślna – mówię z lekkim wyrzutem. – Zrozumiałam to w klubie.

– W klubie? – Sąsiad marszczy czoło, jakby nie wiedział, o czym mówię.

– A, w klubie! – Reflektuje się sekundę później. – Na urodzinach Neila?

– Tak, właśnie tak.

Kuba kiwa głową, jakby wreszcie sprawa nabrała dla niego sensu.

– I dlatego tak nagle się zwinęłaś? – dopytuje.

– Tak. Po tym, jak zobaczyłam, że Paweł obściskuje się z tym blondynem... No wiesz, zrozumiałam, co jest grane.

– I od razu pomyślałaś, że ja też jestem gejem?

– Zapytałam Pawła. Dla pewności.

– I Paweł powiedział ci, że jestem gejem?! – Sąsiad unosi się nieoczekiwanie.

– Tak – mówię nieco skołowana, a on prycha z jeszcze większym rozdrażnieniem. – Właściwie to masz rację, nie powinnam była tego robić. Tak wypytywać o twoje życie prywatne za twoimi plecami i...

– Zuza... – Kuba wbija we mnie spojrzenie. – Ja lubię dziewczyny.

Zamykam usta, choć chciałam coś jeszcze powiedzieć, i przypatruję mu się skonsternowana.

– I to takie jak ty – ciągnie. – Odważne, inteligentne, zabawne, z powerem.

– Ja taka jestem? – Reaguję kolejnym zdziwieniem.

Kuba potakuje, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Zaraz, zaraz, bo się pogubiłam. – Macham rękami, jakbym chciała rozproszyć otaczającą mnie mgłę dezorientacji.

– To wyjaśnię ci to jeszcze raz: nie jestem gejem!

Otwieram usta, ale znów nie wypowiadam ani słowa. Nie potrafię.

– Lubię dziewczyny. – Kuba się śmieje.

– Serio?

– No serio, serio. – Nadal się śmieje.

– Ale przecież Paweł... – urywam, przypominając sobie tamtą rozmowę. W sumie, widzę to dopiero teraz, mówił dość enigmatycznie, właściwie nie powiedział niczego wprost. Jednak jego zachowanie... Trudno było je inaczej zinterpretować, zwłaszcza po tym, czego byłam świadkiem w klubie. – Ale dlaczego powiedział mi, że... – Znów milknę, nie kończę zdania. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, co kierowało Pawłem. Mogłabym uznać, że zrobił to, aby usunąć sobie z drogi rywala, przecież do niedawna byłam przekonana, że sąsiad czuje do mnie miętę... Ale w sytuacji, kiedy jest homoseksualistą, to nie ma sensu... – Nie rozumiem, zupełnie tego nie rozumiem! – Prycham ze złością. – Ja naprawdę myślałam, że jesteś gejem!

– Ja też nie wiem, o co chodzi, ale... – Kuba na nowo rechocze. Jest tak rozbawiony, że zaczynam się zastanawiać, czy na pewno pije bezalkoholowe piwo.

– Co cię tak bawi? – pytam z uśmiechem. Mimo wszystko udziela mi się jego nastrój.

– Przez to uciekłaś, nie odpisałaś mi na SMS-a i... – Dalej rechocze. – Ale cyrk, nie do wiary!

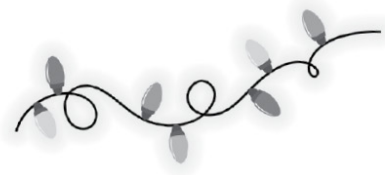
Wybucham w końcu śmiechem, bo faktycznie zrobiło się niezłe zamieszanie. Poza tym dociera do mnie w pełni to, co przed chwilą usłyszałam. Przede wszystkim to, że nic nie stoi na przeszkodzie, abym mogła Kubie wpaść w oko. Ba! Ja mu się podobam, przecież przed momentem to wyznał. I to dość dobitnie. Co za wieczór, od tego wszystkiego zaczyna mi się kręcić w głowie.

– Zuza... – podejmuje Kuba, spoglądając na mnie w ten typowo intensywny dla siebie sposób. Na nowo odbieram jego spojrzenie jako coś więcej niż troskę i zwyczajną sąsiedzką sympatię.

– Tak? – Zasycha mi w ustach od jego bliskości.

– Fajnie, że tak się stało, jak się stało. Że jesteśmy tu, w tym pubie.

– Wiesz co? – Uśmiecham się delikatnie. – Myślę dokładnie tak samo.



27.

Czas mija niewiarygodnie szybko. Ani się spostrzegamy i wybija północ. Powrót do domu wydaje się racjonalnym pomysłem, choć serce podpowiada mi zupełnie coś innego. W gruncie rzeczy wcale nie mam ochoty rozstawać się z Kubą, czuję, że on również nie chce, aby ten wieczór już się skończył.

Kiedy wychodzimy z pubu, wdzierą się między nas osobliwe napięcie. Trudno mi je jednoznacznie zinterpretować. Łapię się na tym, że podświadomie obawiam się, iż znaleźliśmy się w jakiejś ułudzie, która w każdej chwili może prysnąć niczym cienka bańka mydlana. A wtedy ostatnie godziny spędzone razem okażą się tylko złudzeniem, czymś, co nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Zdaje się, że ustał porywisty wiatr. Na zewnątrz nie jest całkiem spokojnie, ale znacznie przyjemniej niż jeszcze o poranku. To wcale nie oznacza, że wichura minęła. Gwałtowne okresy stale przeplatane są tymi względnie łagodnymi. Prószy śnieg. Opada na ziemię lekko, nierozwiewany przez wiatr, przyjemnie otula świat swoją bielą.

Idziemy pieszo. Od bloku, w którym mieszkamy, dzieli nas zaledwie krótki spacer. Za krótki. Cięży mi świadomość, że z każdym krokiem jesteśmy bliżej tego, aby przekonać się, czy czas spędzony razem był realnym zdarzeniem. Nie odzywam się, brak mi odwagi, aby powiedzieć

Kubie o swoich obawach. Ale faktem jest, że chciałabym wiedzieć, czy mój towarzysz ma podobnie. Sprawdzić, czy też czuje się przy mnie tak dobrze, że aż trudno mu uwierzyć, że to wszystko jest prawdziwe.

Nim zdołam zdecydować się na jakiegokolwiek słowa, czuję delikatny dotyk na swoich palcach. Obracam twarz w kierunku Kuby, posyła mi uśmiech. W odpowiedzi wsuwam głębiej swoją dłoń w jego, a on ściska ją, jakby chciał mnie tym gestem zapewnić, że wszystko, co się teraz dzieje, rozgrywa się naprawdę.

Docieramy do bloku, wciąż trzymając się za ręce, pokonujemy metalowe schody. Są piekielnie śliskie, Kuba mocniej ściska moją dłoń. Podoba mi się jego opiekuńczość, troska, z jaką do mnie podchodzi.

– Odprowadzę cię – oznajmia z lekkim uśmiechem, kiedy jesteśmy na wysokości drzwi jego mieszkania. Odpowiadam mu tym samym i po kilku krokach jesteśmy już na miejscu. – No i już.

Przystajemy, zerkając na siebie z zainteresowaniem. Odnoszę wrażenie, że wzajemnie próbujemy rozszyfrować swoje myśli. Zawsze mnie zaskakuje, że ludzie wybierają skrytość zamiast otwarcie powiedzieć, co czują i czego pragną. O ile łatwiejsze stałoby się wtedy życie, o ile lepszy byłby nasz świat. Ale nie jest, bo ludzką naturą jest stawanie w defensywie, lęk przed zawodem, strach przed wystawieniem się na drwiny innych.

Wciąż trzymamy się za ręce, teraz już obie. Są ciasno splecione. Ten uścisk wyraża tak wiele, że aż zaczynam drzeć. Nasze splecione dłonie zapewniają mnie, że nie mam powodu, aby się bać, przekonują, że Kuba czuje dokładnie to samo co ja. Nie ma sensu się dłużej kryć ani upewniać. A jednak nadal nie potrafię nic powiedzieć. Gardło ściska mi zbyt wiele uczuć. Radość, wzruszenie, wdzięczność i tęsknota. Pożądanie. I to właśnie ono zaczyna przysłańać inne emocje. Skóra mnie swędzi, w trzewiach tli się żar. Wybucha z nieznaną mi do tej pory mocą, kiedy wargi Kuby ocierają się o moje. Niespiesznie je muskają, wręcz eterycznie, jakby sprawdzały grunt, pytały o pozwolenie. Dostają je. Rozchylam usta, wydając z siebie ciche westchnienie. Świat wiruje mi przed oczami, przymykam powieki. Splatamy się w pocałunku, delikatnym i czułym,

który za moment staje się bardziej zachłanny, wreszcie przesiąknięty namiętnością. Nikt nigdy mnie tak nie całował, żaden pocałunek nie doprowadzał mnie do takiego drżenia. Czuję się nie tylko absolutnie wyjątkowo, ale zupełnie zatracam się w tym, co nas właśnie połączyło.

Nie wiem, co sprawia, że się od siebie odrywamy. Patrzymy sobie w oczy, nasze roziskrzone spojrzenia mówią wszystko to, czego nie zdołały powiedzieć usta. Moją uwagę zwraca hałas, dochodzi z metalowych schodów prowadzących na balkonik. Szybko przybiera na sile, to on musiał nas przed chwilą rozdzielić. Bucha we mnie złość, pocałunek był tak przyjemny, że mogłabym go nigdy nie kończyć. Obracam głowę, aby sprawdzić, kto zepsuł nam tę cudowną chwilę. Moim oczom ukazuje się sylwetka mężczyzny.

Mrużę oczy, bo postać wydaje mi się znajoma. Kiedy jeszcze bardziej wyteżam wzrok, uświadamiam sobie, kto zmierza w naszym kierunku. Serce zaczyna mi szybciej łomotać w piersi, choć jeszcze chwilę temu wydawało się to niemożliwe.

– Tata! – wydobywa się z moich ust, zanim zdążę w pełni uzmysłwić sobie, że to faktycznie on.

– Zuza, przepraszam! – Ojciec podbiega do mnie i bierze mnie w swoje ramiona. – Przestraszyłem się, tak bardzo się przestraszyłem, że... – urywa w połowie zdania i ściska mnie mocno, jakby się obawiał, że zaraz mu zniknę. – Przepraszam, córeczko, tak bardzo cię przepraszam.

– Ale ostatecznie jesteśmy. – Zza pleców taty wyłania się Alice. Szerzy się szeroko, jej twarz promienieje radością. Zalewa mnie fala wstydu, że tyle razy myślałam o niej źle, że przypisywałam jej cechy i zachowania, które zupełnie do niej nie pasują, bo obawiałam się tego, jaka jest prawda. – Było kilka małych zawirowań – ciągnie kobieta – więc wybaczone, że tak późno, ale sama wiesz, że z Liverpoolu trochę się tutaj jedzie. – Teraz już śmieje się głośno. – Jeszcze pomyliliśmy zjazd przy obwodnicy... – Macha ręką, a tata wreszcie wypuszcza mnie ze swoich objęć.

Przyglądam się im przepełniona różnymi emocjami. Zanim się zorientuję, kilka łez ścieka mi po policzkach.

– Wiem, zawałem. – Tata ociera je swoją dłonią, identycznym gestem, jak wtedy, kiedy byłam małą dziewczynką. – Wybaczysz mi to kiedyś?

– Nic nie zawałem. – Kręcę głową. – Bo... – Wzruszenie odbiera mi na chwilę głos. – Bo przecież tu jesteś. – Kończę i kolejne łyżę moczą moją twarz. – Jesteście – poprawiam się, wycierając je wierzchem dłoni, ale na niewiele się to zdaje, bo zaraz spływają mi kolejne.

– Tak, ostatecznie jesteśmy razem i tylko to się liczy! – Alice wkracza do akcji swoim pogodnym i piskliwym tonem. – A święta przed nami. Jest dopiero po północy, mamy dla siebie mnóstwo czasu! Zuza, powiedz nam lepiej, kim jest ten przystojny pan. – Wskazuje na Kubę.

– Och, przepraszam – mówię, uświadamiając sobie, że na moment kompletnie zapomniałam, że nie jestem sama. Uzmysławiam sobie przy tym, że tata i Alice musieli widzieć, jak się całowaliśmy, i mimowolnie się czerwienię. Na szczęście panuje półmrok i nikt nie może tego zauważyć. – Tato, Alice, to Kuba. Mieszka zaraz obok. – Pokazuję na czerwone drzwi nieopodal. – I wygląda na to, że spędziliśmy razem Wigilię. – Posyłam uśmiech sąsiadowi.

– Miło mi panią poznać. – Chłopak wyciąga dłoń w stronę Alice. – I pana również. – Podobnym gestem wita się z moim tatą. – Pójdę do siebie, nie chciałbym przeszkadzać – oznajmia po wymianie uprzejmości.

– Nie, skąd, wcale nie przeszkadzasz – wymyka mi się z ust, zanim zdążę te słowa przeanalizować. – Może...

– Zuza, w porządku. – Uśmiecha się do mnie uspokajająco. – To dobry czas, abyście byli razem. Zobaczymy się jutro. – Wycofuje się pod swoje drzwi, nie dając mi żadnej przestrzeni do polemizowania z jego decyzją. – Bardzo miło było państwa poznać – zwraca się jeszcze do taty i Alice.

– Ciebie również. – Ojciec unosi rękę w pożegnalnym geście.

– Pa. – Macham Kubie, czując, że faktycznie tak trzeba, choć nie mogę powiedzieć, że rozstaję się z nim bez żalu.

– Nie mówiłaś, że się z kimś spotykasz – mówi tata, kiedy przekraczamy próg mojego mieszkania.

– To świeża sprawa – odpowiadam krótko.

– Mimo wszystko szkoda, że nie powiedziałaś.
– Bardzo świeża, tato.
– Tak świeża, świeża? – dopytuje Alice.
– Tak, właściwie tak.
– Powiedz jeszcze, że przed chwilą całowaliście się pierwszy raz – drąży, wyraźnie zaintrygowana.

Nie odpowiadam, tylko nieznośnie się rumienię, po czym zaczynam krzątać się po kuchni.

– Wow, Zuza! – wykrzykuje Alice, a potem podchodzi do mnie i obejmuje mnie od tyłu. – Super. Wydaje się bardzo fajny.

– Jest bardzo fajny – bąkam zawstydzona.

– Fantastycznie! – Żona ojca nie przestaje się ekscytować. – Koniecznie musimy to uczcić! – Puszczą mnie i sięga do jednej z toreb, które przytargali razem z tatą. Wygrzebuje z niej butelkę czerwonego wina. – Ostatnio nasze ulubione, prawda Waldek? – zwraca się do taty, który zdążył podłączyć choinkę w salonie i rozsiąść się wygodnie na kanapie.

– O tak, jest wyśmienite – przytakuje. – Wytrawne, ale naprawdę pyszne – dorzuca, bo wie, że gustuję raczej w słodkich trunkach.

Spoglądam niepewnie na butelkę. Waham się, gdyż nie chcę urazić Alice, ale też wolałabym zachować tradycję, którą kultywowano w domu, kiedy byłam dzieckiem, i unikać alkoholu w Wigilię. Po kilku sekundach zmagania z samą sobą mówię o tym głośno.

– Ach, tak, wiem, Waldek opowiadał mi o tych starych polskich zwyczajach – mówi Alice, stawiając butelkę na blacie, po czym zaczyna przetrząsać szuflady, najprawdopodobniej w poszukiwaniu korkociągu. – Są piękne, naprawdę, wręcz mnie oczarowały. Żałuję, że nie miałam okazji uczestniczyć w kolacji wigilijnej, wiem, że taką planowałam, ale cóż, może w przyszłym roku.

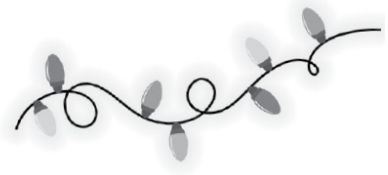
Alice wreszcie znajduje korkociąg. Unosi go triumfalnie ku górze.

– Ale już wpół do pierwszej – świergocze wesoło – więc formalnie jest dwudziesty piąty grudnia, Boże Narodzenie! *Merry Christmas, my love.* – Znowu podchodzi do mnie i mocno mnie ściska. A potem truchta do taty

i też zamyka go w swoich ramionach. – *Very Merry Christmas, my darling* – mówi.

Obserwuję ich uścisk z rozrzewnieniem. Bałam się tej sytuacji – wigilijnego wieczoru z tatą i Alice, którzy zaczną okazywać sobie miłość. Ale najwyraźniej niepotrzebnie. Nie czuję bólu, nie towarzyszy mi to nieznośne poczucie straty, którego tak się obawiałam. Mama zawsze będzie bliska mojemu sercu, dla taty była tą najbliższą osobą, wiem to. Nigdy o niej nie zapomnimy, będzie częścią naszego życia do końca naszych dni. Tak samo Arek. To się nigdy nie zmieni. Ale życie biegnie dalej, zostaliśmy tutaj i trzeba podążać ku temu, co dobre. Tata odnalazł radość istnienia i to jest właśnie dobre. Wiem też, że mama by tego chciała. Nie godziłaby się na ciągły smutek, rozżalenie i błędzenie w mroku rozpaczy.

Sięgam po korkociąg, który Alice zostawiła na blacie. Już dwudziesty piąty grudnia, a my mamy co świętować. Otwieram wino, a potem szukam kieliszków, by je rozlać i wznieść z moimi bliskimi toast za udane święta.



28.


Gaszę światło i kładę się na kanapie. Gości położyłam w swoim łóżku. Szumi mi w głowie, wiem, że pomimo późnej pory szybko nie zasnę. Wypiłam zbyt mało, aby odpowiadał za to alkohol. Dużo się jednak działo.

Wydarzenia ostatnich godzin wirują mi w głowie, jedno po drugim stają mi przed oczami. Cieszę się, że tata i Alice są ze mną, jednak głównie myślę o Kubie. Trochę uwiera mnie to, że jest teraz sam. Wycofał się, to bardzo uprzejme z jego strony, ale może nie powinnam była się na to zgodzić? Tym bardziej że przez kilka ostatnich godzin tak wiele się zmieniło.


Zrozumiałam, że wahanie, jakie rodziło się we mnie zawsze, kiedy wspominałam Andreja, było podyktowane jedynie tęsknotą za tym, co się nam nie udało. Nie miało to nic wspólnego z miłością, ta już dawno między nami wygasła. Mam nadzieję, że mój były chłopak też w końcu to zrozumie. Chciałabym, aby odnalazł radość, a jego serce zaczęło bić dla kobiety, która równie mocno go pokocha.

Wciąż jednak nie wiem, dlaczego Kuba wydawał mi się taki zdystansowany, skoro nie jest homoseksualistą. Nie należy też przecież do przesadnie nieśmiałych osób. Może po prostu jest ostrożny. Albo istnieje jeszcze zupełnie inny powód, którego teraz nie dostrzegam. Jednak najbardziej w tym momencie zastanawia mnie to, dlaczego Paweł kłamał.

Sięgam po telefon. Odblokowuję go i chwilę spoglądam na wyświetlacz. Kiedy gaśnie, wybudzam go na nowo. Kuba najpewniej już śpi, nie chcę mu przeszkadzać, ale czuję nieodpartą potrzebę kontaktu. Wygrywa egoizm, piszę SMS-a.

 Pewnie śpisz, jeśli moja wiadomość Cię obudzi – przepraszam. Chciałam Ci powiedzieć, że dzisiejszy wieczór był fantastyczny, dawno nie spędziłam czasu tak dobrze, a szczególnie Wigilii, i jestem Ci za to bardzo wdzięczna. Wiele dziś zrozumiałam. Cieszę się, że tata przyjechał, i to bardzo, ale też trochę żałuję, że nam przerwał. Dobrej nocy! :)


Całusa na końcu wiadomości kasuję i od nowa wstawiam, kilka razy zamieniam na bezpieczniejszy uśmiech, zanim ostatecznie decyduję się na buziaka, i wysyłam wiadomość. Ku mojemu zaskoczeniu odpowiedź przychodzi niemal natychmiast.

 Nie śpię – nie mogę. Wszystko przez... Ciebie.

Odczytuję SMS-a, pod wpływem jego treści w moim wnętrzu bucha ciepło, które rozgrzewa mnie po czubki palców.

 Ja też się cieszę, że Twój tata tu jest. Ale masz rację, fatalnie, że nam przerwał...

Kolejny SMS sprawia, że jest mi tylko cieplej. Po chwili przychodzi następny.

 Mam nadzieję, że jutro się zobaczymy...?

Odpisuję:

 Tak, koniecznie :)

Przez chwilę panuje cisza, która jest bardziej wymowna niż dziesiątki wiadomości. Dzieli nas zaledwie ściana, warstwa cegły i betonu, która w tych okolicznościach wydaje się niezwykle cienka. Wiem, że każde z nas jest gotowe przekroczyć ją niemal od razu, jedna strona czeka tylko na sygnał tej drugiej. Wzdycham. Jestem tak rozpalona, że nie mam innego wyjścia, jak powściągnąć emocje. Wiem, że oboje najlepiej na tym wyjdziemy. Zmieniam temat, aby wpuścić nieco powietrza między gęstą atmosferę pożądania, jaka piętrzy się między nami.

 Jak myślisz, dlaczego Paweł mnie okłamał?


Wysłałam wiadomość, odpowiedź znów przychodzi niemal natychmiast.

 Zapytałaś go wprost?


Od razu odpowiadam.

 Tak. Wprost zapytałam, czy Ty też jesteś gejem.

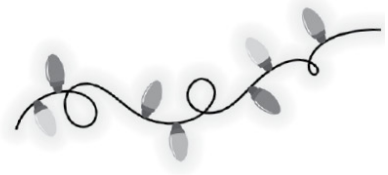
Kuba milczy przez chwilę, w końcu dostaję SMS-a.

 I wprost Ci odpowiedział?

Wracam pamięcią do mojej ostatniej rozmowy z Pawłem. Ponownie ją analizuję, tym razem nawet wnikliwiej niż w pubie. Dochodzę jednak do tych samych wniosków: choć chłopak nie powiedział mi niczego wprost, jego reakcja na moje pytanie była tak klarowna, że nie mogłam jej inaczej zinterpretować. Ewidentnie chciał, abym sądziła, że Kuba także jest homoseksualistą. Opisuję tę scenę w SMS-ie i wysyłam. Sąsiad znów chwilę milczy, w końcu otrzymuję od niego wiadomość zwrotną.

 Nie wiem, Zuza, dlaczego to zrobił. Ale jest mi bardzo przykro, że tak się stało... Pogadam z nim, gdy tylko wróci. Jak tata i Alice? (dobrze zapamiętałem imię?)

Wysyłamy sobie SMS-y jeszcze dobre pół godziny, w końcu zgodnie stwierdzamy, że pora się trochę zdrzemnąć. Do rana już niewiele czasu, a przecież żadne z nas nie chce przespać Bożego Narodzenia. Żegnamy się czule. Tym razem bez oporów wstawiam całusny emotikon. Kuba natychmiast odsyła mi takiego samego.



29.

Udaje mi się wstać przed południem, ale tylko dlatego, że z kuchni docierają wyraźne dźwięki. Przeciagam się delikatnie, tak aby nie zbudzić Niki, która śpi zwinięta w kłębek między moimi nogami. Podnoszę się, mój wzrok pada na stolik. Leży na nim „Czterdzieści zasad miłości” Elif Shafak, prezent gwiazdkowy od Marty. Jakiś czas temu koleżanka podarowała mi „10 minut i 38 sekund na tym dziwnym świecie” tej samej autorki. Lektura mnie oczarowała.

Przejeżdżam dłonią po twardej oprawie książki, mam nadzieję, że współlokatorka jest równie zadowolona z mojego prezentu jak ja z jej. Przesuwam rękę na elegancki notes z kalendarzem, który podarował mi tata. Jego oprawa jest zachwycająca, będzie mi go żal używać, tak pięknie się prezentuje. Obok leży jeszcze markowa pomadka od Alice.

W końcu wstaję z łóżka i przechodzę do kuchni. Moi goście przygotowują śniadanie.

– Obudziliśmy cię? – pyta tata na mój widok.

– Wybacz, jesteśmy już w tym wieku, że nie potrzebujemy tyle snu – dodaje Alice.

– Najwyższa pora wstawać – odpowiadam.

– Aaa tam, miałaś wczoraj trudny dzień. Powinnaś odespać. – Żona ojca parzy herbatę. Pija mocną i gorzką jak ja. – Staraliśmy się nie hałasować.

– Jest naprawdę okej – zapewniam. – Idę do łazienki i zaraz do was wracam.

Kiedy jestem z powrotem, na stole stoją trzy kubki z herbatą i trzy talerze z domowym angielskim śniadaniem. *English breakfast* nie jest czymś, za czym przepadam, za to Alice jada je bardzo często. Nie szkodzi, wsunę jajka i bekon, przegryzę tostami. Daruję sobie jednak kiełbaski, pieczarki i fasolkę w pomidorach.

– Cześć, tato – witam się, bo wcześniej nie zrobiłam tego jak należy. Podchodzę przy tym do niego i całuję go w policzek.

– Cześć, córeczko. – Odpowiada mi tym samym gestem.

W identyczny sposób witam się z Alice.

– Jedzmy, bo wystygnie – poganiam nas. – No to jakie mamy plany na dziś? – zagaduje, kiedy siedzimy już wszyscy przy stole.

– Bożonarodzeniowy obiad – mówię, wygrzebując z talerza bekon. Jest dobrze wysmażony i zachęcająco pachnie. – Kupiłam indyka, ziemniaczki i brukselkę. Mam też *gravy*. Na deser zrobiłam Christmas pudding.

– Wow! Brzmi naprawdę fantastycznie! Ale czy nie mieliśmy spędzać świąt po polsku? – dziwi się Alice.

Przypominam jej, że Wigilia jest najbardziej wyjątkowa w całej polskiej tradycji bożonarodzeniowej, a potem dodaję:

– Pomyślałam o indyku na świąteczny obiad ze względu na ciebie. – Spoglądam na Alice. – Chciałam, abyś dobrze się z nami czuła w te święta.

– Och, *darling*. – Kobieta nachyla się w moją stronę i ściska mnie mocno. – Jesteś wspaniała. Dziękuję. Ale nie trzeba było robić nic specjalnie dla mnie.

– Polski obiad w święta niewiele się różni – zapewniam. – Choć chyba mało kto piecze indyka.

– Chyba nikt. – Tata się śmieje. – Mówiłem ci, córeczko, żebyś nie przejmowała się tym wszystkim za bardzo. Ale trzymajmy się planu.

– Tak jest. – Kiwam głową. – Teraz, kiedy tu ze mną jesteście, chętnie upiekę tego indyka.

Tata kładzie dłoń na moim ramieniu i ściska je delikatnie. Uśmiecham się do niego.

– A co z Kubą? – zagaja Alice. – On tak sam w święta?

Opowiadam o tym, co mu się przytrafiło. Że w ostatniej chwili okazało się, że wyjazd do Polski jest niemożliwy. Oraz o tym, że jego siostrze udało się polecieć samolotem do kraju, a jego współlokator wybrał się do znajomych do Reading.

– Och – wzdycha Alice. – To okropne!

– Nie da się ukryć – przytakuję.

– Nikt nie powinien być sam w święta – stwierdza. – Chyba zaprosisz go na obiad?

Zerkam na Alice, a potem na tatę.

– No ja nie mam nic przeciwko – oświadcza. – Jeśli tylko chcesz, aby do nas dołączył, to nie widzę przeszkód. Nikt nie powinien być sam w święta – powtarza słowa swojej żony.

Kwituję sprawę uśmiechem. Oczywiście, że go zaproszę. Już wczoraj o tym myślałam, ale nie byłam pewna reakcji moich gości. W końcu Kuba jest dla nich obcą osobą, a nasza relacja jest... cóż, naprawdę bardzo świeża.

Po śniadaniu zarzucam na siebie płaszcz i wychodzę z mieszkania. Pukam do czerwonych drzwi, długo nikt mi nie otwiera. Już mam wyciągać telefon, kiedy Kuba pojawia się w progu.

– Cześć – mówi kompletnie zaspany.

– Oj, obudziłam cię...

– Już pierwsza. – Śmieje się, przejeżdżając dłonią po zmierzwionych włosach. – Naprawdę późno wczoraj zasnąłem. Nie mogłem spać.

– To może wrócę później...

– Nie. – Chwyta mnie za rękę, jakbym miała mu uciec nie wiadomo dokąd. – Teraz, kiedy cię zobaczyłem, nie ma szans, abym ponownie zasnął.

Śmieję się wesoło. Podobają mi się jego słowa.

– Właściwie przyszłam zaprosić cię na obiad... Choć w sumie to wyjdzie z tego kolacja, bo indyk musi się piec kilka godzin, a ja też niedawno wstałam.

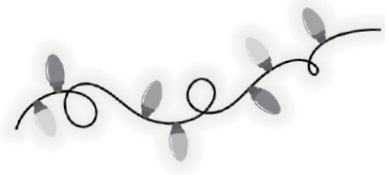
Kuba przygląda mi się z uśmiechem na ustach.

– Chyba że masz inne plany...

– Nie mam – odpowiada. – To o której mam przyjść?

– Tak naprawdę to o której chcesz. Zaraz zabieram się do gotowania, pomoc w kuchni się przyda.

– Ogarnę się trochę i będę.



30.

Kuba zjawia się u mnie niewiele ponad godzinę później. Przynosi butelkę dobrej whisky, którą wręcza tacie, i pudełko ekskluzywnych czekoladek dla Alice. Rozpoznaję markę. Kiedyś zupełnie przypadkowo weszłam do sklepu Hotel Chocolate. Pachnie tam zniewalająco, a ich czekolada rozpływa się w ustach. Oferują też pyszne czekolady do picia.

Chłopak wita mnie soczystym pocałunkiem, który choć sprawia, że przechodzą mnie dreszcze rozkoszy, zawstydzają mnie. Wiem, że tata i Alice widzieli, jak Kuba wpija się w moje usta.

Krzętanina w kuchni upływa nam w przyjemnej atmosferze, rozmawiamy i jest dużo śmiechu. Obiadokolacja wychodzi bardzo dobra, indyk jest soczysty. Oczywiście nie brakuje wpadek, brukselka jest bez smaku, a *gravy* nieco za rzadki. Ale kto by się tym przejmował, kiedy ma się przy stole to, co najważniejsze – ludzi, których się kocha i którzy odwzajemniają to uczucie.

Alice jest zachwycona deserem. Christmas pudding faktycznie smakuje jak nasz rodzimy kompot, tylko że trzeba go gryźć. Bawi mnie to. Zdecydowałam się na polanie go waniliowym sosem *custard*, kupnym, ale i tak okazał się dobrym wyborem. Świetnie komponuje się z bakaliarnymi ukrytymi w cieście.

Tata wypytuje Kubę o szereg różnych rzeczy, a on chętnie mu o sobie opowiada. Jestem pewna, że to rodzaj ojcowskiego przesłuchania, ale nie interweniuję, bo przepytywany nie wydaje się spięty czy przytłoczony rozmową.

Alice jest pod wrażeniem pasji mojego sąsiada. Chłopak musi jej długo tłumaczyć, jak zbiera dźwięki i tworzy z nich utwory. Zostaje też poproszony o puszczenie takiego kawałka. Wszystkim się podoba. Ja już go słyszałam, ale przysłuchuję mu się z tym samym zainteresowaniem co w kawiarni podczas wywiadu. Może nawet większym, bo dostrzegam nowe walory skomponowanej melodii.

Od czasu do czasu w moje myśli wkradają się mama i Arek, kilka razy nawet ich wspominam. Wychodzi bardzo naturalnie, tata powściągliwie, ale jednak podejmuje wątek. Widzę, że oczy zachodzą mu wtedy mgłą, jakby dosłownie przeniósł się w czasie. Wiem, że to dla niego trudne. Mówi się, że nie ma nic gorszego niż przeżyć śmierć dziecka, tata stracił jedyne go syna i ukochaną żonę w jednej chwili. Nie przesadzam więc ze wspomnieniami.

Myślę też o Agacie. Zastanawiam się, jak spędza święta. Mam nadzieję, że nie jest sama. Rozpamiętuję to, że znów nie odebrała ode mnie telefonu, a potem jak zwykle nie oddzwoniła. Nawet po tylu latach nie potrafi albo nie chce tego zrobić. Jestem na nią też trochę zła. Przecież każdy z nas wtedy ucierpiał, tata stracił najwięcej, a ja, tak jak ona, mamę i brata.

Przepędzam z głowy smutne myśli, dziś nie jest na nie czas. Powtarzam sobie, że zrobiłam, co mogłam, pewnie zawsze można więcej. Nie wykluczam, że jeszcze spróbuję.

Alice zaczyna sprzątać ze stołu. Podrywam się, aby jej pomóc, Kuba także.

– Siedźcie, moi drodzy – oponuje kobieta. – Ja to uprzątnę.

– O nie, nie ma mowy. Jesteś gościem – oświadczam.

Żona ojca prycha pod nosem.

– Kuba, może byś zabrał Zuzę na spacer albo coś w tym stylu? – rzuca. – Dość się napracowała na te święta. Ja posprzątam.

– Właściwie to chciałem cię gdzieś zabrać, ale nie byłem pewny, czy będziesz chciała wychodzić, skoro... – Kuba zerka wymownie na mojego tatę.

– Ja i tak potrzebuję drzemki po tej kolacji. Obżarłem się tak, że ruszać się nie mogę – odzywa się ojciec. – Przez najbliższe dwie godziny będzie ze mnie marny kompan do rozmowy.

Kuba przenosi na mnie spojrzenie. Kątem oka widzę, że Alice potrząsa zachęcająco głową.

– Hm, spacer dobrze nam zrobi po tym wszystkim. – Wskazuję na stół.

– Ubierz się ciepło – prosi Kuba.

Wkładam płaszcz i czapkę, owijam szalik wokół szyi. Wybieram ocieplane buty na platformie. Wychodzimy.

– Dokąd idziemy? – pytam, kiedy zatrząskują się za nami drzwi.

– Zobaczysz. Myślę, że ci się spodoba.

– Po co ta tajemniczość?

– To niespodzianka.

– Nie przepadam za niespodziankami. – Może trochę mijam się z prawdą, ale niedawno tyle się wydarzyło, że chwilowo wolę stąpać po pewnym gruncie. – Ostatnio było ich kilka i raczej nie przypadły mi do gustu.

Sąsiad zerka na mnie pytająco.

– Choćby twój rzekomy homoseksualizm – podaję przykład.

Kuba się śmieje.

– Naprawdę nie było mi do śmiechu.

– Spokojnie, ta niespodzianka ci się spodoba – zapewnia, ujmując moją dłoń. Błogość rozlewa się po moim wnętrzu, ufnie pozwalam mu się prowadzić.

Po kilku minutach spaceru wchodzimy między niewysokie budynki mieszkalne, które wspólnie tworzą kwadrat. Przejście jest wąskie, z chodnika z łatwością można je przeoczyć, jeśli się o nim nie wie.

Przystaję oniemiała. Przestrzeń między blokami została zaaranżowana na ogród. Są krzewy i niewysokie drzewa, rabatki, które wiosną i latem muszą pięknie kwitnąć, oraz kilka ławek, na których można usiąść. Jedna jest

wyjątkowo urokliwa, bo pnie się nad nią winorośl, tworzy coś w rodzaju naturalnego zadaszenia. Jednak tym, co robi na mnie największe wrażenie, są... światełka. Całe mnóstwo światełek. Kolorowych, stale migocących, wiszą wszędzie. Na roślinach, na ławkach, na budynkach odgradzających ogród od reszty osiedla. Miejsce wręcz jarzy się od lampek.

– Wow. – Tylko tyle wydobywa się z moich ust. Obracam się dookoła własnej osi, podziwiając ten miniogród świateł, o którego istnieniu nie miałam bladego pojęcia. – Nie sądziłam, że w pobliżu jest coś takiego – komentuję, będąc pod niesłabnącym wrażeniem tego, na co patrzą moje oczy.

– Podejrzewam, że mało kto wie o tym ogródku, pewnie głównie mieszkańcy osłaniających go bloków. Trudno go wypatrzyć z chodnika – mówi Kuba. – Los chciał, że trafiłem na niego zaraz po przeprowadzce, kilka dni po tym, jak się poznaliśmy, zupełnie przypadkowo. I spodobał mi się na tyle, że zacząłem tu przychodzić, gdy chciałem w spokoju pomyśleć. Choć z okien mogą obserwować cię lokatorzy, to jest w tym miejscu coś wyciszającego. Może chodzi o to, że w ogóle nie słychać tutaj szumu miasta, samochodów, motorów, autobusów, jest tu wyjątkowo cicho. Udało mi się tutaj wyłapać kilka fajnych dźwięków. Chyba wykorzystam je do następnego utworu. Wiesz, że tam w rogu... – przerywa, pochyla się i wskazuje właściwe miejsce. Idę za jego przykładem i spoglądam w tamtą stronę – ...ktoś postawił domek dla jeża – oznajmia. Teraz go dostrzegam. – I ten zwierzak wychodzi sobie, kiedy siedzisz na ławce, podchodzi, w ogóle się nie boi.

– Ale super – ekscytuję się. – Myślisz, że to pupil któregoś z mieszkańców?

– Trudno powiedzieć, skąd się tutaj wziął, ale lokatorzy okolicznych bloków ewidentnie o niego dbają. – Wyprostowujemy się oboje, a Kuba mówi dalej: – Zawsze, kiedy tu przychodzę, ma jedzenie i wodę. A gdy ostatnio się tutaj zjawiłem, zobaczyłem to... – Obraca się wokół własnej osi, tak jak sama chwilę temu to zrobiłam. – Kiedy powiedziałaś mi, że chciałabyś, aby nasz blok był cały przystrojony światełkami, nie mogłem

przestać myśleć o tym miejscu. Miałem nadzieję, że kiedyś uda mi się cię tutaj zabrać.

Kuba podchodzi bliżej i kładzie dłonie na mojej talii.

– I udało się – szepcze, patrząc mi w oczy.

– Udało się – mruczę, przysuwając swoje wargi do jego ust.

Pocałunek jest równie rozkoszny jak ten wczorajszy. Wydaje się też bardziej świadomy. W ogrodzie jest cudnie, ale nie zostajemy w nim długo. Nie wygania nas zimno czy wiatr, który na nowo stał się porywisty, ale paląca potrzeba wzajemnej bliskości.

Wracamy do bloku, w którym mieszkamy, bez zbędnych słów wchodzimy do mieszkania Kuby. Nigdy w nim nie byłam i choć ciekawi mnie, jak mieszka, nie mam czasu podziwiać wnętrza. Całujemy się zachłannie, równie niecierpliwie zdejmujemy swoje ubrania. Półośny trafiamy do sypialni, łądujemy na łóżku w ciasnym uścisku i trwamy w nim, dopóki nie osiągamy spełnienia.

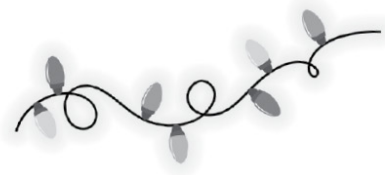
– Chcę, byś po świętach została w moim życiu. – Kuba zawisa nade mną i spogląda mi w oczy.

– Ja też – odpowiadam, świadoma, że to, co się działo przez ostatnie godziny, podsycone jest spontanicznością, która w dużej mierze wyrosła na tym, co ostatnio zafundował nam los. Pokrzyżował wiele planów, stworzył nową przestrzeń, którą wypełniliśmy. Ale czy ma to szansę przetrwać?

Kuba zsuwa się ze mnie. Przekręcam się na bok i wtulam w jego ciepłe ciało. Obejmuje mnie ramieniem, nasze nogi są ciasno splecione. Niby zawsze wiedziałam, co jest ważne, tata też często mi o tym przypominał, a jednak dopiero w tej chwili naprawdę to czuję. Święta to coś więcej niż przystrojona choinka, wypucowane mieszkanie i zastawiony stół. Nic z tych rzeczy nie sprawi nam radości, jeśli nie znajdą się w tym czasie obok nas ludzie, na których nam zależy. Jedynie wtedy ta piękna, urokliwa otoczka odegra swoją rolę. Ale nauczyłam się czegoś jeszcze – nie jest też konieczna, aby poczuć się szczęśliwym. Można spędzić święta na dziesiątki różnych sposobów. Niektóre mogą odbiegać od standardowego wyobrażenia na temat tego, jak obchodzić Boże Narodzenie, inne mieć

ściśle określone reguły i tradycje, i w każdym z nich można znaleźć autentyczną radość. Trzeba tylko postępować zgodnie z samym sobą. To jedyny warunek.

Zanim zasypiam, wysyłam SMS-a do taty z informacją, że nie wrócę na noc. Zapewniam, że nie musi się o mnie martwić.



31.

Budzi mnie nagły, zupełnie niezidentyfikowany hałas. W pierwszej chwili nie potrafię nawet zlokalizować jego źródła, tym bardziej określić, czym jest. Podrywam się na równe nogi, przestraszona. Kuba wypada z łóżka jeszcze szybciej. Rozbudzam się na tyle, że zanim wychodzę za nim z sypialni, owijam się kocem, aby zakryć swoją nagość.

W salonie staję jak wryta, zupełnie nie rozumiejąc tego, co widzą moje oczy. Niemal całe pole widzenia wypełniają mi wściekle rude pukle, które podskakują energicznie.

– To ta laska od ciastek? – prychna Sara, spoglądając na mnie pogardliwie.
– Serio? Ona? – Wytyka mnie palcem, jakbym była jakimś obrzydlistwem.

– Nie obchodzi mnie, po co tutaj przyszłaś – odzywa się Kuba, i nic sobie nie robiąc z tego, że jest nagi, podchodzi bliżej kobiety. – Ale masz w tej chwili wyjść. Już!

Sara spuszcza wzrok i uśmiecha się chytrze.

– Tęsknię za tobą, misiu. A kiedy cię takiego widzę, to dopiero się przekonuję, jak bardzo mi cię brakuje.

Robi mi się słabo. Mam wrażenie, że zaraz osunę się na podłogę. Ostatkiem sił wracam do sypialni i siadam na łóżku. Nagle rozumiem, dlaczego przełożona Kuby odwiedzała go w jego mieszkaniu. To żadna swoboda czy odmienne reguły w relacji pracowniczej, ale intymna

zażyłość... Przypomina mi się, że kilka razy widziałam Sarę na osiedlu. Dobrze, może nie kilka, ale przynajmniej raz. Początkowo nie byłam pewna, czy to ona, ale teraz nie mam już żadnych wątpliwości. Przychodziła do Kuby i to nie w sprawach biznesowych. Przed chwilą powiedziała mu, że za nim... Przełykam gulę rozczarowania, która zatyka mi gardło... Tęskni. I ma klucze do jego mieszkania...

Zrywam się z miejsca i w popłochu wkładam na siebie bieliznę. Nie potrzebuję więcej dowodów na to, że zostałam oszukana. Po raz kolejny w moim życiu pojawił się mężczyzna, który nie zagrał wobec mnie czysto.

W pokoju nie ma mojej sukienki. Muszę wyjść z sypialni w samym biustonoszu i rajstopach, jeśli chcę się do końca ubrać. Pojawienie się w takim stroju przed Sarą będzie upokarzające, ale siedzenie w pokoju i czekanie nie wiadomo na co wcale nie wydaje się lepszą perspektywą. Chyba nawet bardziej upodlającą.

Zbieram się w sobie i wychodzę z sypialni. W tym samym momencie Kuba zatrzaskuje drzwi wyjściowe.

– Zuza, wszystko ci wyjaśnię – odzywa się od razu na mój widok. Wciąż jest nagi, staram się nie zwracać na to uwagi, rozglądam się w poszukiwaniu mojej sukienki. – Sara jest nieobliczalna, stąd to jej najście...

– To twoja dziewczyna? – wchodzę mu w słowo, chwytając sukienkę i pospiesznie ją na siebie wkładając.

– Była – przyznaje Kuba. – Była dziewczyna.

Prycham wściekle pod nosem.

– Żadna przełożona, tak? – upewniam się.

– Przełożona. Sara jest moją przełożoną, tylko...

Wymijam Kubę i porywam swój płaszcz. Zobaczyłam i usłyszałam już dość, nie potrzebuję więcej kłamstw. Kiedy jestem już przy drzwiach, chłopak chwytą mnie za rękę.

– Puszczaj! – krzyczę. – Ale już!

– To naprawdę moja szefowa. – Kuba się nie poddaje, mając w nosie moje wzburzenie. – Byliśmy ze sobą, nie trwało to zbyt długo, a niedawno

zrozumiałem, że związek z Sarą to zwyczajna pomyłka. Wyprowadziłem się od niej. Gdyby nie to, że jest osobą decyzyjną w wytwórni, nie cackałbym się z nią aż tak bardzo. Uwierz, że nie tolerowałbym tych jej wybryków i tego, że ciągle mnie nachodzi.

– Puść! – syczę.

– Nic już mnie z nią nie łączy.

– Puszczaj! – powtarzam głośniej.

– Zuza, słuchasz w ogóle, co do ciebie mówię? Nic już mnie z nią nie łączy.

Kuba wciąż mocno mnie trzyma, nie mam ochoty się z nim szamotać, ale też nie chcę, aby dłużej to trwało. Podejmuję jeszcze jedną próbę wyszarpięcia ręki, ale nic z tego, chłopak jest dla mnie zdecydowanie zbyt silny.

– Wiem, że słabo to wygląda – odzywa się. – Ale...

– Jeszcze kilka tygodni temu mieszkałeś z nią, tak? – pytam.

– Tak – przyznaje ze zboląłą miną, ani odrobinę nie zwalniając uścisku. – Ale nic mnie już z nią nie łączy – powtarza ponownie. – Zupełnie nic.

– Zupełnie nic? – przedrzeźniam go kpiącym tonem. – Takie wielkie nic, że ma klucze do twojego mieszkania!

– Nie mam pojęcia skąd!

– Jasne. – Znów pry cham, tym razem ze złością, która z każdą sekundą coraz bardziej we mnie narasta.

– Dlaczego mi nie wierzysz? – Kuba podnosi głos.

– Bo jesteś kłamcą! – rzucam mu prosto w twarz.

– Nie! – Burzy się jeszcze bardziej, ale odnoszę przy tym wrażenie, że wreszcie jego uścisk nieco słabnie. Wykorzystuję sytuację i wyrywam rękę.

– Nie okłamałem cię, Zuza. Po prostu nie powiedziałem ci wtedy wszystkiego.

– Na jedno wychodzi.

– Wiesz, że to nieprawda. – Kręci głową. – Fakt, nie wiem, dlaczego nie powiedziałem ci wszystkiego od razu. Chyba spanikowałem, po prostu

spanikowałem. Sara potraktowała cię tak oschle, a ty tak bardzo mi się spodobałaś... Nie chciałem, żebyś pomyślała, że kogoś mam albo że...

– Daruj sobie! – Chwytam za klamkę, chcąc jak najszybciej opuścić mieszkanie sąsiadów, jak się okazuje kłamców i krętaczy. Kuba jednak kładzie dłoń na drzwiach i nie pozwala mi ich otworzyć. – Przestań! – grzmie oburzona jego postawą. – Posuwasz się za daleko!

– Może – przyznaje. – Ale nie chcę, żeby tak to się skończyło.

– Zadbalesz o to – wytykam mu. – Nie znoszę oszukiwania. To najgorsze, co można zrobić.

– Wiem, ale uwierz mi, że nie zamierzałem cię oszukiwać. Wyszło, jak wyszło, a potem nie miałem odwagi się przyznać, żeby nie zepsuć tego, co się między nami... działo.

Zagryzam usta w wąską kreskę, bo taka jest prawda – czasem zachowujemy się nie tak, jakbyśmy sami tego od siebie oczekiwali. Nie dalej jak kilkadziesiąt godzin temu tata postąpił niewłaściwie, jedna z najbliższych osób w moim życiu wystawiła mnie do wiatru. Przyjęłam jego skruchę, bo nie wyobrażam sobie, że wściekam się na niego w nieskończoność. Ale Kuba to przecież zupełnie coś innego. My... Jakie my! On...

– Wypuść mnie! – nakazuję, wbijając w Kubę twarde spojrzenie.

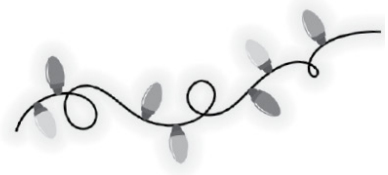
Odwzajemnia mi się takim samym.

Nie chcę rozgrywać dramatu, grozić, że zacznę wrzeszczeć, tym bardziej posuwać się do histerycznego wzywania pomocy, ale powoli tracę cierpliwość.

Kuba chyba to wyczuwa, bo puszcza drzwi.

– Nic się nie zmieniło – mówi, kiedy je otwieram, a do mieszkania wdziera się lodowaty podmuch wiatru. – Chcę, byś była w moim życiu także po świętach. Nie Sara, nie żadna inna, tylko... Ty.

Nie wierzę w to, co słyszę. Wydaje mi się niemożliwe, że znów padły te słowa. Porażona ich wydźwiękiem uciekam z mieszkania, nic więcej nie mówiąc.



32.

Chcę, byś była w moim życiu” – wyznanie Kuby nie chce mnie opuścić. Mam wrażenie, że z każdą minutą, godziną, dniem zapada się we mnie głębiej i głębiej, jakby drążyło dla siebie miejsce. Słowa Andreja szybko mnie opuściły, jeszcze zanim zdołałam się do nich przywiązać, słowa Kuby stale odbijają się we mnie echem.

Tata i Alice wyszli na miasto. Korzystając z okazji, że są w stolicy, chcą odwiedzić swoją ulubioną restaurację. Spotykali się w niej, zanim razem zamieszkali. Nie poszłam z nimi. Nie chcę być dla nich piątym kołem u wozu, w końcu ich związek wciąż jest dość świeży. Ich wiek nie ma tutaj nic do rzeczy. A poza tym nie bardzo mam ochotę wystawiać nosa ze swojego mieszkania. Całe szczęście, że Oliwia się zgodziła, abym do Nowego Roku pracowała zdalnie.

Nie żałuję tych świąt. Pomimo wielu obaw okazało się, że nadal potrafimy cieszyć się Bożym Narodzeniem. Ja i tata. Nawet Alice do tego wszystkiego bardzo pasuje, choć przecież jej obecności obawiałam się najbardziej.

Dużo z tatą wspominaliśmy i choć nie obyło się bez łez, był to zdecydowanie dobry czas. Zmierzyliśmy się ze swoim bólem i daliśmy radę. Kolejne święta spędzimy pewnie w podobny sposób. Możliwe, że uda nam się nawet zorganizować wigilię z prawdziwego zdarzenia.

Jest dwudziesty ósmy grudnia i wszyscy myślą już o sylwestrze. Tata z Alice jutro wracają do Liverpoolu, powitają Nowy Rok z gronem tamtejszych znajomych i rodziną jego żony. Moje plany teoretycznie się nie zmieniły, wybieramy się z Leo na niewielką domówkę, którą organizuje koleżanka z redakcji. Kilka razy przemknęło mi przez myśl, aby się wykręcić z imprezy, ale przyjaciel na pewno mi na to nie pozwoli, a izolowanie się od znajomych w mojej obecnej sytuacji raczej nie poprawi mi samopoczucia.

Spoglądam na telefon, który właśnie dzwoni. To Leo. Przypominam sobie, że w Wigilię obiecałam, że odezwę się do niego w święta. Zapomniałam. To był czas wielu skrajnych emocji.

– Cześć, *sweetie* – wita mnie jak zwykle bardzo pogodnie. – Jak leci? Jak po świętach?

– W porządku. Tata i Alice jeszcze są, jutro wyjeżdżają.

– Miałaś dobre święta? – dopytuje. – Byłaś taka niedostępna.

Nie da się ukryć, zdobyłam się jedynie na banalnego SMS-a z życzeniami, a potem... Potem nie miałam odwagi rozmawiać z przyjacielem, bo wiem, że zwyczajnie bym się rozsypała. Tak jak teraz. Pękam i opowiadam o wszystkim, co się wydarzyło między mną a Kubą.

– I ty mi dopiero teraz o tym mówisz?! – grzmi do telefonu. – Spałaś z nim i dowiaduję się o tym... zaraz... Ile? Trzy dni po fakcie?!

– To jest najmniej istotne w tej chwili.

– O nie, moja droga, po takim czymś powinnaś od razu do mnie zadzwonić, OD RAZU.

Mimowolnie się śmieję. Leo w każdej sytuacji potrafi wykrzesać ze mnie uśmiech.

– Dobra, a teraz do rzeczy. – Przyjaciel przyjmuje poważny ton. – Czyli na pewno nie jest gejem?

– No nie jest. Przecież nawet sprawdziłam to na własnym... hm... ciele.

Teraz Leo się śmieje. Wtóruję mu. Uwielbiam go za to, że tak szybko potrafi poprawić mi nastrój.

– I nie gadałaś z nim od tamtej akcji z Sarą? – Imię rudowłosej szefowej sąsiadów wypowiada z taką kąśliwością, że znów bezwiednie się uśmiecham. Wyobrażam sobie przy tym, jak parodiuje kobietę, której nigdy nie widział na oczy. Ten fakt nie przeszkadza mu w tym, by wypaść wiarygodnie.

– Nie – odpowiadam. – Wysłał mi kilka SMS-ów, ale na żadnego nie odpisałam.

– Nie było go u ciebie? Nie chciał z tobą porozmawiać?

– Chciał... – Wzdycham. – Poprosiłam Alice, by wyszła i powiedziała mu, że nie ma mnie w domu.

Kiedy to mówię, myślę o tym, że nie wyjaśniłam bliskim, skąd taka decyzja. Widziałam ich zdezorientowane spojrzenia. Poprosiłam jedynie, aby nie naciskali, że zwyczajnie potrzebuję czasu, bo ta relacja zbyt szybko zaczęła się rozwijać. W rzeczywistości nie chciałam się przyznawać, że znów trafiłam na niewłaściwego faceta. Teraz przynajmniej wszystko się wydało, zanim zdążyłam się zaangażować. Przyciągam do siebie nieodpowiednich mężczyzn, zdecydowanie.

– Hm – mruczy pod nosem Leo. – No dobra, faktycznie nie powiedział ci wszystkiego. Ale gdyby założyć, że poza tym jest tak, jak mówi...

– A jeśli jest takim samym oszustem jak Andrej? – Wchodzę kumpłowi w słowo.

– Andrej, Andrej, daj spokój z tym Andrejem! To dawne dzieje! – strofuje mnie przyjaciel. – Skupmy się na tym, co tu i teraz. Załóżmy, że jest tak, jak mówi. Że spanikował. Spodobałaś mu się, w co nie wątpię, gdybym był hetero, sam bym się za ciebie brał... – Leo rechocze, a ja mimowolnie razem z nim. – A tu takie starcie z byłą, miał prawo trochę się zmieszać, no robił, co mógł, aby ratować sytuację. Przemilczał po prostu kwestię tego, że niedawno ze sobą zerwali.

– Dobra, to mógł mi później o tym powiedzieć.

– Kiedy? – kontruje przyjaciel. – Jak byliście w barze i opowiadałaś mu o swojej rodzinie? Czy jak jedliście obiad z tatą i Alice?

– Miała klucze do jego mieszkania. – Nie odpuszczam. – Weszła jak do siebie.

– Z tego, co opowiadasz, ta kobieta ma tupet większy niż ja ego, więc jakoś mnie nie dziwi jej śmiałość.

– Miała klucze – powtarzam z naciskiem.

Leo milczy przez chwilę.

– Poza tym, jak się tak dobrze zastanowić, to widziałam ją kilka razy na osiedlu – dodaję. – Na początku nie miałam pojęcia, kto to jest, zwykła dziewczyna, jakich wiele przechodzi ulicami. Może nie do końca, bo z tą burzą ognistych włosów trudno nie zwrócić na nią uwagi, ale po tym, jak mnie staranowała w drzwiach do mieszkania Kuby i Pawła, na pewno widziałam ją na osiedlu. Chyba raz, może dwa.

– Chyba?

– Nie wiem, Leo. Ze dwa razy mignęły mi na chodniku rude włosy. Może to była ona. A może nie. Raz chyba wsiadała do taksówki.

– Gadasz jak paranoiczka.

– Nie – oponuję. – Po prostu... – Wypuszczam głośno powietrze z płuc. – Kuba wydawał mi się... fajny. Pomyślałam nawet, że może... no wiesz...

– A przypomnij mi, jak wyjaśnił ci to, że miała klucze do jego mieszkania? – docieka Leo jak wytrawny detektyw prowadzący śledztwo.

– Że nie ma pojęcia.

– Mhm, a przypomnij mi, kiedy oni się wprowadzili?

– Pierwszego grudnia.

– Hm. – Przyjaciel znów mruży w zamyśleniu. – A Paweł cię okłamał, że Kuba jest homoseksualistą...?

Wzdycham, wciąż nie dowierzając, że obaj moi sąsiedzi okazali się pospolitymi kłamcami.

– Wiesz co, no niefajne to wszystko... – podejmuje przyjaciel, ale szybko wcinam mu się w zdanie.

– Dobrali się. – Prycham wściekle. – I jednemu, i drugiemu oszustwo łatwo przychodzi. – Budzi się we mnie złość na samą siebie. Nie wierzę, że okazałam się aż tak naiwna. Że tak łatwo dałam się zwieść. Po tym, co

ujrzałam w klubie, zachowanie Pawła podczas naszej ostatniej rozmowy mogłam zinterpretować tylko w jeden sposób, ale nie powinnam była lekceważyć Sary.

– Sprawa nie jest fajna – podejmuje od nowa Leo. – Ale ewidentnie nie wiesz wszystkiego. Kto wie, może wcale nie jest tak źle, jak zakładasz. Może warto dać temu całemu Kubie szansę?

– Leo, ja o niczym innym nie myślę od trzech dni! – wybucham.

– Ha! I wszystko jasne – triumfuje przyjaciel. – Posłuchaj serducha. Nie możesz wyłączyć rozumu, jasne, ale czasem trzeba po prostu iść za głosem serca.

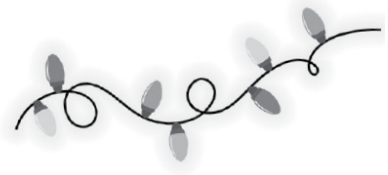
Po rozmowie z Leo jeszcze długo myślę o tym, co powiedział. I nadal nie wiem, co powinnam zrobić. Nigdy nie lubiłam oszustwa, ale po przejściach z Andrejem jestem na nie szczególnie uwrażliwiona. Nie chcę wikłać się w niezdrową relację, opartą na unikach i kłamstwach. Jeśli już na początku Kuba nie zdobył się na szczerość, jak mogę liczyć, że dalej będzie grał czysto?

Opieram głowę o zagłówek kanapy z przeciągłym westchnieniem. Jestem rozdarta i nie wiem, co zrobić, aby to zmienić. Ostatnie słowa Kuby wciąż we mnie rezonują, a siła ich wydzźwięku wcale nie słabnie.

Pukanie do drzwi wcale mi się nie podoba, postanawiam je przeczekać, bo przecież istnieje spora szansa, że to Kuba. Wolę jednak trzymać się myśli, że to kurier z paczką dla lokatorów spod czwórki. Często nie ma ich w domu i posłańcy zostawiają przesyłki u sąsiadów. Niech tym razem ktoś inny okaże się uczynny.

Pukanie jest jednak tak natarczywe, że mimowolnie podnoszę się z kanapy. Może po prostu coś się stało i ktoś, kto potrzebuje pomocy, dobija się właśnie do mnie.

Żadne z moich przypuszczeń się nie sprawdza – w progu stoi... Paweł.



33.

Przyglądam się sąsiadowi hardo, krzyżuję przy tym ręce na piersi. Nie mam pojęcia, po co tutaj przyszedł, ale wiem jedno: nie mam ochoty z nim rozmawiać.

– Cześć – odzywa się. – Mogę wejść?

Unoszę wysoko brwi, zaskoczona jego bezpośrednią prośbą.

– Na momencik. Chcę tylko chwilę z tobą pogadać.

– Ale ja nie bardzo mam na to ochotę.

– Domyślam się, ale... – Uśmiecha się powściągliwie. – Nalegam.

– Nie mamy o czym – kontruję.

– Daj spokój. Jest o czym gadać – przekonuje mnie. – I to bardzo jest o czym gadać.

Prycham kpiąco pod nosem.

– Zuza, proszę, to ważne. Zachowałem się jak świnia i jest mi strasznie głupio. Nie utrudniaj mi tego.

Patrzę na niego w milczeniu.

– Proszę – powtarza z naciskiem. – To ważne dla nas wszystkich, nie tylko dla mnie. Dla Kuby i ciebie też.

– Niech ci będzie – wzdycham. Sama nie wiem, dlaczego się na to zgadzam.

Przechodzę do kuchni i wciąż z ciasno splecionymi ramionami opieram się plecami o blat przy zlewie. Paweł dołącza do mnie i przystaje przy stole. Podpiera się pod boki, po czym rozgląda dookoła.

– Ładnie tu – mówi.

– Podobno przyszedłeś pogadać, ale chyba nie o wystroju mojego mieszkania, co? – ironizuję.

Chłopak przenosi na mnie spojrzenie. Brak w nim znajomej zuchwałości i pewności siebie. Jakby gdzieś bezpowrotnie wyparowały.

– Przede wszystkim chcę cię przeprosić, że dałem ci do zrozumienia, że Kuba jest gejem – oświadcza na jednym wydechu. A potem mówi szybko: – Wtedy w klubie, na urodzinach Neila, pojawiła się Sara. Zobaczyła, że Kuba przyprowadził cię na imprezę, rozpoznała cię i strasznie się wściekła. Wiesz, kim jest Sara?

– Do niedawna myślałam, że waszą szefową – rzucam uszczypliwie.

Paweł uśmiecha się krzywo.

– Tak, to nasza szefowa. – Wzdycha ciężko. – Ma wiele do powiedzenia w wytwórni. Kariera Kuby właściwie nie jest zagrożona, jest zbyt dobry, aby zrezygnowali z jego talentu. Ale nieco się obawia, to naturalne. Nie takie talenty przepadały przez ludzką złośliwość. Trochę inaczej wygląda moja sytuacja...

Przyglądam się Pawłowi uważnie.

– Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że nie mam takiego talentu jak Kuba?

Kiwam głową.

– No bo nie mam. Chciałbym mieć, ale go zwyczajnie nie mam. – Rozkłada bezradnie ręce. – Co nie znaczy, że nie marzy mi się kariera muzyczna. Wydanie singla, zaistnienie na rynku. – Bierze głębszy wdech. – Sara obiecała mi, że jak pomogę jej spławić ciebie, by mogła na nowo zbliżyć się do Kuby, to szepnie słówko odpowiednim osobom i wydadzą mi jakiś kawałek.

Unoszę brwi, a Paweł mówi dalej.

– Nie bardzo wiedziałem, jak mam to zrobić, ale za to bardzo chciałem wydać ten pieprzony singiel. Jeden, chociaż jeden utwór. No i nadarzyła się

okazja...

Przymykam oczy, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Uznałem, że jeśli pomyślisz, że Kuba jest gejem, będzie pozamiatane.

– Kreatywnie – komentuję.

– Nie jestem z tego dumny. – Znów wzdycha. – Rozeszli się niedawno, pomyślałem, że skoro Sarze tak bardzo zależy na Kubie, to może jemu też ona wciąż nie jest obojętna i to tylko chwilowy kryzys. Tym bardziej że Kuba mówił mi, że wpadłaś mu w oko, ale sam nie wie, co zrobić, bo przecież dopiero rozstał się z Sarą. Głowił się, czy to dobry moment, aby od razu wchodzić w nową znajomość...

Wreszcie znam powód, dla którego Kuba nie wyrywał się przed szereg, choć wysyłał mi subtelne sygnały, które moja podświadomość wychwyciła. Paradoksalnie sprawia to, że myślę o nim ciepło.

– Odebrałem to jako wahanie. Pomyślałem, że może niepotrzebnie rozstał się z Sarą, że może zbyt pochopnie. Tak czy inaczej nie powinienem był się mieszać w takie sprawy, wiem.

– To prawda – potwierdzam, nadal krzyżując ręce na piersi.

– No i tyle. – Paweł znów rozkłada ręce w geście bezradności. – Potem Sara dowiedziała się, że nie pojechaliśmy do Polski, bo wszystko stanęło przez ten cały orkan szalejący na morzu. Spotkaliśmy się w Reading... Nie miałem pojęcia, że w święta spikniecie się z Kubą, że to zajdzie tak daleko. Serio, nie sądziłem, że aż tak między wami zaiskrzyło. Sara poprosiła mnie o klucze do mieszkania, no głupia nie jest, wiedziała, że Kuba będzie sam w święta, i chciała to wykorzystać. No nie do końca poprosiła, właściwie postawiła mnie pod ścianą.

Paweł milknie. Spoglądamy na siebie, panuje grobowa cisza.

– A dlaczego mi o tym wszystkim mówisz? – pytam.

– Bo zachowałem się jak ostatnia świnia – oświadcza. Brzmi to dla mnie nieco naciąganie, wtedy Paweł podejmuje: – Zaślepiła mnie szansa na ten singiel. Ale nie jestem aż tak naiwny. Czegokolwiek bym nie zrobił, to się nie uda. – Kręci smętnie głową. – Nawet jeśli Sara stanie na głowie, nikt

tego nie wyda. Nie mam talentu, jestem po prostu kiepski. Ale przyznaję, przez chwilę wierzyłem, że będę gwiazdą. – Śmieje się, jakby sam z siebie.

Nie wiem, co powiedzieć. Jestem zła, że Paweł zrobił coś takiego, ale z drugiej strony podziwiam, że zdobył się na odwagę, by się do wszystkiego przyznać. Nie każdy to potrafi. Poza tym w pewnym stopniu rozumiem jego postępowanie, dla marzeń jesteśmy w stanie zrobić dużo. Bardzo dużo.

– No... – odzywa się. – To już chyba nie będziesz mnie lubić.

Prycham pod nosem, nie mogę się jednak przy tym nie uśmiechnąć. Mimo wszystko Paweł jest sympatycznym człowiekiem. I właśnie udowodnił, że potrafi przyznać się do błędu, zrozumieć go, a nawet przeprosić i chcieć naprawić to, co jeszcze jest do uratowania.

– Cóż, nie da się ukryć, że sobie nagrabiłeś – stwierdzam.

– U Kuby też. – Wzdycha ciężko.

– I on cię tu przysłał?

– Nie – zaprzecza. – Chciał sam ci o tym wszystkim powiedzieć, ale domyśliłem się, że możesz mu nie uwierzyć. Wolałem mieć pewność, że dotrze do ciebie to, co faktycznie się stało, i że to ja zawałem, a nie Kuba.

– On też mnie okłamał.

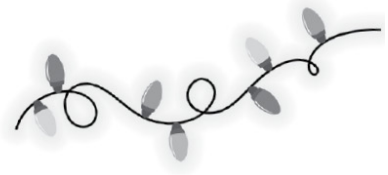
– Nie powiedział ci wszystkiego od razu – poprawia mnie sąsiad.

Unoszę wyżej podbródek, jakbym szykowała się na przyjęcie kolejnego ciosu, patrząc gdzieś ponad głowę Pawła.

– To dobry facet. Trochę go znam... I wiesz co?

Przenoszę spojrzenie na chłopaka.

– Teraz jestem już pewny, że chce... ciebie. I to bardzo.



34.

– No dobrze, powiedziałeś już wszystko, więc... – Macham rękami z zakłopotaniem. – Chcę po prostu zostać sama.

Zamiast spełnić moją prośbę, Paweł podchodzi do mnie.

– Nie rób tego, Zuza – prosi mnie.

– Czego? – rzucam poirytowanym tonem.

– Nie spisuj tego na straty – przekonuje mnie dalej.

– Już naprawdę wystarczy. – Przymykam powieki ze zniecierpliwieniem.

– Przecież widzę, że ty też się w nim bujasz. – Paweł jednak nie odpuszcza. – Nie zniosę tego, że przeze mnie wam nie wyjdzie. Jesteś fajną babką, a Kuba to mój kumpel.

– Dość! – unoszę się. – Wysłuchałam cię, tak jak o to prosiłeś. Więc bardzo cię proszę, zostaw mnie teraz samą. – Wskazuję mu ręką drzwi.

– Chociaż z nim pogadaj. – Paweł jest nieugięty.

Przechodzę do korytarza i otwieram drzwi wejściowe. Czekam, w końcu sąsiad wolnym krokiem wychodzi z kuchni i dołącza do mnie.

– Pogadasz z nim? – Opiera się jedną ręką o framugę drzwi, a drugą podpira pod bok.

– Nie wiem.

– Ja pierdzielę! Jak z dziećmi! – Przejeżdża dłonią po twarzy.

– Słucham?! – obruszam się, bo przecież to nie ja tutaj namieszałam. – Mam ci przypomnieć, kto tutaj zachował się jak świnia? – Cytuję jego słowa. – Kto mnie oszukał i nagadał mi głupot! – Teraz już krzyczę. Już mam otworzyć usta, aby wyrzucić z siebie kolejne inwektywy, kiedy sąsiednie drzwi się otwierają i z mieszkania obok wychodzi... Kuba.

– Wszystko jej powiedziałem – oświadcza Paweł na widok kolegi. – Prosiłem, żebyście pogadali, ale jest uparta jak osioł. A może to zwykła zawziętość, sam nie wiem.

– Już wystarczająco namąciłeś! – rzucam, jeszcze bardziej rozzłoszczona słowami chłopaka.

– Prawda – zgadza się Kuba. – Lepiej już daj spokój.

– Dobra. – Paweł unosi ręce w geście poddania się, po czym wreszcie przekracza próg mojego mieszkania i kieruje się w stronę swoich drzwi. Kiedy mijają Kubę, obraca się i z impetem popycha go w moim kierunku. Ten posyła mi lodowate spojrzenie. – No idźże do niej – cedzi, popychając kumpla ponownie.

– Weź sobie na wstrzymanie, okej? – syczy Kuba, na co Paweł wreszcie znika nam z oczu.

Kiedy zatraskują się za nim czerwone drzwi, zostajemy sami na balkoniku. Otulam się własnymi ramionami, pomimo buzujących we mnie emocji jest mi potwornie zimno. Nie wiem, gdzie podziać spojrzenie. Serce chce patrzeć na Kubę, rozsądek nakazuje mi wszystko przemyśleć, kobieca duma zabrania choćby się odezwać.

– Może wejść do domu, bo dziś jest tylko koło zera – odzywa się facet, przez którego stoję na rozdrożu. W głowie mi się dosłownie kotłuje. Nic się nie zmieniło przez te kilka dni, wciąż czuję do Kuby coś, co ma sporą szansę przerodzić się w prawdziwe, szczere uczucie. To coś jest chyba nawet silniejsze, bo zdążyłam się za nim stęsknić. Całą sobą czuję, że chcę sprawdzić, co z tego będzie. Przeraza mnie jednak wizja, że to, co powiedział Paweł, to kolejne kłamstwa. Ustalony scenariusz, którym mnie aktorsko poczęstował. Tylko czemu miałyby to służyć?

Wycofuję się do mieszkania, nic nie mówiąc. Wciąż dławi mnie niezdecydowanie, teraz już tak wielkie, że zaczynam dygotać. Zostawiam jednak uchylone drzwi. Wiem, że tym samym pozostawiam decyzję Kubie, ale czasem tak po prostu trzeba. Zaufać drugiej osobie.

Przechodzę do salonu, przystaję pośrodku i przyglądam się choince, wciąż ciasno otulona własnymi ramionami. Po chwili słyszę dźwięk zamykanych drzwi, a potem... ciszę. Pustą i głuchą. Może nawet nieprzejeđnaną, gdyby nie fakt, że mieszkam w mieście, a w dużej metropolii nigdy nie jest zupełnie cicho. Brak jakichkolwiek odgłosów jest jednak na tyle przytłaczający, że wdziera się we mnie brutalnie. Poczucie wewnętrznego rozedrgania tylko się nasila. Czyżbym popełniła błąd? Pomyliłam się? Czy może Kuba uszanował to, że odeszłam. Może nie chwycił aluzji, nie zrozumiał niedomkniętych drzwi, które dla niego zostawiłam.

Dałam mu wybór. I wybrał. Nie skorzystał z danej mu furtki.

Ale zaraz... Słyszę szmer, cichy, cichuteńki. To może być Nika albo odgłos ludzkich kroków. Stawianych ostrożnie, z pewną dozą rozwagi i niezdecydowania jednocześnie.

Znów zapada cisza. Stoję nieruchomo, wsłuchując się w nią. Tym razem jednak wiem, że nie jestem w pokoju sama. Nie odwracam się, ale drzę z emocji. Zakochałam się i chcę być kochana. Przez tego konkretnego mężczyznę.

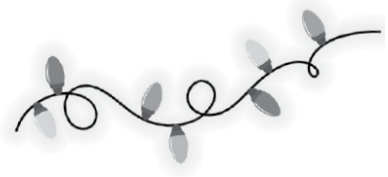
Kiedy czuję ciężar dłoni na swoich barkach, nogi się pode mną uginają. Życie pokazało mi, że upór nie zawsze jest najlepszą drogą. Czasem trzeba odpuścić, przyjąć skrucę drugiego człowieka, zaufać ponownie.

Obracam się, Kuba stoi naprzeciwko mnie, bardzo blisko. Patrzymy sobie w oczy, jego miodowe tęczęwki krzyczą, że mnie pragną. Zsuwa dłonie z moich barków na talię, przyciąga mnie do siebie. Posłusznie się temu poddaję, nie chcę dłużej walczyć z tym, co podpowiada mi serce. Porzucam wątpliwości, strach oraz niepewność. Pozwalam, by nasze wargi spleły się w gorącym pocałunku. Po chwili tańczą już w szalonym, ale w pełni zgodnym rytmie.

– Nic się nie zmieniło – szepcze Kuba w moje usta. – Nadal chcę, byś była w moim życiu. Teraz, po świętach, potem po Nowym Roku... i dłużej. O wiele dłużej. Na zawsze.

„Chcę, byś była w moim życiu”, słowa, które słyszę nie po raz pierwszy, wreszcie lądują tam, gdzie powinny. Czuję, jak się we mnie zdomawiają, jak stapiają się z moimi pragnieniami i z tym, czego oczekuję od przyszłości.

Przekręcam nieco głowę na bok i wtulam twarz w ramiona Kuby. W tej chwili jak nigdy wcześniej czuję, że odnalazłam wszystko, czego szukałam.



Epilog

Jedziemy już blisko piętnaście godzin. Bolą mnie plecy, tyłek i kark, już nie wiem, jak zwinąć nogi, by było mi choć trochę wygodniej.

– I wy tak co roku? – rzucam z udęczonym westchnieniem.

– Tak, skarbie, co roku. – Kuba posyła mi wesoły uśmiech. Prowadzi samochód dynamicznie, ale bardzo bezpiecznie. Nie czuję się ani odrobinę niepewnie, kiedy siedzi za kółkiem.

– Podziwiam. – Znowu wzdycham, a mój nowy chłopak, tak, chyba tak mogę już o nim mówić, zaczyna śpiewać.

– *I'm driving home for Christmas. Oh, I can't wait to see those faces. I'm driving home for Christmas, yea*^[5]. Chociaż nie! – Przerywa nagle. – Powinno być tak: *I'm driving home for New Year's Day*.

– Na *New Year's Eve* niestety już nie zdążymy – włącza się Paweł siedzący na tylnym siedzeniu.

– No nie bardzo, bo sylwester już dziś – dośpiewuje Kuba.

Przysłuchuję się ich nowej wersji piosenki Chrisa Rea z uśmiechem na ustach. Choć już niemal każda część ciała mi doskwiera, cieszę się, że tu jestem.

Nie była to łatwa decyzja. Kiedy się okazało, że promy znów kursują przez kanał La Manche, moi sąsiedzi zaczęli się zastanawiać, czy nie ruszyć w podróż. Wprawdzie już po świętach, ale przecież nie o czas tutaj chodzi,

tylko o ludzi. Mój chłopak chciał zobaczyć mamę, Paweł odwiedzić rodzinę. Wyczułam, że dużo zależy ode mnie. Kuba nie powiedział mi tego wprost, ale odniosłam wrażenie, że nie chce się ze mną rozstawać tuż po tym, jak się dogadaliśmy. Mnie też wcale nie było to na rękę, ale nie zamierzałam go zatrzymywać. Nie mogłabym, a jeśli zrodziło się między nami coś prawdziwego, to te kilka dni rozłąki niczego by między nami nie zmieniły.

I wtedy wpadłam na szalony pomysł. Wręcz zwariowany. Ale jednocześnie poczułam, że to może jest właśnie to, czego potrzebujemy.

Zapytałam chłopaków, czy mieliby coś przeciwko, gdybym... się z nimi zabrała. Świetnie się złożyło, bo znajomy, który miał pierwotnie z nimi jechać, zrezygnował. Uznał, że teraz, po świętach, nie opłaca mu się już wybierać do Polski, zwłaszcza że planowaliśmy przyjazd do kraju w Nowy Rok.

Chłopcy bardzo entuzjastycznie podeszli do mojego pomysłu. Tata z kolei nie wydawał się przesadnie zadowolony, kiedy o nim usłyszał. Wiem, czego się obawia, sama się tego bardzo boję. Ale czuję, że muszę spróbować. Ostatecznie ojciec jak zwykle stanął za mną murem, do niczego mnie nie zniechęcił, jedynie poprosił o rozwagę. Ale słyszałam też nadzieję w jego głosie. Stale we mnie dźwięczy, trzymam się jej kurczowo.

I tak to się stało, jadę do Polski. Z nową miłością u boku i nowym kumplem z tyłu. Wciąż mam trochę żal do Pawła, ale w końcowym rozrachunku chłopak wykazał się przecież takim hartem ducha, że nie potrafię się dłużej na niego gniewać. Poza tym zwyczajnie go lubię. Nie można przecież przekreślić człowieka z powodu jednego błędu, który popełnił.

Dojeżdżamy do celu o ósmej rano w Nowy Rok. Miasto śpi. W końcu za nami, a właściwie za nimi – uczestnikami szampańskich zabaw do rana – sylwestrowa noc. Kiedy Kuba zatrzymuje samochód, dopada mnie zdenerwowanie tak silne, że już sama nie wiem, czy mięśnie mnie rwą ze zmęczenia, czy z emocji.

Tak dawno tutaj nie byłam, myślę, spoglądając na pogrążone w porannym śnie osiedle.

– Dzięki, chłopaki – mówię, nie ruszając się z miejsca, jakbym chciała odwlec moment opuszczenia bezpiecznej przestrzeni samochodu. – Zabiorę walizkę z bagażnika i już was więcej nie zatrzymuję – oświadczam w końcu. Przecież i tak nadłożyli kilkadziesiąt kilometrów, aby mnie tutaj przywieźć.

– Nie, nie. – Kuba kręci głową. – Najpierw idź i zobacz, co będzie. My tu poczekamy.

– No właśnie – wtóruje mu Paweł. – Tak będzie najlepiej.

Nie mam siły się z nimi spierać, a poza tym chyba faktycznie będzie mi łatwiej ze świadomością, że są w pobliżu.

– Dobra, to idę – mówię i gramolę się z samochodu.

Kiedy ruszam w stronę bloku, wymieniam jeszcze uśmiechy z Kubą. Chłopak na dokładkę zaciska kciuki obu dłoni i unosi je tak, abym je widziała. Przyjmuję ten gest otuchy z wdzięcznością.

Klatka schodowa wygląda dokładnie tak, jak ją zapamiętam. Drzwi nic się nie zmieniły. Nie wisi na nich żaden świąteczny wieniec i zastanawiam się, jak to powinnam odebrać.

Długo stoję i gapię się na ciemnobrązowe drewno. Nie potrafię unieść dłoni, aby nacisnąć dzwonek. Nawet świadomość, że na dole w samochodzie czekają na mnie Kuba i Paweł, przestała mi pomagać. Za bardzo się boję.

Spuszczam głowę i spoglądam na trzymane w dłoni pierniczki. To aniołki. Udekorowałam je na kolorowo, użyłam żółtego, różowego i niebieskiego lukru. Nie są tak ładne, jak te, które ona robiła, ale... są.

Wreszcie to robię – naciskam dzwonek. Słyszę, że brzęczy po drugiej stronie drzwi. Żółć podchodzi mi do gardła, z każdą sekundą denerwuję się coraz bardziej. Mam wrażenie, że strach zżera mnie od środka. Mimo to idę za ciosem, przymykam powieki i naciskam dzwonek jeszcze raz. Znow nic się nie dzieje. Może nikogo nie ma, w końcu mamy Nowy Rok, ludzkość

dopiero co skończyła go hucznie witać. Nie pomyślałam o tym. Trudno, wzdycham w duchu, próbowałam.

Znowu. I znowu bez skutku.

Już mam odpuścić, ale jeszcze jeden ostatni raz postanawiam nacisnąć dzwonek. Jest mi o tyle łatwiej, że już nie spodziewam się odpowiedzi. I faktycznie, brzęczy, a po nim... cisza.

Trudno, myślę ponownie, próbowałam. Zaczynam odchodzić, mocniej ściskając trzymane w dłoni pierniczki. I wtedy coś słyszę. Zgrzyt zamka?

Przystaję. Tak, to dokładnie ten dźwięk.

Odwracam się i widzę ją. Otworzyła drzwi, przygląda mi się, jakby mnie nie znała albo nie potrafiła rozpoznać. A może po prostu, zupełnie tak jak ja w tym momencie, próbuje zanotować zmiany.

Agata rozjaśniła włosy, chyba trochę przytyła, a na twarzy pojawiło się kilka wyraźnych zmarszczek, które bardzo upodobniły ją do mamy. Ale wciąż jest tą samą osobą. Wyzwała we mnie znane mi uczucia, falę wspomnień i emocji. Tych przeładowanych radością i śmiechem, jak również tych naznaczonych bólem. To wciąż ona, moja starsza siostra.

Nie potrafię się odezwać. To, co się we mnie dzieje, odbiera mi głos. Bardzo niezdarnie unoszę pierniki, tak aby Agata mogła je lepiej zobaczyć. Sama też na nie spoglądam. Połamały się, za mocno je ścisnęłam. Ale i tak widzę, że są takie same jak te, które piekła mama i później tak uroczo zdołała moja starsza siostra. Kiedy je lukrowałam, jeszcze w Londynie, nie wydawały mi się takie, teraz to wrażenie jest tak autentycznie, że czuję się tak, jakbym przeniosła się w czasie. Jakbym miała kilka lat i trzymała w dłoniach tamte ciasteczka.

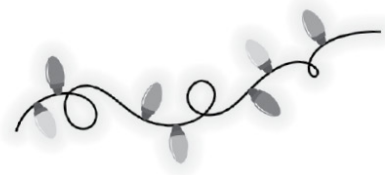
– Zrobiłaś je dla mnie? – słyszę głos Agaty. Łamie się, ale jest dokładnie taki, jak go zapamiętałam.

– Tak. – Przenoszę spojrzenie na siostrę, czuję przy tym, że po policzkach ciekną mi łzy. Przychodzi mi do głowy tylko jedno zdanie. Wypowiadam je żałośnie drżącym głosem: – Chcę, byś była w moim życiu. Zawsze tego chciałam... – Zacinam się, a po twarzy spływają mi kolejne łzy.

Próbuję je zetrzeć, bo przecież nie przyszedłam tutaj po to, aby się mazać, ale nim unoszę rękę, Agata zrywa się z miejsca. Moment później jest przy mnie, nie mówi nic więcej, tylko... bierze mnie w swoje ramiona. Zamyka mnie w nich ciasno, wtedy obie wybuchamy szlochem. Łączy nas siostrzana miłość, która wcale nie umarła. W tej chwili czuję, że cierpienie, którego doświadczyliśmy, może ją dodatkowo umocnić.

Czasem trzeba zaryzykować, odważyć się zmieniać swoją rzeczywistość, pójść za głosem serca, a nie podążać za tym, co dyktują nam inni. Warto trwać przy swoim i żyć w zgodzie ze sobą. Tylko wtedy będziemy szczęśliwi.

[5] C. Rea, *Driving Home for Christmas* (sł. C. Rea).



Od Autorki

Drogie Czytelniczki i drodzy Czytelnicy (bo wierzę, że mężczyźni też sięgają po literaturę obyczajową)!

Nie miałam jeszcze okazji podziękować Wam za tę podróż, w którą wspólnie wyruszyliśmy, odkąd odważyłam się napisać swoją pierwszą powieść obyczajową. Dziękuję wszystkim, którzy sięgają po moje książki, aby to właśnie nimi wypełnić swój wolny czas. Mam nadzieję, że pozwalają Wam one oderwać się od trosk życia codziennego. Wierzę, że zanurzając się w wykreowany przeze mnie świat, doświadczacie wielu emocji.

Chcę też z całego serca podziękować wydawnictwu Czwartą Stroną, które dostrzegło we mnie potencjał i pozwoliło mi realizować moje pisarskie ambicje w zakresie literatury obyczajowej. Dziękuję Weronice Jacak i Zuzannie Sołtysiak, otwartym, pomysłowym i rzetelnym redaktorkom prowadzącym. To właśnie ich wysiłek sprawia, że moje książki trafiają do Was w tak fantastycznej formie. Dziękuję Joannie Jeziornej-Kramarz za wnikliwą redakcję moich powieści. Uwielbiam dbałość, z jaką Joasia podchodzi do tekstu! Dziękuję również Judycie Kąkol za kreatywną promocję, prężne działania marketingowe i sprawną komunikację. Nie zapominam oczywiście o pozostałych osobach, które są mniej widoczne, a jednak niezastąpione – dziękuję grafikom i korektorom, a także każdemu, kto dołożył choćby małą cegiełkę do tego, by moje książki powstały.

Chcę też podziękować za przyjazną atmosferę! Dobrze jest pracować z ludźmi, którzy darzą się wzajemnym szacunkiem i sympatią.

Dziękuję również Adrianie Chodakowskiej, redaktorze naczelnej istniejącego w Wielkiej Brytanii portalu polonijnego. To dzięki niej mogłam się dowiedzieć, jak wygląda dziennikarska praca na obczyźnie, zgłębić wiedzę na temat tego, jak w rzeczywistości funkcjonuje taki portal, oraz zobaczyć jego siedzibę.

W moich książkach poruszam różne tematy, często są ważne społecznie, innym razem istotne z punktu widzenia jednostki. Wybieram te, które według mnie zasługują na analizę i komentarz, te, o których w moim przekonaniu trzeba mówić głośno. Robię to zarówno, tworząc książki obyczajowe, jak i thrillery psychologiczne. W „Chcę, byś była w moim życiu” opowiadam o sile rodzinnych więzi i relacjach międzyludzkich, które mogą być trudne, a jednak są nam potrzebne. Mam nadzieję, że książka nie tylko przypomni Wam o potrzebie wzajemnego zrozumienia, ale także wprowadziła Was w bożonarodzeniowy klimat. Może też zachęciła do wybrania się w podróż? Być może nawet zwiedzenia Londynu? To miasto jest obecnie moim miejscem na ziemi i przedstawiam Wam je takim, jakie jest w moich oczach.

Do zaczytania niebawem!

Klaudia Muniak



NŪTATĪK ZUZY

KRUCHE BOŻONARODZENIOWE PIERNICZKI



250 g mąki pszennej

~~2 łyżeczki kakao~~

2 łyżeczki przyprawy do piernika

1 łyżeczka cynamonu

5 łyżek płynnego miodu

100 g masła

1 jajko

1 żółtko


kilka kropel aromatu pomarańczowego/

skórka pomarańczy

Zagnieść kruche ciasto, wstawić je do lodówki na co najmniej godzinę. Ciasto rozwałkować na grubość 5 mm, wykrawać ciasteczka. Pierniczki ułożyć na blasze wyłożonej wcześniej papierem do pieczenia. Ciasteczka piec w temperaturze 180°C przez 15-20 minut. Ostudzić.

NIE ZJEŚĆ WSZYSTKICH OD RAZU,
CHOCIAŻ CZĘŚĆ UDEKOROWAĆ!

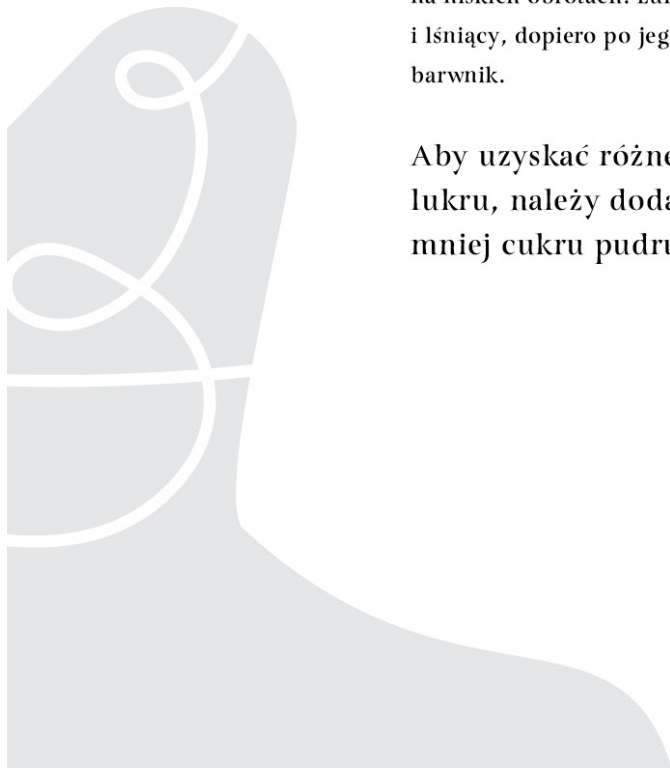
LUKIER KRÓLEWSKI



1 białko
150 g cukru pudru
kilka kropli soku z cytryny
barwnik spożywczy, jeśli chcemy uzyskać
lukier *inny niż biały*

Jajko przed rozbiciem sparzyć. Do miski wlać tylko białko, dodać sok z cytryny i cukier puder. Miksować mikserem przez co najmniej 10 minut na niskich obrotach. Lukier powinien być gładki i lśniący, dopiero po jego ubiciu można dodać barwnik.

Aby uzyskać różne konsystencje lukru, należy dodać więcej lub mniej cukru pudru.



MIĘKKIE PIERNICZKI

300 g mąki pszennej

100 g cukru

125 ml miodu

1 łyżeczka sody oczyszczonej

przyprawa do pierników, około 20 g

60 g masła

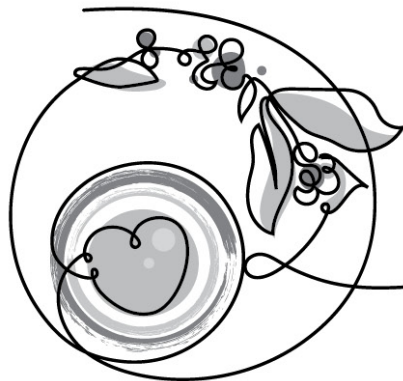
1 całe jajko

trochę mleka (opcjonalnie)



Zagnieść ciasto, wyrabiać je około 10 minut. Mleka należy dodać tyle, aby ciasto łatwo się wyrabiało i było plastyczne. Rozwałkować ciasto na grubość około 5 mm, wykrawać ciasteczka. Pierniczki ułożyć na blasze wyłożonej wcześniej papierem do pieczenia w odstępach co najmniej 2 cm. Piec w temperaturze 180°C przez około 10-15 minut.

CHRISTMAS PUDDING



- 100 g rodzynek
- 100 g suszonych moreli
- 100 g suszonych daktyli
- 100 g suszonej żurawiny
- 1 świeża mandarynka
- 100 g orzechów pekan
- 200 g migdałów
- 50 g kandyzowanego imbiru
- 100 g masła
- 100 g mąki pszennej
- 50 g bułki tartej
- 150 g cukru pudru
- 1 całe jajko
- pół szklanki mleka
- szczypta soli
- otarta skórka z cytryny
- lub pomarańczy
- 150 ml rumu lub brandy

Suszone morele i daktyle pokroić, orzechy i połowę migdałów posiekać, przelżyć je do miski i wymieszać z rodzynekami, żurawiną i skryształizowanym imbirem. Zalać alkoholem, wymieszać i odstawić na całą noc. Pozostałe migdały zmielić, włożyć je do drugiej miski, po czym dodać mąkę, sól, bułkę tartą, otartą skórką cytrusów, jajko ubite z cukrem i starte zimne masło. Całość dokładnie wymieszać. Dodać bakalie i mieszać, dolewając mleko, aż do uzyskania kleistej konsystencji.

Ciasto przelżyć do żaroodpornego naczynia z okrągłym dnem (albo formy budyniowej). Przykryć papierem do pieczenia, obwiązać sznurkiem, aby nie spadł, całość zawinąć w wilgotną lnianą ścierekę. Tak przygotowane naczynie włożyć do dużego garnka z wodą i gotować pod przykryciem na małym ogniu około 6 godzin. Wodę w garnku należy uzupełniać, aby stale sięgała do połowy naczynia z deserem.

Christmas pudding przechowywać w chłodnym miejscu, a przed podaniem ponownie owinąć w ścierekę i gotować około dwóch godzin. Polać brandy, syropem cukrowym albo waniliowym *sosem custard*.



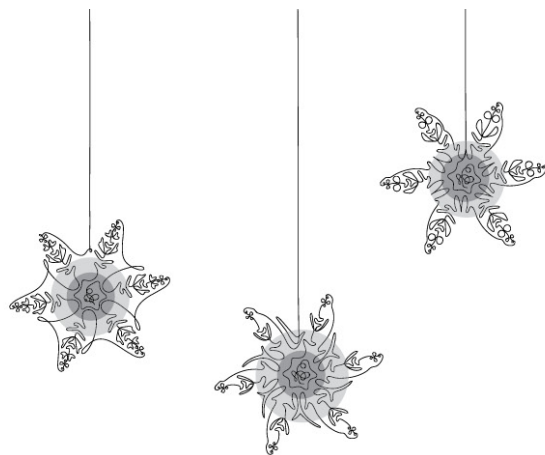


SUSZ WIGILIJNY

mieszanka suszonych i wędzonych owoców
laska cynamonu
kilka goździków
plaster pomarańczy
odrobina soku z cytryny
pokrojone na cząstki świeże jabłko
brązowy cukier do smaku

Suszone owoce umyć, włożyć do dużego garnka, dodać laskę cynamonu i goździki, zalać wodą, moczyć około 30 minut. Dodać pomarańczę i jabłko, po czym zagotować całość. Gotować około 10 minut, pod koniec gotowania dodać sok z cytryny i cukier. Susz wigilijny odstawić na co najmniej 3 godziny.





LISTA ŚWIĄTECZNYCH PIOSENEK ZUZU

It's the Most Wonderful Time of the Year, Andy Williams
All I Want for Christmas Is You, Mariah Carey & Justin Bieber
It's Beginning to Look a Lot Like Christmas, Michael Bublé
Last Christmas, Wham!
The Christmas Sweater, Michael Bublé
Merry Christmas, Ed Sheeran & Elton John
Jingle Bells, Michael Bublé
Driving Home for Christmas, Chris Rea
Christmas Lights, Coldplay
Silent Night, Michael Bublé

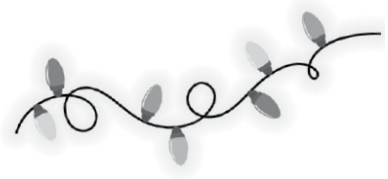




**że spodobała Ci
się ta KSIĄŻKA**

po więcej zajrzyj do księgarni

www.wydajenamsie.pl



Spis treści

- [1.](#)
- [2.](#)
- [3.](#)
- [4.](#)
- [5.](#)
- [6.](#)
- [7.](#)
- [8.](#)
- [9.](#)
- [10.](#)
- [11.](#)
- [12.](#)
- [13.](#)
- [14.](#)
- [15.](#)
- [16.](#)
- [17.](#)
- [18.](#)

[19.](#)

[20.](#)

[21.](#)

[22.](#)

[23.](#)

[24.](#)

[25.](#)

[26.](#)

[27.](#)

[28.](#)

[29.](#)

[30.](#)

[31.](#)

[32.](#)

[33.](#)

[34.](#)

[Epilog](#)

[Od Autorki](#)

[Notatnik Zuzy](#)